RABINDRANATH TAGORE

DOM I ŚWIAT

POWIEŚĆ

TRZASKA·EVERT·I·MICHALSKI
WARSZAWA

·A·P·

RABINDRANATH TAGORE

DOM I ŚWIAT

POWIEŚĆ

PRZEŁOŻYŁ

KAZIMIERZ BUKOWSKI

TRZASKA, EVERT I MICHALSKI
WARSZAWA, HOTEL EUROPEJSKI

99893

BIBLIOTEKA GŁÓWNA FILII UW
w Białymstoku
FUW0052523

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE

K-82/79/99893

TREŚĆ:

Str.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Opowiadanie Bimali I—III 1

ROZDZIAŁ DRUGI

Opowiadanie Bimali IV—V 20
Opowiadanie Nikhila I—II 36
Opowiadanie Sandipa I 44

ROZDZIAŁ TRZECI

Opowiadanie Bimali VI 50
Opowiadanie Sandipa II—III 55

ROZDZIAŁ CZWARTY

Opowiadanie Nikhila III 73
Opowiadanie Bimali VII—X 80
Opowiadanie Sandipa IV—VI 96

ROZDZIAŁ PIĄTY

Opowiadanie Nikhila IV—V 107
Opowiadanie Bimali XI—XIII 116
Opowiadanie Nikhila VI—VII 129

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Opowiadanie Nikhila VIII—IX 136
Opowiadanie Sandipa VII 147

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Opowiadanie Sandipa VIII—X 155

Str.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Opowiadanie Nikhila X—XI 174
Opowiadanie Bimali XIV 187

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Opowiadanie Bimali XV—XVII 196

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Opowiadanie Nikhila XII—XIV 222
Opowiadanie Bimali XVIII—XIX 233

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Opowiadanie Bimali XX—XXII. 243

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Opowiadanie Nikhila XV—XVI 263
Opowiadanie Bimali XXIII 282

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

OPOWIADANIE BIMALI.

I.

Matko, dziś widzę znów przed moim duchem twoje czerwone znamię na czole[1], ową sari[2], którą zwykłaś nosić, z szerokim, czerwonym rąbkiem i twoje przedziwne oczy, pełne skupienia i spokoju. Pojawiły się one na początku mojego życia, jak pierwsze światło brzasku i ofiarowały mi na drogę złoty zasób.

Promienne niebo jest błękitne, a oblicze mojej matki było ciemne, lecz otoczone świętą aureolą, a piękność jego zawstydzała wszelką próżność pięknych kobiet.

Każdy powiada, że jestem podobna do mojej matki. W dzieciństwie nie chciałam o tem słyszeć. Gniewałam się za to na moje lustro. Czułam, jakby Bóg niesprawiedliwie okrył moje członki zasłoną — jakby moje ciemne oblicze nie było mojem, lecz jakby mi się dostało przez jakowąś omyłkę. Wszystko, co za to od Boga jako odszkodowanie mogłam wyprosić, było to, że wyrosłam na idealną postać ko-

[1] Piętno kobiecego stanu u hindusów i symbol ofiarnej miłości, wiążącej się z tym stanem.

[2] Główna szata hinduskich kobiet.

biety, jaką przedstawiają wielkie, bohaterskie poematy.

Gdy przyszli do mnie w swaty, towarzyszący astrolog oglądnął uważnie moją dłoń i rzekł: „Ta dziewczyna ma dobre znaki. Będzie idealną małżonką".

A wszystkie kobiety, słysząc to, rzekły: „Nie dziw, gdyż jest podobna do swojej matki".

Poślubiłam radżę [1]. Jako dziecko byłam dokładnie wtajemniczona w opisy książąt z bajki. Ale oblicze mego męża nie było takie, aby fantazja mogła je przenieść w krainę baśni. Było ponure, tak ponure, jak moje. Uczucie lęku, ogarniające mnie wskutek mego braku cielesnej piękności, znikało przez to nieco; lecz równocześnie doznawałam w sercu cichego żalu.

Ale gdy nasze oblicze uchyli się od badawczego spojrzenia zmysłów i ucieknie się do świętości serca, wówczas może o sobie samym zapomnieć. Wiem z doświadczenia mego dzieciństwa, jak to bezgraniczna miłość, widziana od wewnątrz, jest sama pięknością. Gdy moja matka układała na białej, kamiennej miseczce rozmaite owoce, które sama starannie obierała swemi kochanemi rękami i chłodziła lekko wachlarzem, aby wypłoszyć muchy, podczas gdy mój ojciec siedział przy wieczerzy, usłużna jej miłość promieniowała pięknością, przechodzącą wszelkie zewnętrzne kształty.

Już w mojem wczesnem dzieciństwie czułam moc tej piękności. Była ona wyższa nad wszelkie słowa,

[1] Radża (Rajah) indyjski książę.

zwątpienia i obliczenia, była we wszystkiem muzyką.

Przypominam sobie jeszcze dokładnie, jak to po moim ślubie zwykłam wczesnym rankiem wstawać ostrożnie i cicho, aby dotknąć nabożnie nóg mojego męża [1], nie budząc go, i jak to w takich chwilach wydawało mi się, jakoby czerwone znamię na mem czole błyszczało jak gwiazda zaranna.

Pewnego dnia obudził się przypadkiem i spytał mnie z uśmiechem: „Co to jest Bimalo? Co ty tu robisz?"

Nie zapomnę nigdy, jak się wstydziłam, że mnie przyłapał. Możliwie mógł sobie myśleć, iż staram się potajemnie zyskać sobie zasługę. Ależ nie, nie! Nie miało to nic wspólnego z zasługą. Było to moje kobiece serce, które musiało uwielbiać, aby módz kochać.

Dom mego teścia należał do najbardziej poważanych od czasów padyszacha [2]. Częściowo przestrzegał on staroindyjskich praw Manu i Parašary, po części zaś zagnieździły się w nim mongolskie i afgańskie zwyczaje. Ale mój mąż był nawskróś nowoczesny. Był z swego domu pierwszym, który uczęszczał na uniwersytet i promował się na magistra. Starszy jego brat oddawał się pijaństwu

[1] Jest to zewnętrzna forma czci i odbywa się w ten sposób, iż dotyka się lekko ręką nóg odnośnej osoby, a potem własnego ciała. Nie jest to wszędzie zwyczajem, iż kobieta składa w ten sposób hołd swemu mężowi. (Angielskie wyrażenie brzmi: to take the dust of ones feet).

[2] Tytuł islamskiego udzielnego księcia.

i umarł w młodym wieku, nie zostawiwszy dzieci. Mąż mój nie pił i nie był skłonnym do wybryków. Ta powściągliwość była rodzinie tak obcą, że wielu wydawała się prawie niestosowną. Uważali oni, że powściągliwość należy się tylko tym, dla których szczęście nie jest łaskawe. Gdyż jedynie księżyc ma miejsce na plamy, a nie gwiazdy.

Rodzice mego męża zmarli już dawno, a jego stara babka była panią domu. Mój mąż był jej oczkiem w głowie, jej najwyższym klejnotem. I tak nie czyniono mu trudności, jeśli nie przestrzegał starych zwyczajów.

Gdy wprowadził do domu miss Gilby, aby mnie uczyła i towarzyszyła mi, przeprowadził swoją wolę mimo gadatliwych i jadowitych języków w domu i poza domem.

Mój mąż zdał wówczas właśnie swój pierwszy akademicki egzamin i przygotowywał się do drugiego, dlatego musiał mieszkać w Kalkucie i słuchać na uniwersytecie wykładów. Codziennie zwykł pisać do mnie kilka ulotnych zdań, ale jego śmiałe, pełne charakteru pismo, patrzyło na mnie, ach, tak czule! Przechowywałam jego listy w szkatule z sandałowego drzewa i okrywałam je codziennie świeżemi kwiatami z ogrodu.

Wówczas już obraz księcia z bajki zblakł jak księżyc w świetle poranka. W moim sercu rządził teraz książę mego rzeczywistego świata. Byłam jego królową. U boku jego miałam swoje miejsce. Ale najwyższe moje szczęście polegało na tem, że prawdziwe moje miejsce było u jego nóg.

W międzyczasie zapoznano mnie z duchem współczesności i nauczyłam się jego mowy. Stąd wydaje mi się, jakby owe skromne słowa, które piszę, rumieniły się wstydliwie. Nawet mimo mojej znajomości nowoczesnego sposobu życia, naturalne moje uczucie powiedziałoby mi, że tak, jak niezależnie od mojej woli przyszłam na świat jako kobieta, tak również zdolność oddania się w miłości u kobiety nie da się wyuczyć jak oklepany cytat z romantycznej poezji, który jakaś uczenica pięknie wykaligrafowanem pismem wpisuje nabożnie do swego zeszytu.

Ale mój mąż nie dał mi nigdy sposobności okazania mu mojej czci. I to właśnie było w nim wielkie. Są słabi ludzie, którzy żądają od swych kobiet bezwzględnego oddania się, jako swe prawo; jest to dla nich dwojga upokorzeniem.

Miłość jego dla mnie zdawała się moją przewyższać, gdy obsypywał mnie hołdami i bogactwami. Ale odczuwałam raczej potrzebę dawania, niż otrzymywania; gdyż miłość jest włóczęgą, której kwiaty czują się lepiej w kurzu dróg, niż w kryształowej wazie salonu.

Mąż mój nie mógł zerwać całkowicie z staremi, zarzuconemi zwyczajami, panującemi w naszej rodzinie. Dlatego też było nam trudno widzieć się o każdej dowolnej godzinie dnia [1]. Znałam dokładnie

[1] Nie jest uważane za stosowne, gdy mężczyzna odwiedza nieustannie pokoje kobiety, z wyjątkiem oznaczonych godzin, poświęconych wieczerzy albo spoczynkowi.

czas, w którym mógł przyjść do mnie i w ten sposób spotkanie nasze było zawsze przygotowane z ogromną pieczołowitością. Następowało ono jak rym poematu w regularnej stopie rytmu.

Gdy popołudniu ukończyłam swoją codzienną pracę i wzięłam kąpiel, uczesałam włosy, odnowiłam czerwone znamię na czole i wdziałam starannie złożoną sari, a potem, uwolniwszy ciało i ducha od wszystkich domowych obowiązków, ofiarowałam się o tej oznaczonej, uroczystej godzinie tylko jemu jednemu. Czas spędzony z nim w tym dniu był krótki, a przecież nieskończony.

Mój mąż zwykł mówić, że mężczyzna i kobieta równi są w swej miłości, gdyż mają do siebie jednakie prawa. Nie zaprzeczałam mu, ale serce mówiło mi, że miłość u dwojga ludzi nie stoi na jednakiej wyżynie; tylko wyższa podnosi drugą do swojej wyżyny, przy wzajemnem pożyciu. Dlatego radość wyższej rządzi trwale; nie upada nigdy na poziom pospolitej codzienności.

Było to godne ciebie, mój ukochany, że nie wymagałeś odemnie nigdy hołdu. Ale gdybyś go ścierpiał, wyświadczyłbyś mi w istocie przysługę. Okazałeś mi swą miłość, przystrajając mnie, kształcąc, dając mi wszystko, o co cię prosiłam i o co cię nie prosiłam. Widziałam w twych oczach głębię twej miłości kiedy na mnie patrzyłeś! Widziałam tajemne westchnienie bolu, który ukrywałeś z miłości do mnie. Kochałeś moje ciało, jak gdyby było jakimś rajskim kwiatem. Kochałeś całą moją istotę, jak

gdyby opatrzność powierzyła ci ją jako szczególny dar.

Ta rozrzutna miłość napełniała mnie dumą i pozwalała mi wierzyć, że bogactwo, które sprowadziło cię do moich drzwi, należało całkowicie do mnie. Ale taka próżność wstrzymuje jedynie pęd wolnego oddania się w miłości kobiety. Jeśli rządzę jak królowa i żądam hołdu, to pragnienie to wzrasta i nigdy nie jest zaspokojone. Czyż kobieta może znaleść swoje prawdziwe szczęście jedynie w świadomości, że ma nad mężczyzną władzę? Jedynem błogosławieństwem kobiety jest to, iż może swoją dumę przelać w miłość.

Muszę dziś myśleć o tem, jak wówczas, w dniach naszego szczęścia strzelały dokoła nas płomienie zazdrości; było to całkiem naturalne; osiągnęłam przecież moje szczęście jedynie przypadkiem i bez mojej zasługi. Ale opatrzność nie pozwala płynąć fali szczęścia bez końca, jeśli dług honorowy nie będzie nieustannie w ciągu niejednego długiego dnia spłacany i w ten sposób posiadanie szczęścia zabezpieczone. Bóg daje nam wprawdzie zdolności, ale siłę utrzymania ich i zdzierżenia musimy mieć sami. Nawet od darów odskakują niegodne ręce!

Zarówno matka jak babka mego męża stały się sławne z swej piękności. Również moja owdowiała bratowa była niezwykle piękna. A gdy los osamotnił je za to, poprzysięgła babka, że nie będzie pragnęła, aby jej jedyny wnuk patrzał przy zawieraniu małżeństwa na piękność. Jedynie znaki zapowiada-

jące szczęście, otworzyły mi wstęp do tej rodziny; — inaczej nie mogłabym rościć sobie prawa do tego.

W tym domu przepychu tylko nieliczne jego kobiety znalazły należne uszanowanie. Przyzwyczaiły się jednak do zwyczajów rodziny i utrzymały się na powierzchni, uniesione swą godnością jako księżniczki starego domu, jeśli nawet łzy ich tonęły w pieniącem się winie, a płacz ich głuchł w pobrzęku obręczy tańczących dziewcząt. Czyż to było moją zasługą, że mój mąż nie tykał żadnych gorących napojów, ani też nie trwonił swej męskości na kobiecym targu? Czyż znałam jakiś czar, któryby ujarzmiał dzikie, niesyte zmysły mego męża? Miałam szczęście, nic pozatem. Gdyż w stosunku do mej bratowej los okazał się bardzo nieczułym. Wesele jej skończyło się wczesnym jeszcze wieczorem, a światłość jej piękności oświetlała nadaremnie puste hale i spłonęła, gdy muzyka dawno już przebrzmiała.

Moja bratowa odnosiła się do nowoczesnych poglądów mego męża z pogardą. Jakże śmiesznem wydawało się, że rodzinny okręt, ładowny wszystkiemi bogactwami swej zaszczytnej od wieków sławy, puszczał na fale pod flagą tak niepokaźnej, małej kobiety! Ileż razy musiałam znosić bicze szyderstwa! „Złodziejka, która wkradła się w miłość męża, oszustka, ukrywająca się pod bezwstydem swego modnego stroju!“ Jaskrawe, nowoczesne suknie, w które mąż lubiał mnie stroić, wzbudzały w niej wściekłą zazdrość. „Czyż nie wstydzi się ona czynić z siebie wystawę — i to jeszcze przy jej wyglądzie!“

Mój mąż zauważył to wszystko, ale łagodność jego była bezgraniczna. Błagał mnie gorąco, abym jej wybaczyła.

Pamiętam jeszcze, jak pewnego razu rzekłam do niego: „Dusza kobiety jest tak mała i ułomna“. „Jak nogi Chinek“, odrzekł. „Czyż społeczeństwo nie ujarzmiło ją do tego stopnia, iż musiały się stać małemi i ułomnemi? Są one tylko ofiarą kapryśnego losu. Jakżeż można czynić je za to odpowiedzialnemi?“

Udawało się zawsze mojej bratowej otrzymywać od mego męża wszystko, co chciała. Nie zastanawiał się wpierw, czy prośby jej były usprawiedliwione lub rozumne. Ale najbardziej oburzało mnie to, że nie była mu wcale za to wdzięczna. Przyrzekłam memu mężowi, że nie będę odpowiadać na jej łajania, ale w duszy gniewało mnie to jeszcze bardziej. Czułam, że dobroć ma swe granice i jeśli się ją przekroczy, popada się łatwo w słabość. Tak, czyż mam wyznać prawdę? Życzyłam sobie często, aby mój mąż mógł posiadać tyle męskości, by stać się nieco mniej dobrym.

Moja bratowa Bara Rani[1] była jeszcze młoda

[1] Bara = starsza, Tszota = młodsza. W znakomitych domach wdowy zachowują swój stopień podług starszeństwa, jakkolwiek mają prawo jedynie do dożywotniej renty z majątku swego męża, a tytuły Bara i Tszota pozostają przy starszych i młodszych latoroślach rodziny, chociaż nawet młodsza latorośl jest rządzącą.

i nie miała pretensji do świętości. Przeciwnie, mowy jej i żarty miały w sobie coś zuchwałego. Również młode dziewczęta, któremi się otaczała, były dość bezwstydne. Ale nikt nie wyrzucał jej sposobu zachowania się, gdyż był to ton, do którego przyzwyczajono się w domu. A to, co najbardziej zniechęcało ich do mnie, zdaje mi się, było szczęście, iż posiadam tak nienagannego męża. On jednakowoż odczuwał mniej błędy swego charakteru, niż smutek swego losu.

II.

Mój mąż pragnął gorąco wyprowadzić mnie w świat z odosobnienia moich małżeńskich komnat.

Pewnego dnia rzekłam mu: „Pocóż mi tamtego świata?"

„Może świat potrzebuje ciebie", odrzekł.

„Jeśli tak długo obchodził się bezemnie, może to czynić jeszcze dłużej. Przecież nie zginie z tęsknoty za mną".

„Ach, co do mnie, może zginąć. O to się zupełnie nie troszczę. Myślę o sobie samym".

„O, rzeczywiście! Cóż tobie jest?"

Mój mąż uśmiechnął się w milczeniu.

Znałam jego zwyczaje i broniłam się przeciw temu natychmiast:

„Nie, nie, tak mi nie ujdziesz. Muszę wiedzieć, co to jest".

„Czyż wszystko da się wyrazić słowami?"

„Proszę cię, nie mów zagadkowo! Powiedz mi"...

„Otóż chciałbym właśnie, abyśmy również w świecie dzielili razem nasze życie. Tu jesteśmy sobie oboje jeszcze nieco dłużni".

„Czyż brak czegoś tej miłości, którą obdarzamy się wzajemnie tu w domu?"

„Tu jesteś cała we mnie. Nie wiesz co masz, ani czego ci brak".

„Nie lubię słuchać, gdy tak mówisz".

„Pragnąłbym, abyś weszła w wir życia i pędu i poznała rzeczywistość. Nie jesteś do tego stworzona, aby tylko dzień w dzień wypełniać swoje domowe obowiązki i całe swe życie przepędzać w pospolitym trybie domowego gospodarstwa, wśród ciasnych ścian wzniesionych dokoła kobiet przez tradycje. Dopiero gdy tam, w świecie rzeczywistości, ujrzymy się i poznamy, miłość nasza będzie doskonałą i prawdziwą".

„Jeśli cośkolwiek przeszkadza nam tu, abyśmy się dokładnie poznali, nie powiem nic. Ale co do mnie, nie czuję, aby cośkolwiek brakowało".

„Dobrze, ale jeśli nawet przeszkoda leży po mojej stronie, czyż nie możesz pomódz, aby ją usunąć?"

Podobne rozmowy powtarzały się częściej. Pewnego dnia rzekł: „Człowiek, który łaknie smażonej ryby, nie ma w swej żądzy wyrzutów sumienia, jeśli pokraje rybę podług swej potrzeby. Ale ów, który rybę lubi, pragnąłby się nią cieszyć w wodzie i jeśli to jest niemożliwe, czeka na brzegu, a nawet

gdy przyjdzie do domu, nie zobaczywszy jej, pragnie wiedzieć, czy ryba jest dobrze zachowana. Módz posiadać kogoś w jego doskonałości, jest najwyższą zdobyczą, ale jeśli to jest niemożliwe, to drugą najwyższą zdobyczą jest zrezygnować z posiadania jej na rzecz doskonałości innego".

Nie lubiałam słuchać męża rozprawiającego o tem w ten sposób, ale nie to było powodem, dla którego wahałam się opuścić małżeńskie komnaty. Babka jego żyła jeszcze. Mój mąż zapełnił więcej niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent domu dwudziestym wiekiem, co się sprzeciwiało bardzo jej smakowi, ale mimo to znosiła wszystko, nie skarżąc się. Zniosłaby również, gdyby małżonka radży[1] porzuciła swoją powściągliwość. Była nawet przygotowana, iż tak się stanie. Ale rzecz ta nie wydawała mi się tak ważna, aby mogła sprawiać jej tyle przykrości. Czytałam w książkach, że nazwano nas „ptakami w klatce". Nie wiem, jak się dzieje z innemi, ale dla mnie klatka ta zawierała tyle, iż nie pomieściłoby się to na całym świecie — przynajmniej wówczas tak odczuwałam.

Babka, która była już bardzo stara, ceniła mnie wysoko. Pochlebiało to jej miłości, że z pomocą sprzyjającej mi gwiazdy zdołałam zdobyć miłość mego męża. Czyż mężczyźni nie są już z natury skłonni do pogrążania się w rozpuście? Żadna inna

[1] Poważanie małżonki radży posiada ogromne znaczenie u znakomitych Hindusów.

nie potrafiła mimo swojej piękności powstrzymać swego męża od rzucenia się na oślep w piekielną otchłań, która go pochłaniała i niweczyła. Sądziła, że jestem środkiem, który gasi owe namiętności, tak zgubne dla mężów jej rodu, dlatego też strzegła mnie jak największego swego skarbu i drżała, jeśli mi na najmniejszem choćby zbywało.

Babka nie mogła znieść strojów i ozdób, które mąż mój kupował w europejskich sklepach, aby mnie niemi przystroić. Lecz namyślała się: Mężczyźni muszą mieć jakąś głupią przyjemność, która kosztuje zawsze dużo pieniędzy. Daremnie przeto usiłować, aby im w tem przeszkodzić; należy się cieszyć, jeśli się przytem zupełnie nie marnują. Jeśli mój Nikhil nie byłby wiecznie zajęty przystrajaniem swej żony pięknemi sukniami, któż wie, na kogo roztrwoniłby swoje pieniądze. Dlatego też, ilekroć przyszła dla mnie nowa suknia, kazała wołać mego męża i cieszyła się nią razem z nim. I tak się stało, iż ona to właśnie zmieniła swoje upodobanie. Tak, tak dalece uległa wpływowi współczesnego ducha, iż nie upłynął żaden wieczór, abym nie opowiedziała jej jakiejś opowieści z angielskich książek.

Po śmierci mojej babki mąż mój pragnął bardzo, abym się przeniosła wraz z nim do Kalkuty. Nie mogłam się jednak na to zdecydować. Czyż to nie nasz dom miała w swej troskliwej opiece we wszystkich kłopotach i cierpieniach? Czyż nie dosięgnie mnie przekleństwo, jeśli go opuszczę i odejdę do miasta? Oto była myśl, która powstrzymywała

mnie, ilekroć puste jej miejsce patrzyło na mnie z wyrzutem. Ta szlachetna kobieta przyszła do tego domu, mając osiem lat, a gdy umarła miała siedemdziesiąt osiem. Nie miała szczęśliwego życia. Los godził w jej piersi raz za razem, a jednak wydobywał z niej zawsze niezniszczalną siłę jej duszy. Ten wielki dom uświęcony był jej łzami. Cóż miałam czynić zdala od niego, w kurzu Kalkuty?

Mój mąż wyobrażał sobie, że w ten sposób możemy mej bratowej dać przyjemność rządzenia domem, a równocześnie rozszerzymy nasze życie. Ale w tym względzie nie mogłam się z nim zgodzić. Uczyniła mi życie męką, zazdrościła mojemu mężowi szczęścia, a teraz miała być za to wynagrodzona! A gdybyśmy pewnego dnia chcieli tu powrócić? Czyż zajęłabym znów pierwsze miejsce?

„Cóż ci tak chodzi o pierwsze miejsce? zwykł mówić mój mąż. „Czyż niema w życiu nic bardziej wartościowego?"

Mężczyźni nie rozumieją nigdy takich rzeczy. Mają swoje gniazda za domem, i nie znają całej wartości rodzinnego życia. W tych rzeczach powinni poddać się woli kobiet. — Tak wówczas sądziłam.

Dla mnie najważniejszą rzeczą było to, że musi się bronić swoich praw. Odejść i zostawić wszystko w rękach nieprzyjaciela, znaczyłoby tyle, co przyznać się do klęski.

Ale dlaczego mój mąż nie zmuszał mnie, abym szła z nim do Kalkuty? Znam powód. Nie używał swej przemocy, właśnie dlatego, że ją posiadał.

III.

Jeśliby ktoś chciał zwolna wypełnić przepaść między dniem a nocą, potrzebowałby do tego wieczności. Ale słońce wschodzi i ciemność rozprasza się — wystarcza chwila do przezwyciężenia nieskończonej otchłani.

Pewnego dnia rozpoczął się w Bengalji nowy okres ruchu swadeśi[1]; ale jak to się stało, nie mieliśmy jasnego wyobrażenia. Nie było to ogólne przejście z przeszłości do teraźniejszości. I to było, jak sądzę, powodem, dlaczego nowa epoka przeszła przez nasz kraj jak powódź, niszcząc tamy i unosząc z sobą cały nasz rozsądek i nasz lęk. Nie mieliśmy nawet czasu pomyśleć nad tem lub zrozumieć, co się stało albo co się stać miało.

Serce moje i zmysły moje, nadzieje moje i życzenia, rozgorzały namiętnością tego nowego czasu. I jeśli mury mego domu, które przecież w ostatnim czasie były dla mego ducha światem, nie rozsypały się, to jednak patrzyłam przez nie w dal i z odległych horyzontów słyszałam głos, którego słów nie rozumiałam wprawdzie dokładnie, a którego wezwanie przenikało bezpośrednio moje serce.

Od czasu, gdy mąż mój studjował na uniwersytecie, usiłował wpłynąć na to, aby nasz lud wytwarzał w własnym kraju przedmioty, których potrze-

[1] Narodowy ruch, mający na początku bardziej gospodarczy niż polityczny charakter, zmierzający głównie do podniesienia krajowego przemysłu.

bował. Jest w naszej okolicy wiele daktylowych palm. Starał się wynaleść aparat, zapomocą którego wyciskanoby z owoców sok i przegotowywano potem na cukier i syrop. Powiedziano mi, że aparat funkcjonuje bardzo dobrze, ale wyciska jednak więcej pieniędzy z kieszeni przedsiębiorców, niż soku z daktyli. Wkrótce mąż mój doszedł do wniosku, że nasze usiłowania ożywienia naszego przemysłu, nie mogą być skuteczne, jak długo nie mamy własnego banku. Usiłował wówczas zaznajomić mnie z gospodarstwem ludowem. To jedynie nie zaszkodziłoby jeszcze wiele, ale nabił sobie głowę, aby myśl swoją wpoić również swym ziomkom i w ten sposób utorować drogę dla banku; a potem otworzył rzeczywiście mały bank. Jednakże wysokie procenty, które skłoniły wieśniaków do tłumnego wkładania swych pieniędzy, zniszczyły wkrótce bank zupełnie.

Starzy zawiadowcy majątków byli zatroskani i przerażeni. Nieprzyjaciele triumfowali. Z całej rodziny pozostała spokojną i wyrozumiałą jedynie babka mego męża. Łajała mnie, mówiąc: „Dlaczego go wszyscy tak dręczycie? Czyż zresztą troszczycie się o los dobra? Jakże często już przeżyłam, że majątek ów poszedł pod zastaw podatkowym egzekutorom! Czyż mężczyźni są tacy jak kobiety? Mężczyźni są urodzonymi marnotrawcami i umieją jedynie trwonić pieniądze. Uważaj, moje dziecko, powinnaś się mienić szczęśliwą, że twój mąż nie stracił również swego zdrowia!“

Lista osób wspieranych przez mego męża była

bardzo długa. Ktokolwiek tylko pragnął wynaleść nową tkalnię lub nową maszynę do łuskania ryżu, popierał go aż do zupełnej ruiny. Ale najbardziej gniewał mnie sposób, w jaki wyzyskiwał go Sandip Babu, który roboty swej dla ruchu swadeśi używał za pokrywkę. Cokolwiek tylko było, czyto założenie jakiejś gazety lub podróż z wykładami dla celów sprawy, lub też zmiana klimatu z porady jego lekarza, mój mąż dawał mu bez pytania. I na to wszystko udzielał Sandipowi Babu pieniędzy, prócz określonej sumy, którą ów otrzymywał od niego regularnie na swoje utrzymanie. Ale najdziwniejszem było to, że mój mąż i Sandip Babu nie zgadzali się w swych poglądach.

Gdy burza ruchu swadeśi wzburzyła również moją krew, rzekłam do męża: „Muszę spalić wszystkie moje zagraniczne stroje“.

„Dlaczego chcesz je spalić? rzekł. „Możesz ich nie nosić, jak długo nie pragniesz“.

„Jak długo nie pragnę! Przez całe życie...“

„Dobrze, zatem nie noś ich! Ale pocóż zaraz urządzać uroczyste stosy ofiarne?“

„Czy chciałbyś przeszkodzić mi w mojem postanowieniu?

„Oto co chciałbym ci powiedzieć: Dlaczego nie chcecie raczej budować? Nie powinniście trwonić ani dziesiątej części waszej siły na niszczycielską nienawiść“.

„Nienawiść ta doda nam siły do budowania“.

„To znaczy tyle, jakbyście mówiły, że nie chcecie oświetlić domu, bez podpalenia go“.

UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA FILIA w Białymstoku

Wkrótce przybyła nowa przykrość. Gdy Miss Gilby przyszła poraz pierwszy do naszego domu, było wielkie poruszenie, które potem zwolna ucichło, kiedy się do niej przyzwyczajono. Obecnie roztrząsano sprawę na nowo. Nie troszczyłam się pierwej o to, czy Miss Gilby jest Europejką czy Hinduską, ale obecnie nie było mi to obojętne. Rzekłam do mego męża: „Musimy Miss Gilby oddalić z naszego domu".

Milczał.

Stałam się natarczywą, a on odszedł zasmucony.

Gdy się wypłakałam, byłam wieczorem przy naszem spotkaniu nieco spokojniejszą. „Nie mogę patrzeć na Miss Gilby przez jakąś mgłę abstrakcyjnych teorji", rzekł mój mąż, „jedynie dlatego, że jest Angielką. Czyż po tak długiej znajomości nie możesz wyjść poza granicę czystej nazwy? Czyż nie możesz zrozumieć, że cię ona kocha?"

Byłam nieco zawstydzona i odpowiedziałam trochę podrażniona: „A więc zostaw ją. Nie uwzięłam się, aby ją wygnać".

I Miss Gilby została.

Ale pewnego dnia słyszałam, że jakiś młody chłopiec obrzucił ją wyzwiskami w drodze do kościoła. Był to chłopak, którego wspieraliśmy. Mąż mój wygnał go z domu. Nikt nie przebaczył mojemu mężowi w tym dniu owego czynu — nawet ja. Tym razem Miss Gilby odeszła dobrowolnie. Płakała, gdy przyszła pożegnać się z nami, ale gniew mój nie zmalał. Tak wygnać biednego młodzieńca — a w dodatku tak wspaniałego młodzieńca, który z zapału dla narodowej sprawy zapominał o jedzeniu i piciu.

Mąż mój odwiózł Miss Gilby na dworzec własnym powozem. Uważałam, że posunął się za daleko. A gdy przesadne pogłoski o owym wypadku dały podstawę do publicznego skandalu, na który napadły gazety, uznałam, że stało się mu całkiem słusznie.

Byłam często niespokojną z powodu postępków mego męża, ale nigdy przedtem nie wstydziłam się ich; ale obecnie musiałam się za niego rumienić. Nie wiedziałam dokładnie, i było mi to również obojętne, jaką krzywdę wyrządził Miss Gilby ów biedny Noren, lub też mógł jej wyrządzić; ale jakżeż można było w takim czasie spierać się o to! Nie chciałabym zdławić mego uczucia, które kazało małemu Norenowi okazać Angielce swą pogardę. Musiałam uważać za oznakę słabości, że mój mąż nie rozumiał tak prostej rzeczy. I dlatego rumieniłam się za niego.

A przecież nie było tak, by mój mąż wahał się wspierać ruch swadeśi lub żeby przeciwdziałał w czemkolwiek narodowej sprawie. Nie mógł tylko oddać się całem sercem duchowi „Wande Mataram"[1].

„Chętnie pragnę służyć mojemu krajowi", rzekł, „ale sprawiedliwość cenię wyżej niż ojczyznę. Kto czyni z ojczyzny bożyszcze, ściąga na nią przekleństwo".

[1] „Chwała ci, Matko!", początkowe słowa pieśni *Bankima Czatterdżi*, znakomitego bengalskiego powieściopisarza. Pieśń stała się obecnie narodowym hymnem, a *Wande Mataram* jest od czasu ruchu swadeśi narodowem hasłem.

ROZDZIAŁ DRUGI.

OPOWIADANIE BIMALI.

IV.

W tym czasie wydarzyło się, iż Sandip Babu przyszedł z swymi zwolennikami w nasze okolice, aby wygłaszać mowy w sprawie ruchu swadeśi.

W naszej świątyni miało się odbyć wielkie zgromadzenie. My kobiety siedzimy tam po jednej stronie, za kotarą. Zwycięski okrzyk *Wande Mataram* zbliża się, a ciało moje przenika dreszcz lęku. Nagle gromada bosych młodzieńców w żółtych ascetycznych szatach i w turbanach wpada na dziedziniec świątyni, jak spieniony czerwonym iłem strumień rwący przy pierwszej nawałnicy w wyschłe koryto rzeki. Cała przestrzeń wypełnia się niezmierzoną rzeszą ludzi, przez którą niosą Sandipa Babu, siedzącego wyniośle na wielkiem krześle, dźwiganem na ramionach przez kilkunastu młodzieńców.

Wande Mataram! Wande Mataram! Wande Mataram! Wydaje się, jakby niebo miało rozpęknąć i rozsypać się w drobne cząsteczki.

Widziałam już przedtem obraz Sandipa Babu. Było coś w jego obliczu, czego nie mogłam znieść. Nie, aby był brzydki — przeciwnie, miał twarz niezwykle piękną. Jednak, nie wiem, zdawało mi się, że mimo całej swej piękności było w niej za wiele po-

spolitości. Błysk jego oczu wydawał mi się nie dość prawdziwy. Dlatego też nie chciałam, aby mój mąż ulegał bez namysłu wszystkim jego życzeniom. Utratę pieniędzy mogłam już przeboleć, ale gniewało mnie to, że oszukiwał mego męża i wykorzystywał jego przyjaźń. Zachowanie się jego nie było ascetyczne, nawet nie znamionujące człowieka żyjącego w skromnych warunkach, lecz nawskróś wystawne i zdradzające zamiłowanie przepychu... Cały szereg podobnych spostrzeżeń przyszedł mi dziś na myśl, lecz o tem dość!

Jednak gdy Sandip Babu począł tego popołudnia mówić, a serca tłumu jęły przy jego słowach wzruszać się i porywać, jakby chciały przełamać wszelkie zapory, wydał mi się przedziwnie promienny. Szczególniej, gdy rysy jego twarzy oświetliło nagle zachodzące słońce, zapadające zwolna za konturami dachu świątyni, wydał mi się jakby posłannikiem boga.

Od początku do końca mowa jego była jednym gwałtownym wybuchem. Ufność jego w zwycięstwo sprawy była niewzruszona. Nie wiem jak to się stało, ale zauważyłam nagle, że niecierpliwie odsunęłam zasłonę i spojrzałam na niego silnie. Nikt jednak z tłumu nie zauważył, co uczyniłam. Raz tylko spostrzegłam, jak oczy jego błysnęły ku mnie, gdyby gwiazdy tajemniczego Orjona.

Zapomniałam się zupełnie. Nie byłam już małżonką radży, ale jedyną przedstawicielką kobiet Bengalji. A on był bojownikiem Bengalji. Jeśli niebo

zlało nań swoje światłości, przeto błogosławieństwo kobiety musiało go uświęcić w przypadającem mu zadaniu...

Dostrzegłam całkiem wyraźnie, że z chwilą gdy mnie ujrzał, płomień jego mowy rozgorzał jeszcze namiętniej. Rumak Indry nie dał się ujarzmić i nastąpiły grzmoty piorunu i połyskiwanie błyskawic. Szeptałam sobie, że mowa jego zapaliła się w moich oczach, gdyż my kobiety czuwamy nietylko nad ogniem domowego ogniska, lecz również nad płomieniem samej duszy.

Gdy tego wieczora wróciłam, promieniałam nowem uczuciem dumy i radości. Burza w mej duszy roztargała całą mą istotę i przesunęła jej punkt ciężkości. Jak dziewice starej Grecji uciełabym chętnie moje długie, lśniące warkocze, by uczynić z nich cięciwę dla mego bohatera. Gdyby mój zewnętrzny strój łączył się z mojemi uczuciami, to naszyjnik i naramienniki rozerwałyby swoje zamki i jak zjawa meteorów rozlałyby się nad zgromadzeniem. Czułam, że musiałam złożyć osobistą ofiarę, aby przetrzymać w duszy napór namiętnego wzruszenia.

Gdy mój mąż wrócił potem do domu, drżałam z lęku, że może coś rzec, coby sprzeczało się z pieśnią zwycięstwa, dźwięczącą w moich uszach; obawiałam się, że fanatyzm prawdy mógł go unieść do wyrażenia się szyderczo o tem, co po południu mówiono. Wówczas bowiem byłabym go otwarcie wykpiła i upokorzyła. Lecz nie rzekł ani słowa... i to nie podobało mi się również. Powinien był rzec:

„Sandip przemówił mi do rozumu. Teraz widzę, jak bardzo dotychczas błądziłem".

Czułam, że milczy ze złości i gniewu, że egoistycznie odsunął się od zapału. Spytałam go, jak długo zostanie u nas Sandip Babu.

„Wyjedzie jutro rano do Rangpuru", rzekł mój mąż.

„Czyż koniecznie jutro?"

„Tak, przyrzekł, że będzie tam mówić".

Milczałam przez chwilę, potem spytałam: „Czyżby nie mógł zostać jeszcze dzień?"

„To będzie bardzo trudno. Ale dlaczego chciałabyś tego?"

„Chciałabym go zaprosić na obiad i usługiwać mu sama".

Mój mąż był zaskoczony. Prosił mnie często, abym była obecna, gdy są u niego na obiedzie jego blizcy przyjaciele, ale nigdy nie chciałam się dać do tego nakłonić. Patrzał na mnie przez chwilę w milczeniu i uważnie, spojrzeniem, którego dobrze nie rozumiałam.

Nagle ogarnęło mnie uczucie wstydu.

„Nie, nie", zawołałam, „pod żadnym warunkiem".

„Dlaczegóż nie?" rzekł. „Chcę go sam spytać; jeśli to jest tylko możliwe, pozostanie jeszcze z pewnością jutro".

Okazało się to zupełnie możliwem.

Pragnę wyjawić prawdę. W owym dniu czyniłam mojemu szafarzowi wyrzuty, że nie przystroił mnie z nadzwyczajną pięknością — nie, abym pragnęła tem kraść serca, ale dlatego, ponieważ piękność opromie-

nia. W tym dniu mieli mężczyźni rozpoznać w kobiecie bóstwo kraju. Ach, lecz oczy mężczyzn nie rozpoznają bóstwa, jeśli brak mu zewnętrznej piękności. Czyż Sandip Babu dostrzeże objawiającą się we mnie *śakti*[1] naszego kraju? Lub też czy będzie mnie uważał za zwyczajną gospodynię?

Owego poranka skropiłam moje powłóczyste włosy pachnącą wodą i związałam je w wolny warkocz czerwoną, jedwabną wstążką, przemykającą się zgrabnie. Obiad miał być już o dwunastej, nie miałam więc naturalnie czasu po kąpieli uczesać ich wysoko podług przyjętego zwyczaju. Wdziałam złotem obramowaną, białą sari, a również moja muślinowa bluzka, z krótkimi rękawami, miała złotą lamówkę.

Uważałam, że mój strój był w istocie bardzo dyskretny i że nie mogło być nic bardziej pojedynczego. Ale moja bratowa, która przypadkowo przechodziła, stanęła nagle przedemną, spojrzała na mnie od stóp do głów i uśmiechnęła się wymownie przez zaciśnięte wargi. Gdy spytałam ją o powód, rzekła: „Podziwiam twój strój".

„Cóż jest w nim tak śmiesznego?" spytałam rozgniewana.

„Jest wspaniały", rzekła. „Pomyślałam właśnie, że nadawałaby się do niego znakomicie jedna z tych głęboko wyciętych angielskich talji". I nietylko usta jej i oczy, lecz również całe jej ciało zda-

[1] Siła, moc, szczególniej magiczna siła boga; później uosobniona w kobiecem bóstwie. Specjalnie jako nazwisko małżonki Sziwy, zwanej również Kali.

wało się trząść od ukrywanego śmiechu, gdy opuszczała pokój.

Byłam ogromnie zła i w pierwszej chwili chciałam wszystko zdjąć i wdziać codzienne moje suknie. Nie umiem dokładnie powiedzieć, co mi przeszkodziło w wykonaniu tego zamiaru. Kobiety są ozdobą towarzystwa — mówiłam sobie — i mój mąż nie życzyłby sobie, abym się pokazała przed Sandipem Babu ubrana nieodpowiednio.

Miałam zamiar pokazać się wówczas, gdy zasiędą już do obiadu.

Przy doglądaniu służby mogłam najlepiej przezwyciężyć pierwszy lęk. Ale jedzenie nie było na czas gotowe, a było już późno. Tymczasem mąż kazał mnie przywołać, chcąc mnie przedstawić gościom.

Byłam strasznie zmieszana, gdy miałam spojrzeć w twarz Sandipa Babu. Udało mi się jednak opanować się i rzekłam: „Bardzo mi przykro, że jedzenie tak spóźnione".

Przystąpił do mnie bez najmniejszego zmieszania i usiadł koło mnie. „Obiad, rzekł, dostanę gdziekolwiekbądź codziennie, ale bogini obfitości pozostanie za sceną. Więc, ponieważ bogini zjawiła się sama, nie szkodzi to wcale, że jedzenie każe na siebie czekać".

W prywatnem obcowaniu był równie emfatyczny, jak w swych publicznych mowach. Nie wahał się i był przyzwyczajony zajmować bez wezwania miejsce, które sobie wybrał. Domagał się poufałości z taką pewno-

ścią, iż można się było czuć winnym, jeśliby się mu odmówiło.

Straszną wydawała mi się myśl, że Sandip Babu może mnie uważać za skromną, staromodną szczyptę niepozorności. Ale nigdy w mojem życiu nie mogłabym go oczarować lub olśnić pełnemi polotu odpowiedziami. Jak więc przyszłam na ów nieszczęśliwy pomysł, pytałam się gniewnie siebie samą, aby odgrywać przed nim tak komiczną figurę?

Po skończeniu obiadu chciałam się oddalić, ale Sandip Babu, zuchwały jak zawsze, zastąpił mi drogę.

„Niechaj mnie Pani nie uważa za tak wielkiego materjalistę, rzekł. Skłoniło mnie do pozostania jedynie zaproszenie Pani, a nie obiad. Jeśli Pani teraz ucieknie, nie postąpi Pani z swym gościem uczciwie".

Gdyby był słów owych nie wypowiedział w żywym i niewymuszonym tonie, byłyby mnie one zupełnie zniechęciły. Ale muszę przyznać, że był tak blizkim mojemu mężowi, iż mogłam się uważać za jego siostrę.

Podczas, gdy w duszy usiłowałam zdobyć się na ów poufały ton, mąż mój przyszedł mi z pomocą, mówiąc: „Czyż nie możesz wrócić, gdy skończysz swój obiad?"

„Ale musi nam Pani dać swoje słowo, zanim Panią puścimy", rzekł Sandip Babu.

„Przyrzekam", rzekłam z lekkim uśmiechem.

„Pragnę Pani wyznać, dlaczego nie mogę Pani wierzyć", ciągnął Sandip Babu. „Nikhil jest już dzie-

więć lat żonaty; przez ten cały czas wymykała mi się Pani. Jeśli to samo uczyni Pani znów przez dziewięć lat, nie zobaczymy się wogóle więcej".

Zapytałam cicho w duchu jego uwagi: „Ależ dlaczego nie mielibyśmy się nawet potem zobaczyć?"

„Mój horoskop powiada mi, że umrę wcześnie. Żaden z moich przodków nie przekroczył trzydziestego roku życia. Mam obecnie dwadzieścia siedem".

Wiedział, iż to uczyni wrażenie. A tym razem musiał posłyszeć w mym głosie lekki ton troski, gdym cicho rzekła: „Błogosławieństwo całego kraju odwróci z pewnością zły wpływ gwiazd".

„Przeto samo bóstwo kraju musi użyczyć swego głosu temu błogosławieństwu. Oto jest powód, dlaczego tak gorąco pragnę, aby Pani wróciła, by mój talizman zaczął działać już od dzisiaj".

Sandip Babu posiada swój sposób zdobywania wszystkiego przemocą, iż nie mogłam nawet wziąć mu czegoś za złe, na co innemu nigdybym nie zezwoliła.

„A więc", zakończył z uśmiechem, „tak długo będę Pani męża trzymał tu za zakładnika, aż Pani powróci".

Gdy chciałam odejść, zawołał: „Czyż mogę prosić Panią o jedną drobnostkę?"

Odwróciłam się, nieco przerażona.

„Nie lękaj się Pani", rzekł. „To tylko szklanka wody. Zauważyła Pani zapewnie, że przy jedzeniu nie piłem wody. Piję ją nieco później".

Musiałam wówczas okazać pewne zainteresowanie

i spytać o powód. Opowiedział mi, że dłużej już jak od pół roku cierpiał na nieżyt, a teraz w końcu, gdy wypróbował nadaremnie wszystkie możliwe allopatyczne i homeopatyczne środki, osiągnął nadzwyczajne rezultaty krajowemi środkami leczniczemi.

„Widzi Pani", dodał z uśmiechem, „Bóg sam urządził w ten sposób moje ułomności, że ustępują jedynie przed bombardowaniem pigułkami swadeszi".

Tu wmieszał się mój mąż. „Musisz przyznać", rzekł, że masz równie wielki pociąg do zagranicznej medycyny, jak meteory do ziemi. Masz w swem pomieszkaniu trzy szafki..."

Sandip Babu przerwał mu. „Wiesz, czem one są? Są one policją karną. Są tu, nie dlatego, ponieważ potrzeba ich, ale ponieważ są nam narzucone przez współczesny ustrój towarzyski, aby nakładały na nas pieniężne kary lub wyrządzały nam inne szkody".

Mój mąż nie znosi przesady, zauważyłam więc, że był zniechęcony. Ale każda ozdoba jest przesadą. Pochodzi nie od Boga, ale od człowieka. Pamiętam, jak raz broniłam się przeciw mojemu mężowi, gdy skłamałam: „Tylko drzewa, zwierzęta i ptaki mówią całkiem nagą prawdę, ponieważ tym biedakom zbywa na zdolności wynajdywania. W tem okazują ludzie swoją wyższość nad niższemi stworzeniami, a kobiety górują znów nad mężczyznami. „Jak kobiecie przystoi bogaty strój, tak również prawdzie ozdoba".

Gdy wyszłam na korytarz, prowadzący do nie-

wieścich komnat, ujrzałam moją bratową stojącą przy oknie, przez które można było patrzeć do salonu.

Starała się śledzić przez żaluzje.

„Ty tutaj?" spytałam zaskoczona.

„Na czatach", odrzekła.

V.

Gdy wróciłam, Sandip Babu usprawiedliwiał się. „Lękam się, że popsułem Pani apetyt", rzekł zatroskany.

Wstydziłam się bardzo. W istocie byłam stosunkowo bardzo szybko gotowa z mojem jedzeniem. Łatwo można było posądzić mnie, że w tym czasie nie mogłam wiele zjeść. Ale nie przyszło mi na myśl, że ktoś będzie mnie posądzał.

Czułam, że Sandip Babu zauważył moje zawstydzenie, które wzmogło się przez to jeszcze bardziej. „Wiem, rzekł, że odpędził Panią odemnie impuls płochliwej zwierzyny, tem bardziej cenię to, że Pani dotrzymała swego przyrzeczenia".

Nie wpadła mi na myśl żadna stosowna odpowiedź, usiadłam więc na brzegu sofy, zarumieniona i nieśmiała. Wizja, którą miałam o sobie, jako wcielonem w kobiecie bóstwie, które samą swoją obecnością wieńczyło dumnym majestatem Sandipa Babu — wizja ta opuściła mnie zupełnie.

Sandip Babu rozpoczął umyślnie z moim mężem dyskusję. Wiedział, że bystry jego umysł wyróżniał

się najlepiej w ciętych odpowiedziach. Odtąd zauważyłam często, że nie opuszczał nigdy sposobności do słownej szermierki, jeśli przypadkowo byłam przy niej obecną.

Znał zapatrywania mego męża na kult *Wande Mataram* i zaczął w wyzywającym tonie: „A więc nie zgadzasz się z tem, że przy patrjotycznej robocie agitacyjnej należy również starać się oddziaływać na fantazję?"

„Należy na nią działać, Sandipie, ale nie uważam, aby można tem wszystkiego dokonać. Chciałbym widzieć moją ojczyznę taką, jaką jest w rzeczywistości i dlatego lękałbym się i uważałbym za niegodne pracować hypnotyzującemi, patrjotycznemi mowami".

„Ale to, co ty nazywasz hypnotyzującemi mowami, jest dla mnie prawdą. Wierzę w moją ojczyznę, jako w mego Boga. Ludzkość jest dla mnie święta. Bóg objawia się zarówno w ludziach, jak w swojej ojczyźnie".

„Jeśli wierzysz w to rzeczywiście, zatem nie powinna istnieć dla ciebie różnica między różnymi ludźmi, a różnymi krajami".

„Całkiem słusznie. Ale uczucie moje jest ograniczone i nie mogę ogarnąć całej ludzkości, dlatego też czczę ją tu, w moim ludzie".

„Nie mam nic przeciw samej czci, ale w jaki sposób chcesz czcić Boga, jeśli nienawidzisz innych narodów, w których on również się objawia?"

„Nienawiść jest również sługą uwielbienia. Ardżuna zyskał łaskę Mahadewy[1] przez to, iż z nim walczył. Bóg będzie w końcu z nami, jeśli będziemy gotowi stanąć przy nim w walce".

„Jeśli tak jest, zatem obydwie są jego sługami, te, które służą twemu narodowi, i te, które mu szkodzą. Ale pocóż jeszcze głosić wtedy patrjotyzm?"

„Jeśli chodzi o własny naród, to zupełnie co innego. Tu serce powiada wyraźnie i żąda, abyśmy mu służyli".

„Jeśli z tego dowodzenia wyciągniesz konsekwencję, musisz przyznać, że, jeśli Bóg objawia się w nas, musimy przedewszystkiem służyć nam samym, gdyż żąda tego nasz naturalny instynkt".

„Słuchaj więc, Nikhilu, wszystko to jest tylko jałową logiką. Czyż nie pojmujesz, że istnieje coś w rodzaju uczucia?"

„Powiem ci otwarcie, Sandipie", odrzekł mój mąż, „że właśnie uczucie moje jest dotknięte, gdy staracie się z niesprawiedliwości uczynić obowiązek, a z bezbożności ideał moralności. Jeśli nie mogę kraść, to przyczyna tego leży nie w mych logicznych zdolnościach, ale w pewnem poczuciu własnej godności i wierności dla moich ideałów".

Wrzało we mnie. Nie mogłam w końcu dłużej milczeć. „Czyż dzieje tych krajów," zawołałam, „czy

[1] Ardżuna, główny bohater plemienia Pandu w wielkim bohaterskim eposie „Mahabharata". Mahadewa, „wielki Bóg", przydomek Wisznu, który w poemacie tym występuje jako Kryszna.

to Anglji, Francji, Niemiec czy Rosji, nie są dziejami kradzieży, popełnionych dla ojczyzny?"

„Muszą za te kradzieże płacić; muszą za to płacić już teraz; dzieje ich nie są jeszcze skończone".

„W każdym razie", wtrącił Sandip Babu, „sądzę, że powinniśmy czynić tak, jak oni. Pozwól nam tylko raz napełnić kufry naszego kraju skradzionemi skarbami, a wówczas mogą nad tem upłynąć wieki, jak w innych krajach, zanim zapłacimy za to, jeśli wogóle do tego przyjdzie. Gdyż ja pytam cię, gdzie znajdujesz dla owego „płacenia" jakiś przykład w historji?"

„Gdy Rzym zapłacił za swoje grzechy, nie wiedział o tem nikt. Przez cały czas szczęście jego zdawało się nieskończone. Ale czy nie widzisz jednego: jak rozpadają się pod brzemieniem swych politycznych kłamstw i zdrad?"

Nie miałam przedtem nigdy sposobności uczestniczyć w dyskusji między moim mężem a jego przyjacielem. Zawsze, gdy sprzeczał się ze mną, czułam, jak niechętnie starał się zbić mnie z tropu. Pochodziło to stąd, że mnie tak bardzo kochał. Dziś po raz pierwszy ujrzałam jego sztukę walczenia na słowa.

Mimo to serce moje nie chciało przechylić się na jego stronę. Szukałam odpowiedzi, ale nie znalazłam żadnej. Jeśli ktoś stanie na punkcie sprawiedliwości, brzmi to wstrętnie, gdy się mu mówi, że nie wszystko nadaje się do życia, co jest dobre.

Nagle Sandip Babu zwrócił się do mnie z zapytaniem: „Cóż Pani na to?"

„Nie zgadzam się z jego rozróżnieniami", rzuciłam. „Powiem Panu krótko i węzłowato, co czuję. Jestem tylko człowiekiem i jako taki mam swoje pragnienia. Pragnęłabym przysporzyć mojej ojczyźnie wiele dobrego. Z konieczności wzięłabym je przemocą albo ukradłabym. Mam moje własne usposobienie. Mogłabym dla mej ojczyzny wpaść w złość. Mogłabym, jeśliby do tego przyszło, popełnić morderstwo i zabójstwo, aby pomścić jej hańbę. Odczuwam potrzebę zapalania się, a to co mnie może porwać, jak moja ojczyzna, musi mi się objawić w zmysłowym kształcie. Musi ono mieć widoczny symbol, wywierający na mnie swój wpływ. Pragnęłabym uosobić moją ojczyznę i nazwać ją matką, boginią, Durgą[1] — i w jej służbie zatopiłabym ziemię w potokach ofiarnej krwi. Jestem człowiekiem, a nie „świętym".

Sandip Babu skoczył podniecony i krzyknął: „Hurra!" — Natychmiast jednak poprawił się i zawołał: *Wande Mataram.*

Lekki dreszcz bólu przebiegł twarz mego męża. Głos jego brzmiał bardzo łagodnie, gdy mówił do mnie: „Również ja nie jestem świętym, również ja jestem człowiekiem. I dlatego nie ścierpię nigdy, aby zło, które jest we mnie, zostało wyniesione do bożyszcza ojczyzny — nigdy!"

Ale Sandip Babu zawołał: „Widzisz, Nikhilu, jak prawda nabiera w sercu kobiety ciała i krwi. Kobieta umie być okropną; jej szał jest jak ślepa

[1] Inne nazwisko małżonki Śiwy, która nazywa się zresztą Uma, Kali i t. d.

to Anglji, Francji, Niemiec czy Rosji, nie są dziejami kradzieży, popełnionych dla ojczyzny?"

„Muszą za te kradzieże płacić; muszą za to płacić już teraz; dzieje ich nie są jeszcze skończone".

„W każdym razie", wtrącił Sandip Babu, „sądzę, że powinniśmy czynić tak, jak oni. Pozwól nam tylko raz napełnić kufry naszego kraju skradzionemi skarbami, a wówczas mogą nad tem upłynąć wieki, jak w innych krajach, zanim zapłacimy za to, jeśli wogóle do tego przyjdzie. Gdyż ja pytam cię, gdzie znajdujesz dla owego „płacenia" jakiś przykład w historji?"

„Gdy Rzym zapłacił za swoje grzechy, nie wiedział o tem nikt. Przez cały czas szczęście jego zdawało się nieskończone. Ale czy nie widzisz jednego: jak rozpadają się pod brzemieniem swych politycznych kłamstw i zdrad?"

Nie miałam przedtem nigdy sposobności uczestniczyć w dyskusji między moim mężem a jego przyjacielem. Zawsze, gdy sprzeczał się ze mną, czułam, jak niechętnie starał się zbić mnie z tropu. Pochodziło to stąd, że mnie tak bardzo kochał. Dziś poraz pierwszy ujrzałam jego sztukę walczenia na słowa.

Mimo to serce moje nie chciało przechylić się na jego stronę. Szukałam odpowiedzi, ale nie znalazłam żadnej. Jeśli ktoś stanie na punkcie sprawiedliwości, brzmi to wstrętnie, gdy się mu mówi, że nie wszystko nadaje się do życia, co jest dobre.

Nagle Sandip Babu zwrócił się do mnie z zapytaniem: „Cóż Pani na to?"

„Nie zgadzam się z jego rozróżnieniami", rzuciłam. „Powiem Panu krótko i węzłowato, co czuję. Jestem tylko człowiekiem i jako taki mam swoje pragnienia. Pragnęłabym przysporzyć mojej ojczyźnie wiele dobrego. Z konieczności wzięłabym je przemocą albo ukradłabym. Mam moje własne usposobienie. Mogłabym dla mej ojczyzny wpaść w złość. Mogłabym, jeśliby do tego przyszło, popełnić morderstwo i zabójstwo, aby pomścić jej hańbę. Odczuwam potrzebę zapalania się, a to co mnie może porwać, jak moja ojczyzna, musi mi się objawić w zmysłowym kształcie. Musi ono mieć widoczny symbol, wywierający na mnie swój wpływ. Pragnęłabym uosobić moją ojczyznę i nazwać ją matką, boginią, Durgą[1] — i w jej służbie zatopiłabym ziemię w potokach ofiarnej krwi. Jestem człowiekiem, a nie „świętym".

Sandip Babu skoczył podniecony i krzyknął: „Hurra!" — Natychmiast jednak poprawił się i zawołał: *Wande Mataram.*

Lekki dreszcz bólu przebiegł twarz mego męża. Głos jego brzmiał bardzo łagodnie, gdy mówił do mnie: „Również ja nie jestem świętym, również ja jestem człowiekiem. I dlatego nie ścierpię nigdy, aby zło, które jest we mnie, zostało wyniesione do bożyszcza ojczyzny — nigdy!"

Ale Sandip Babu zawołał: „Widzisz, Nikhilu, jak prawda nabiera w sercu kobiety ciała i krwi. Kobieta umie być okropną; jej szał jest jak ślepa

[1] Inne nazwisko małżonki Śiwy, która nazywa się zresztą Uma, Kali i t. d.

burza. Piękny jest w swojej okropności. Wstrętny jest u mężczyzny, gdyż kryje w sobie żrącego robaka myśli i rozsądku. Powiadam ci, Nikhilu, że właśnie nasze kobiety uratują naszą ojczyznę. Teraz nie czas na lękliwe skrupuły. Musimy bez wahania i bez namysłu być brutalnymi. Musimy grzeszyć. Musimy dać naszym kobietom czerwoną maść sandałową, aby namaściły nią nasze grzechy i wyniosły je na tron. Czy przypominasz sobie jeszcze słowa poety:

Przyjdź grzechu, słodki grzechu,
I wlej twemi palącemi pocałunkami
Płomienne, czerwone wino w naszą krew!
Nakaż władczo zagrzmieć trąbie
I uwieńcz naszą skroń wieńcem
Radosnej rozpusty!
O Bogini, wielka grzesznico, przyjdź, namaść nam
Bezwstydnie pierś czarnym iłem hańby!

Precz z sprawiedliwością, która nie zdoła z uśmiechem rzucić nieprzyjaciela w otchłań zatraty!"

Zimny dreszcz przeniknął mnie, gdy Sandip Babu idąc za popędem chwili, z tak dumnie wzniesioną głową szydził z wszystkiego, co we wszystkich krajach i czasach czcili ludzie jako swoją najwyższą rzecz.

Lecz wybuchając dzikiem szyderstwem, ciągnął dalej: „Poznaję cię, cudny duchu ognia, co spalasz na popiół dom, aby płomieniem jego oświecić cały świat. Dodaj nam siły, abyśmy mogli rzucić się w najgłębsze piekło zniszczenia! Użycz wszystkiemu, co zabójcze, czaru swej piękności!"

Nie było zrozumiałe, kogo wzywał Sandip Babu

temi ostatniemi słowami. Może to było bóstwo, do którego odnosiło się jego *Wande Mataram*. Może to były kobiety jego ojczyzny w ogólności. A może również była to jej przedstawicielka, kobieta, która przed nim stała. Byłby jeszcze dalej mówił w tym tonie, gdyby mój mąż nie podniósł się nagle i dotknąwszy lekko jego ramienia, nie rzekł: „Sandipie, Czandranath Babu jest tutaj".

Zlękłam się i obejrzawszy się spostrzegłam starego pana o wykwintnej powierzchowności, który stał w drzwiach, czekając spokojnie, niepewny, czy ma wejść, czy też cofnąć się. Na jego twarzy lśnił łagodny promień jakby zachodzącego słońca.

Mój mąż zbliżył się do mnie i szepnął: „To jest mój nauczyciel, o którym ci tak często opowiadałem. Pozdrów go, jak się należy!"

Schyliłam się głęboko i nabożnie dotknęłam jego nóg. Pobłogosławił mnie i rzekł: „Niechaj Bóg cię strzeże zawsze, mateczko!"

Ach, w owej chwili potrzebowałam tak bardzo takiego błogosławieństwa.

OPOWIADANIE NIKHILA

I.

Niegdyś byłem tak pełen wiary, iż sądziłem, że udźwignę wszystko, co mój Bóg włożył na moje ramiona. Nie byłem nigdy wystawiany na próby. Teraz, sądzę, nadeszła godzina.

Zwykłem badać siłę mego ducha, przedstawiając sobie wszystkie możliwe nieszczęścia, które mogły mi się wydarzyć — ubóstwo, więzienie, hańbę, śmierć — nawet śmierć Bimali. A gdy potem powiedziałem sobie, że znajdę siłę, by znieść to wszystko z wytrwałością, nie powiedziałem z pewnością za wiele. Jedno tylko nie przyszło mi na myśl, i to jest właśnie, o czem dziś myślę i o czem nie wiem, czy zdołam to rzeczywiście udźwignąć. Jest to, jakby jakiś cierń tkwił w mojem sercu i kłuł mnie nieustannie, gdy siedzę przy mojej codziennej pracy. Gdy śpię wydaje się kłuć dalej. Zaledwie obudzę się rano, czuję, iż oblicze nieba straciło swój blask. Co to jest? Cóż się stało?

Uczucie moje stało się tak wrażliwe, iż nawet przeszłe moje życie, mające pozory szczęścia, dręczy teraz moje serce swojem kłamstwem, a troska i hańba, pełzające koło mnie, są coraz bardziej jasne, im bardziej starają sie ukryć swe oblicze. Serce moje

stało się w zupełności okiem. Właśnie rzeczy, które winny być ukryte i których nie chcę widzieć, tłoczą się do mnie.

Teraz wkońcu nadszedł dzień, w którym nieszczęśliwy mój los objawi się w długim szeregu ciosów przeznaczenia. Całkiem niespodzianie wróciła gorzka bieda do serca, w którem zdawał się panować nadmiar. Żołd, który za dziewięć lat mej młodości płaciłem złudzeniu, muszę spłacić teraz z procentami prawdzie i przez całe me życie będę miał dość do płacenia.

Cóż to pomoże, że gwałtem usiłuję utrzymać moją dumę? Dlaczegóż nie mam przyznać, iż posiadam braki? Może brak mi porywczego pędu, który kobiety kochają u mężczyzn. Ale czyż siła jest jeno rozwinięciem siły muskułów? Czyż siła może bez skrupułu rzucać w proch słabych?

Ale cóż pomogą wszystkie te rozważania? Godności nie zdobywa się tem, że się nad nią dyskutuje. A ja jestem niegodny, niegodny, niegodny!

Ale jeśli nawet jestem niegodny — czyż prawdziwa wartość miłości nie polega na tem, iż użycza ona nieustannie niegodnemu z obfitości swych własnych nadmiarów? Dla godnych istnieje na bożej ziemi wiele rodzajów wynagrodzenia, ale miłość zachował Bóg szczególniej dla niegodnych.

Dotąd była Bimala moją domową Bimalą, wytworem ciasnej przestrzeni i utartych, małych obowiązków. Zapytywałem siebie, czy miłość, którą mi daje, płynie z głębi jej serca, czy też jest zwyczajną wprawą w wypełnianiu nałożonego obowiązku.

Tęskniłem za tem, by ujrzeć Bimalę rozkwitającą w całej swej prawdzie i sile. Lecz nie rozważyłem, iż należy porzucić wymagania ugruntowane na obcych prawach, jeśli człowiek ma się rozwijać w swej prawdziwej istocie.

Dlaczegóż nie pomyślałem o tem? Czyż stało się to z dumnej pewności posiadania mojej żony? Nie. Stało się to, ponieważ ufałem całkowicie miłości. Byłem dość próżny i wierzyłem, iż mam w sobie siłę, aby znieść widok prawdy w jej strasznej nagości. Wiedziałem, iż kusiłem opatrzność, lecz trwałem w mojem dumnem postanowieniu przezwyciężenia owej próby.

W jednym punkcie Bimala nie zrozumiała mnie. Nie mogła w istocie zrozumieć, iż wszelkie użycie przemocy jest w moich oczach słabością. Jedynie słabi nie mają odwagi być sprawiedliwymi. Wymykają się odpowiedzialności i usiłują dojść szybko do celu niedozwolonemi drogami. Bimalę niecierpliwi to, jeśli się okazuje cierpliwość. Kocha w mężczyźnie niezwykłość, gwałtowność, niesprawiedliwość. Jej szacunek musi być nieco przesiąknięty trwogą.

Spodziewałem się, że Bimala, żyjąc w świecie pełną wolnością, uwolni się wkrótce od tej słabości. Ale obecnie jestem pewny, iż gnieździ się ona głęboko w jej naturze. Kocha to, co szumne. Jeśli ma zakosztować prostej przyprawy życia, musi być ona tak ostro napieprzona, iżby paliła jej język i podniebienie. Ale zasadą moją było zawsze, by nie wypełniać mego obowiązku z dziką zaciekłością, ani też

nie podniecać się do tego ognistem winem wzruszenia. Wiem, że trudno będzie Bimali pogodzić się z tą moją właściwością, ponieważ skrupuły moje uważa za słabość i jest zła na mnie, iż nie rzucam się w ślepym zapale z okrzykiem: *Wande Mataram*.

A co się tyczy tego punktu, to posprzeczałem się co do niego z wszystkimi moimi ziomkami, ponieważ nie zgadzam się z ich krzykiem. Są oni pewni, iż jestem żądny jakiegoś tytułu, lub też obawiam się policji. Policja znów myśli, iż okazuję zbyt wiele łagodności, by planować jakiś tajemniczy zamach.

Ale czucie moje powiada mi, iż ci, którzy nie mogą entuzjazmować się dla ojczyzny, jeśli tak widzą, jak jest w rzeczywistości, lub ci, którzy nie mogą kochać ludzi, właśnie w ich człowieczeństwie, — którzy podnoszą krzyk, aby utrzymać swój zapał — że ci kochają bardziej szał zapału, niż własną ojczyznę.

Jeśli usiłujemy przedmiot naszego uniesienia postawić wyżej niż prawdę, to okazujemy tem, iż nie jesteśmy wolni od natury. Nasza chora siła życiowa musi być porwana jakimś szałem lub też poruszona jakimś światowym lub duchowym autorytetem, aby nabrać rozpędu.

Jak długo odgraniczamy się od prawdy i jak długo możemy być parci do czynu jedynie hypnotycznem działaniem, tak długo musimy w siebie wmawiać, iż nie możemy jeszcze sobą rządzić.

Gdy niedawno zarzucał mi Sandip, iż brak mi

fantazji i że dlatego nie mogę widzieć mej ojczyzny jako żywej, idealnej postaci, Bimala potakiwała mu. Nie rzekłem nic na moją obronę, cóż to bowiem pomoże szczęściu, gdy się zwycięża w walce na słowa? Jej wymijające zdanie nie pochodziło z braku poglądu, lecz tkwiło w różnorodności jej natury.

Zarzucają mi brak fantazji — co znaczy u nich, że wprawdzie w mojej lampie jest oliwa, ale brak w niej ognia. A to jest właśnie zarzut, który im czynię. Chciałbym im rzec: Jesteście ciemni jak krzemienie. Musicie doprowadzić do gwałtownych zderzeń i czynić wrzawę, by wykrzesać iskry. Jednak te odosobnione błyskawice służą jeno waszej próżności, ale nie pomagają wam w jasnem spostrzeganiu.

Od pewnego czasu zauważyłem, że Sandip ogarnięty jest pospolitemi żądzami. Zmysłowość jego mąci jego religijne uczucie i czyni go tyrańskim w jego patrjotyzmie. Rozum jego jest bystry, ale natura jego jest szorstka i tak wynosi on swoje samolubne żądze pod pięknie brzmiącą nazwą. Tanie zaspokojenie nienawiści jest mu równie potrzebne jak zaspokojenie własnych żądz. Nieraz przedtem ostrzegała mnie Bimala przed jego żądzą złota. W duszy przyznawałem jej słuszność, lecz nie mogłem przezwyciężyć się, by targować się z Sandipem. Wstydziłem się nawet przyznać, że mnie wykorzystywał.

Dziś jednak trudno będzie wytłumaczyć Bimali,

że miłość ojczyzny jest u Sandipa jedynie inną formą jego pożądliwego samolubstwa. Uwielbienie Bimali dla bohaterów powstrzymuje mnie tem bardziej od rozmowy z nią o nim, ponieważ obawiam się, iż najmniejszy odruch zazdrości może mnie nieświadomie doprowadzić do przesady. Możliwe, iż ból w mojem sercu przeżarł już we mnie obraz Sandipa. A przecież lepiej może jest wypowiedzieć się, niż dusić w sobie nadal bolesne uczucia.

II.

Znam mego nauczyciela już od trzydziestu lat. Nie trwoży go ani potwarz, ani nieszczęście, ani też sama śmierć. Nic nie zdołałoby uratować mnie, wychowanego w tradycjach naszej rodziny, gdyby on nie włożył w ośrodek mego życia swego własnego życia z swym spokojem, z swą prawdą i z swemi ideałami. Samo dobro nabrało w nim dla mnie kształtu.

Mój nauczyciel przyszedł w owym dniu do mnie i rzekł: „Czy musisz koniecznie zatrzymać tu Sandipa jeszcze dłużej?“

Z natury już miał tak subtelne czucie wszystkich oznak nieszczęścia, iż natychmiast przeczuł niebezpieczeństwo. Niełatwo objawia swoje wewnętrzne odruchy, ale w owym dniu zauważyłem, jak przerażały go czarne cienie nadchodzącego nieszczęścia. Wiem przecież, jak bardzo mnie kocha.

Przy herbacie rzekłem do Sandipa: „Otrzyma-

łem właśnie list z Rangpuru. Skarżą się, że zatrzymuję cię tutaj dla siebie. Kiedy zamierzasz tam wyjechać?"

Bimala podawała właśnie herbatę. Uczucie rozczarowania odmalowało się na jej twarzy. Szybko rzuciła Sandipowi pytające spojrzenie.

„Rozważyłem właśnie", rzekł Sandip, „że ta ciągła wędrówka tu i tam jest jednak dla mnie ogromnem marnotrawieniem sił. Sądzę, iż mogę działać znacznie intenzywniej i trwalej, jeśli będę pracować z jednego środowiska".

Spojrzał przytem na Bimalę i rzekł: „Czyż nie jest Pani również tego zdania?"

Bimala wahała się chwilę, potem rzekła: „I jedno i drugie wydaje mi się dobre — zarówno praca z jednego punktu, jak i w objeżdżaniu. Sposób, który zadowalnia Pana najbardziej, jest dla Pana najwłaściwszy".

„Będę zatem szczery", rzekł Sandip. „Nie znalazłem nigdzie nic takiego, coby samo mogło trwale podtrzymać mój zapał. Oto jest powód, dla którego zawsze jeździłem i podniecałem naród, by z jego zapału czerpać znów siłę dla siebie. Dziś udzieliła mi Pani posłannictwa do mojego narodu. Takiego ognia nie znalazłem w żadnym człowieku. Od Pani zapożyczę płomienia, którym dokoła w kraju zapalę ogień. Nie, niechaj się Pani nie odwraca ze wstydem! Lękliwość i skromność nie przystoją już Pani. Jest Pani królową naszego ula, a my, robotnice, skupimy się koło Pani. Pani będziesz naszem ogniskiem, które zagrzewać nas będzie do naszej pracy".

Bimala rumieniła się coraz bardziej w wstydliwej dumie, a dłoń jej drżała przy podawaniu herbaty.

Pewnego dnia przyszedł do mnie mój nauczyciel i rzekł: „Dlaczego nie jedziecie obaj raz na odmianę do Dardżiling? Wyglądasz źle. Czy śpisz dosyć?"

Wieczorem spytałem Bimalę, czy ma chęć uczynić małą podróż w góry. Wiedziałem, iż pragnęła bardzo zobaczyć Himalaje. Lecz nie chciała... Sprawa ojczyzny przeszkadzała jej zapewne!

Nie mogę tracić zaufania, będę czekać. Przejazd z ciasnego do dalekiego świata jest burzliwy. Jeśli przyzwyczaiła się do wolności, poznam gdzie moje miejsce. Gdy poznam, że nie nadaję się do urządzeń tego świata, nie będę się porał z mym losem, lecz pójdę w milczeniu... Używać przemocy? Poco? Czyż przemoc zdziała cośkolwiek przeciw prawdzie?

OPOWIADANIE SANDIPA.

I.

Nieudolny powiada: To, co mi przydzielą, jest moje. A słaby potakuje. Ale cały świat uczy nas: To jest naprawdę moje, co mogę sobie zdobyć! Ojczyzna moja nie jest jeszcze przez to moją, że się w niej urodziłem. Będzie dopiero w tym dniu, w którym zdołam ją podbić.

Każdy człowiek ma z natury prawo do posiadania i dlatego chciwość jest czemś naturalnem.

Natura w swej mądrości nie chce, abyśmy spokojnie rezygnowali. Czego pożąda mój zmysł, tego musi mi dostarczyć moje otoczenie. To jest tu na ziemi jedyny prawdziwy związek między naszym wewnętrznym a zewnętrznym światem. Pozostawcie moralne ideały biednym, anemicznym istotom, które są za słabe, aby pożądać i za nędzne, aby chwytać. Ci, którzy pożądają całą duszą i zażywają całem sercem, dla których niema żadnych rozmysłów ani skrupułów, ci są wybrańcami i pomazańcami opatrzności. Dla nich roztacza natura swoje najbogatsze i najpiękniejsze skarby. Płyną przez tonie, przeskakują mury, wywalają drzwi, aby zdobyć to, co się im wydaje godnem trudu. W ten sposób zdobywać rzeczy jest rozkoszą; gdyż każda rzecz nabiera dopiero znaczenia przez to, że się o nią walczy.

Natura gotowa jest poddać się, ale tylko rabusiowi. Znajduje ona bowiem przyjemność w tem nieokiełzanem pożądaniu, w tem gwałtownem uwiedzeniu. I dlatego nie wieńczy chudej, wyschłej szyji ascety. Rozbrzmiewa muzyka weselnego marsza. Nie mogę przepuścić godziny wesela. Serce moje pełne jest pożądania. Któż bowiem — jest oblubieńcem? Ja nim jestem. Oblubienica należy się temu, kto z pochodnią w dłoni przyjdzie o stosownej godzinie. Oblubieniec w weselnej sali przyrody nadchodzi niespodzianie i nieproszony.

Czyż mam się wstydzić? Nie, nie znam wstydu! Żądam wszystkiego, co chciałbym mieć, a często nie przestaję żądać, dopóki tego nie wezmę. Ci, którzy rezygnują, gdyż nie mają odwagi chwytać, usiłują osłonić ową rezygnację godnością, nazywając ją skromnością.

Świat, na którym urodziliśmy się, jest światem rzeczywistości. Gdy człowiek odchodzi z targu rzeczywistych rzeczy z próżnemi rękami i z pustym żołądkiem i napełnia swój worek jedynie wzniosłemi słowami, pocóż właściwie przyszedł na ten dziki świat? Czyż owych ludzi zesłali epikurejczycy zaświata, aby w swych rozkosznych ogrodach, w których kwitną i dojrzewają eteryczne kwiaty i owoce, śpiewali na nutę starych, kochanych melodji swoje pobożne pieśni? Nie dostrajam się do tych melodji, a owe eteryczne owoce nie są dla mnie dość pożywne.

To, czego pożądam, pożądam całkowicie i bezwa-

runkowo. Pragnąłbym to zdusić, rozmiażdżyć w mych dłoniach i stratować nogami; pragnąłbym się tem namaścić od stóp do głów, pochłonąć i napełnić się tem do syta. Piskliwe krzyki tych, którzy strawili się swym moralnym postem, aż stali się suchymi i bladymi, jak wygłodzone robactwo w dawno opuszczonem łożu, nie dojdą do moich uszu.

Nie chciałbym udawać, gdyż byłoby to tchórzostwem. Ale gdybym nie mógł skłonić siebie do udawania, gdzie udawanie jest konieczne, byłoby to również tchórzostwem. Z chciwości budujecie mury, z chciwości burzę je. Wy używacie swej siły; ja używam mojej zręczności. Oto są rzeczywistości życia. Na nich spoczywają państwa królów i cesarzy i wszystkie wielkie ludzkie zamysły.

Ale owe *Avatary*[1], zstępujące z swego raju, aby mówić do nas w świętym żargonie — głoszą jeno puste słowa. Dlatego cała ich mądrość, mimo uznania, które znajdują, musi się skryć wkońcu w ciemnym rogu słabości. Silni, władcy świata, gardzą nimi. Ci, którzy mieli odwagę pojąć to, mieli powodzenie, podczas gdy owi biedni nędzarze są targani z jednej strony przez naturę, a z drugiej przez avatary; jedną nogą wstępują do łodzi rzeczywistości, a drugą do łodzi bezistotności, i w ten sposób znajdują się w rozpaczliwem położeniu, gdyż nie mogą ani stać ani iść naprzód.

Jest wielu ludzi, którzy zdają się rodzić po to,

[1] Uosobienie boskich istot, urodzonych na ziemi jako ludzie lub zwierzęta.

aby dręczyć się myślą o śmierci. Może ta wisząca nad życiem śmierć ma coś z piękna zachodzącego słońca, ponieważ ich czaruje. Nikhil żyje takiem życiem, jeśli wogóle nazwać to można życiem. Przed laty rozprawiałem z nim długo na ten temat.

„To prawda, mówił, że tylko przemocą można czegoś dopiąć. Ale co to znaczy przemoc? I co to znaczy dopiąć? Siła, w którą wierzę, jest to siła zrzeczenia się".

„Nęci ciebie zatem sława zupełnego bankructwa, sława pozbawienia się całego swego mienia?" zawołałem.

„Zupełnie tak samo, jak kurczątko pragnie się uwolnić od skorupki", odrzekł. „Skorupka jest z pewnością czemś rzeczywistem, a przecież porzuca się ją dla światła i powietrza, które są czemś nieuchwytnem. Ty nazwiesz to zapewne nędzną zamianą?"

Gdy Nikhil pocznie raz mówić porównaniami, daremnem jest tłumaczyć mu, iż operuję jeno słowami, a nie rzeczywistościami. Co do mnie, może być szczęśliwy z swemi porównaniami. Jesteśmy mięsożercami na tym świecie; posiadamy zęby i kły, ścigamy, chwytamy i rozdzieramy. Nie zadawalniamy się przeżuwaniem trawy pod wieczór, którą zjedliśmy rano. W każdym razie nie możemy pozwolić, abyście wy, handlarze porównań, zamykali nam drzwi do naszego bytu. W tym wypadku musimy całkiem po prostu rabować i kraść; gdyż żyć raz musimy.

Powiedzą ludzie, iż tworzę nową zasadę życia, ponieważ na tym świecie zazwyczaj inaczej się mówi,

jakkolwiek w rzeczywistości czyni się zawsze podług niej. Dlatego nie mogą jak ja przyznać, iż jest to jedyna rządząca zasada moralności. Wiem z doświadczenia, iż zapatrywanie moje nie jest zupełnie abstrakcyjną teorją, gdyż okazała się prawdziwą w praktycznem życiu. Przekonałem się, iż mój sposób zdobywa zawsze serca kobiet, które stoją twardo na gruncie rzeczywistości, a nie jak mężczyźni, którzy bujają po krainie marzeń napełnionemi odwarem ideji balonami.

Kobiety czują w mych rysach, w mej istocie, w mej postawie, w mojej mowie despotyczną namiętność — a nie namiętność, strawioną gorączką ascezy, nie namiętność, oglądającą się na każdym kroku z wątpliwością i namysłem, ale pełną, rasową namiętność.

Wpada ona spieniona i hucząca jak powódź i wykrzykuje swoje pożądanie. Kobiety czują w swej najgłębszej istocie, że ta nieokiełzana namiętność jest żywotną krwią świata; nie zna ona żadnego prawa prócz siebie samej i dlatego zwycięża. Dlatego też tak często dały się one chętnie unieść powodzi mojej namiętności, nie pytając, czy kresem jest śmierć czy też życie.

Te, które tęsknią do zaświata, nadają swej pożądliwości jedynie innego kierunku. Okaże się, jak wysoko sięgnie tryskający promień ich fontanny i jak długo tryskać będzie jej woda. To tylko jest pewne: kobiety nie są stworzone dla tych bladych istot — dla tych idealistycznych zjadaczy lotosu.

„Powinowactwo!“ Jeśli odpowiadało to mojemu celowi, mówiłem często, iż Bóg stworzył przeznaczone dla siebie pary i że ich połączenie jest jedynem prawnem połączeniem, wyższem, niż wszystkie połączenia przez prawo. Jakkolwiek bowiem człowiek mógłby pójść za swoją naturą, jest niezadowolony, jeśli nie może ukryć się za jakimś frazesem — i to jest powodem, dlaczego świat przepełniony jest kłamstwami.

„Powinowactwo!“ Dlaczegóż ma być tylko jedno? Można ich mieć tysiące. Nie zobowiązałem się nigdy wobec natury, iż przeoczę wszystkie moje niezliczone powinowactwa dla jednego. W dotychczasowem mojem życiu odkryłem już wiele, ale z tego powodu drzwi najbliższego nie są zamknięte — a to najbliższe widzę wyraźnie przed mojemi oczyma. I ona również odkryła swoje powinowactwo ze mną.

A więc?

Jeśli jej teraz nie zdobędę, niechaj zostanę tchórzem.

ROZDZIAŁ TRZECI.

OPOWIADANIE BIMALI.

VI.

Gdzie zatraciło się moje uczucie wstydu? Nie miałam czasu pomyśleć o sobie. Moje dnie i noce płynęły niepowstrzymanie, rwącym prądem, którego byłam ośrodkiem. Namyślanie się i pieszczota nie miały do mnie przystępu.

Pewnego dnia bratowa moja zauważyła wobec mojego męża: „Dotąd musiały zawsze płakać tylko kobiety tego domu. Teraz kolej na mężczyzn".

„Musimy uważać, aby na ciebie również przyszła kolej w stosownym czasie," ciągnęła dalej, zwrócona do mnie. „Jak widzę, jesteś uzbrojona do walki, Tszota Rani [1]. Ciśnij im tylko swe strzały w samo serce!"

Oglądnęła mnie z góry do dołu ostrym wzrokiem. Nie uszło jej uwadze nic z mego barwnego blasku, który roztaczały moje stroje, moje ozdoby, moja mowa i cała moja istota. Dziś wstydzę się mówić o tem, ale wówczas nie czułam wstydu. Działało coś we mnie, czego sama nawet nie mogłam sobie uświadomić. Zwykłam się stroić nadmiernie, ale prawie odruchowo, bez szczególnego zamysłu. Wprawdzie wiedziałam, jak się najbardziej podobam Sandipowi Babu, ale do tego nie potrzebowałam żadnego szczególnego natchnienia, ponieważ mówił on o tem przed wszystkimi całkiem otwarcie.

[1] Bimala, jako małżonka młodszego brata, była Tszotą Rani lub młodszą Panią.

Pewnego dnia rzekł do mego męża: „Wiesz, Nikhilu, gdy poraz pierwszy ujrzałem naszą królowę pszczół, siedziała tu tak godnie w swej obramowanej złotem sari. Oczy jej patrzyły w próżnię pytająco, jak zbłąkane gwiazdy, jakby przez tysiące lat wisiały nad brzegiem ciemności i wyzierały ku czemuś nieznanemu. Ale gdy je ujrzałem, czułem, iż przeniknął mnie dreszcz. Zdawało mi się, jakby złota lamówka jej sari była jej własnym, wewnętrznym ogniem, który płonął z niej i otaczał ją. Oto jest płomień, którego potrzebujemy, ów widzialny ogień! Słuchaj, królowo pszczół, musisz nam zaiste wyświadczyć łaskę i ustroić się jeszcze raz jako żywy płomień".

Dotąd byłam jakby małym strumykiem na skraju wsi. Ton i rytm były inne niż obecne. Ale wtedy przyszła z morza powódź; pierś moja falowała, brzegi moje ustąpiły a głośne bębnienia morskich fal smagały mój bieg aż do szaleństwa. Nie wiedziałam, co chciał powiedzieć głos mojej krwi. Gdzie się podziało moje poprzednie ja? Skąd płynął na mnie ów cały blask? Głodne oczy Sandipa płonęły jak święte lampy przed moją szafką. Każde z jego spojrzeń głosiło, iż byłam cudem piękna i siły; a głośny dźwięk jego pochwały, czy je wypowiadał czy też nie, przegłuszał wszystkie inne głosy w moim świecie.

Czyż stwórca stworzył mnie na nowo? pytałam siebie ze zdumieniem. Czyż chciał mnie wynagrodzić za to, iż tak długo mnie zaniedbywał? Ja, co pierwej byłam całkiem nieznaczna i niepozorna, stałam się nagle piękna i czułam się koroną Bengalji.

Bowiem Sandip Babu nie był byle jakim. Zwarły się w nim miljony duchów kraju. Jeśli nazwał mnie królową pszczół, to witał mnie radośnie cały chór uduchowionych patrjotów. Dlatego też głośne szyderstwo mojej bratowej nie mogło mnie zupełnie dotknąć. Stosunki moje do całego świata były zmienione. Sandip Babu uwiadomił mnie, jak bardzo pożądał mnie cały kraj. Nie było mi trudno uwierzyć wówczas w to, ponieważ czułam w sobie siłę, zdolną dokonać wszystkiego. Byłam pełna boskiej siły. Było coś, czego nigdy pierwej nie czułam; coś, co było wyższe odemnie. Zdawało się należeć do mnie i przewyższać mnie. Ogarniało całą Bengalję.

Sandip Babu zwykł mnie pytać o radę we wszystkich ważnych i błahych sprawach, dotyczących narodowej sprawy. Początkowo byłam bardzo zakłopotana i zwlekałam z odpowiedzią, ale wkrótce przeminęło to. Cokolwiek tylko poradziłam, zawsze rada moja zdumiewała go. Potem wpadł w zapał i rzekł: My mężczyźni możemy tylko myśleć. Wy kobiety macie pewien sposób pojmowania, nie myśląc. Kobieta jest tworem boskiej fantazji; mężczyznę wykuł Bóg z materjału.

Sandip Babu otrzymywał z wszystkich części kraju listy, które mi pokazywał, chcąc posłyszeć moje zda-

nie. Raz był innego zdania niż ja. Ale nie starałam się przekonywać go. Po paru dniach kazał mnie przywołać — jakby naraz nabrał innego przekonania — i rzekł: „Przecież jednak pomyliłem się; miała Pani zupełną słuszność". Przyznawał mi często, że zawsze gdy działał wbrew mojej radzie, rzecz nie udawała mu się. Doszłam więc do przekonania, że poza wszystkiem co było, stał Sandip Babu i że Sandip Babu jest kierowany tylko prostym rozumem kobiety. Duma wielkiej odpowiedzialności wypełniła całą moją istotę.

Mój mąż nie brał udziału w naszej naradzie. Sandip Babu traktował go jak młodszego brata, którego wprawdzie bardzo się lubi, ale z którego rad w interesach nie korzysta się. Zwykł się wyrażać z pobłażliwym uśmiechem o dziecinnej naiwności mojego męża, mówiąc, że jego dziwne teorje i wywrotowe idee mają humorystyczny zakrój, co je czyni tem bardziej sympatycznemi. Była to prawdopodobnie miłość do Nikhila, która skłaniała Sandipa Babu do uwolnienia go od wszelkich trosk o ojczyznę.

Natura ma w swej aptece wiele oszałamiających środków, których używa skrycie, jeśli chce zdradziecko przeciąć związki życiowe, tak że nikt nie zauważa działania, aż wkońcu obudza się i spostrzega jakiego dokonano przecięcia. Gdy nóż jął przecinać najtajniejsze więzy mego życia, duch mój był tak otoczony oszałamiającemi wyziewami gazu, iż nie zauważyłam najzupełniej, jaką popełniano na mnie potworność. Taką jest natura kobiet. Gdy budzi się

jej namiętność, wówczas traci ona poczucie wszystkiego innego. My kobiety jesteśmy podobne do rzeki: jak długo pozostajemy wewnątrz naszych brzegów, użyczamy płodności tem wszystkiem, co posiadamy, ale gdy z nich wystąpimy, przynosimy zniszczenie tem wszystkiem, czem jesteśmy.

OPOWIADANIE SANDIPA

II.

Coś nie jest w porządku. Zauważyłem znów jedną rzecz.

Od czasu mego przybycia pokój Nikhila był czemś pośredniem, na poły kobiecą komnatą, na poły męską: Bimala miała do niej dostęp z kobiecych komnat, a ja z drugiej strony. Gdybyśmy byli tylko powolniej zabierali się do dzieła i nieco ostrożniej korzystali z naszego przywileju, nie bylibyśmy wzbudzili u innych podejrzenia. Ale daliśmy się tak dalece ponosić naszej namiętności, iż nie myśleliśmy o skutkach.

Gdy tylko Bimala wejdzie do pokoju Nikhila, zauważam to w jakiś sposób w moim pokoju. Słyszę dźwięczenie branzolet u nóg lub też inne ciche szmery; drzwi zamykają się może nieco energiczniej, niż to jest potrzebne; szafa z książkami jest nieco napęczniała i trzeszczy, gdy się ją gwałtownie otwiera. Gdy wchodzę, spostrzegam Bimalę, odwróconą plecami do drzwi i całkiem zatopioną w szukaniu jakiejś książki na półkach. A gdy jej ofiarowuję moją pomoc w tem ciężkiem zadaniu, przeraża się i odmawia, a potem mimowolnie zaczynamy mówić o całkiem innych sprawach.

W ostatnim czasie, pewnego nieszczęsnego[1] czwartku, posłyszawszy owe szmery, wyszedłem spiesznie z mego pokoju. Na korytarzu stał na straży jakiś człowiek. Szedłem dalej, nie zważając nań; ale gdy zbliżyłem się do drzwi, zastąpił mi drogę i rzekł: „Nie tu, Panie!"

„Nie tu! Dlaczego?"

„Pani jest wewnątrz".

„Dobrze, powiedz pani, że Sandip Babu pragnie z nią mówić".

„Nie wolno, Panie. Sprzeciwia się to rozkazowi".

Byłem w najwyższym stopniu wzburzony. „Rozkazuję ci", rzekłem podniesionym głosem „idź i oznajm mnie".

Chłopak był nieco zdumiony moją postawą.

Tymczasem zbliżyłem się do drzwi. Dosięgnąłem ich prawie, gdy chłopak postąpił za mną i chwyciwszy mnie za ramię, rzekł: „Nie, Panie, nie może Pan wejść".

Co! Służący poważył się dotknąć mnie. Jednym ruchem uwolniłem moje ramię i wymierzyłem mu głośny policzek. W tej samej chwili wyszła z pokoju Bima i zobaczyła, jak człowiek ów zamierzał rzucić się na mnie.

Nie zapomnę nigdy owego obrazu, gdy tak stała rozgniewana! Że Bima jest piękna, jest to moje odkrycie. Większa część tutejszych ludzi nie widziałaby w niej nic szczególnego. Ci głupcy nazwaliby jej piękną, wysmukłą postać „szczupłą". Ale właśnie

[1] W kalendarzu hindusów oznaczony jako dzień nieszczęścia.

ową gibkość podziwiam, gdyż jest ona jak życiodajne źródło, tryskające z głębin macierzystej ziemi. Jej barwa jest ciemna, ale posiada lśniącą ciemność, jak ostry, błyskawiczny połysk miecza.

„Nanku!" rozkazała, stojąc w drzwiach z wyciągniętem ramieniem, „odejdź!"

„Niech się Pani na niego nie gniewa", rzekłem. „Jeśli ma taki rozkaz, to ja raczej muszę odejść".

Głos Bimy drżał jeszcze, gdy odpowiadała: „Pan nie może odejść. Proszę wejść!"

Nie była to prośba, ale również rozkaz! Poszedłem za nią do wnętrza, usiadłem, wziąłem do ręki wachlarz leżący na stole i jąłem się wachlować. Bima napisała coś ołówkiem na kartce papieru, zawołała służącego i podała mu, mówiąc: „Zanieś to maharadży!"

„Wybaczy mi Pani", rzekłem. „Byłem w uniesieniu, gdy uderzyłem służącego Pani".

„Spotkało go to całkiem słusznie", rzekła Bima. „W istocie jednak biedny chłopak nie był przecież winien. Usłuchał tylko rozkazu".

W tej chwili wszedł Nikhil. Wstałem spiesznie i przystąpiłem do okna, zwrócony do pokoju plecyma.

„Strażnik Nanku obraził Sandipa Babu", rzekła Bima do Nikhila.

Nikhil był tak widocznie zaskoczony, iż nie mogłem powstrzymać się, aby odwrócić się i popatrzeć nań. Czyżby chciał kłamać? Nawet niezwykle dobry człowiek nie potrafi zachować wobec żony swoją dumę prawdy, jeśli kobieta jest za tem.

„Ośmielił się zastąpić drogę Sandipowi Babu, gdy chciał tu wejść", mówiła Bima. „Mówił, że ma rozkaz..."

„Rozkaz, od kogo?" spytał Nikhil.

„Jakże mogę wiedzieć?" zawołała niecierpliwie Bima, podczas gdy łzy cisnęły się jej do oczu z gniewu i wstydu.

Nikhil kazał przywołać człowieka i wybadał go. „Nie jest to moja wina", powtarzał uparcie Nanku. „Miałem rozkaz".

„Kto ci dał rozkaz?"

„Bara Rani".

Przez chwilę milczeliśmy wszyscy. Gdy człowiek wyszedł, rzekła Bima: „Nanku musi odejść". Nikhil nie rzekł nic. Widziałem, że jego uczucie sprawiedliwości sprzeciwiało się temu. Piętrzyły się przed nim coraz to nowe trudności. Ale tym razem rozwiązanie było szczególnie ciężkie. Bima nie była kobietą, któraby pozwoliła zapomnieć o jakiejś sprawie. Musiała się utrzymać wobec swojej bratowej w ten sposób, iż ukarała chłopca. A gdy Nikhil milczał, oczy jej ciskały błyskawice. Nie wiedziała, jak ma wyrazić swoją pogardę dla słabości męża. Po chwili Nikhil opuścił pokój, nie rzekłszy ani słowa.

Następnego dnia Nanku nie pokazał się. Na moje pytanie powiedziano mi, że został wysłany na jedno z innych dóbr i że nie stało się to z jego szkodą.

Od czasu do czasu mogłem przelotnie przekonać się, jakich spustoszeń dokonała wywołana tem

za kulisami burza. Powiem tylko tyle, że Nikhil jest dziwną istotą, całkiem różną od innych.

Rezultatem tego było, że Bima kazała mnie odtąd przywoływać wprost do pomieszkania na poufne rozmowy, bez jakiejkolwiek pokrywki lub usiłowania, aby spotkaniu nadać pozory przypadku. Porzuciliśmy więc prawie wszelkie więzy i to, co dotychczas mówiło się milcząco, wyrażało się teraz całkiem otwarcie. Małżonka radży żyje zresztą w krainie gwiazd, tak dalekiej dla zwykłego śmiertelnika, iż nie prowadzi do niej żadna droga. Jakiż to był przecież triumf zwycięsko kroczącej prawdy, że zasłony ukrytego zwyczaju spadały niepowstrzymanie jedna po drugiej, aż wkońcu natura ukazała się w całej swej prawdziwej postaci.

Triumf prawdy? Tak, prawdy! Wzajemny pociąg mężczyzny do kobiety jest podstawą wszelkiego bytu. Podlega temu prawu cały świat materji, począwszy od ziarnka piasku. A jednak ludzie usiłują kryć go za zasłoną z słów i domorosłemi zarządzeniami i zakazami chcą zeń uczynić swój domowy sprzęt. Jest to równie bezrozumne, jak gdyby zamierzano stopić słońce, by uczynić zeń zięciowi[1] łańcuszek do zegarka.

Jeśli mimo wszystko natura budzi się na głos prawdy, jakież szczękanie zębami i bicie się w piersi! Ale czyż można sprzeczać się z burzą? Nie trudzi

[1] Zięć odgrywa w hinduskiem gospodarstwie największą rolę.

się ona odpowiadaniem, lecz wstrząsa jeno swym przeciwnikiem.

Sycę się widokiem tej prawdy, która coraz bardziej odsłania się przedemną. Jak czarowne są te drżące kroki, to odwracanie się; jak kochane są te małe oszukaństwa, któremi Bima oszukuje nietylko innych, lecz również siebie samą! Udawanie jest najlepszą bronią rzeczywistości przeciw nierzeczywistości, gdyż wrogowie rzeczywistości usiłują ją ustawicznie zniesławić, nazywając ją szorstko i dlatego też musi się skryć lub maskować. Nie śmie powiedzieć otwarcie: „Tak, jestem szorstka, ponieważ jestem prawdziwa. Jestem ciałem i krwią. Jestem namiętnością. Jestem głodem, co chwyta bez litości i wstydu".

Widzę teraz wszystko wyraźnie przed sobą. Zasłona unosi się i przez szczelinę mogę ujrzeć przygotowania do katastrofy. Mała, czerwona wstążka wijąca się z tajemniczem pożądaniem przez gęste zwoje włosów, jest płonącą błyskawicą w deszczowej chmurze. Czuję żar jej namiętności przy każdem poruszeniu jej szaty, bardziej niż ona sama.

Bima nie uświadamia sobie rzeczywistości, ponieważ wstydzi się jej. Ludzie bowiem nadali tej rzeczywistości złą nazwę, nazywając ją szatanem. I w ten sposób musi ona pełzać w rajskim ogrodzie w postaci węża, szeptać do ucha swe tajemnice wybranej towarzyszce mężczyzny i doprowadzić ją do upadku. Potem niema już spokoju, póki śmierć nie przyniesie końca.

Moja biedna, mała królowa pszczół żyje jak we śnie. Nie wie, jaką kroczy drogą. Nie byłoby pożądanem budzić ją przedwcześnie. Najlepiej, jeśli uczynię tak, jakbym również nic nie wiedział.

Niedawno przy obiedzie patrzyła na mnie tak dziwnie, nie przeczuwając, co oznaczają podobne spojrzenia. Gdy wzrok mój spotkał się z jej spojrzeniem, odwróciła się. „Dziwi się pan mojemu apetytowi", rzekła. „Potrafię ukryć wszystko, tylko nie to, że jem chętnie. Ale dlaczego chce Pan rumienić się za mnie, gdy ja się nie wstydzę?"

Zarumieniła się tylko jeszcze bardziej i wyjąkała: „Nie, nie, widziałam tylko..."

„Wiem", przerwałem jej. „Kobiety lubią pożądliwych mężczyzn, ponieważ przez naszą żądzę opanowują nas. Względy, które mi Pani zawsze okazywała, uczyniły mnie jeszcze bardziej wstydliwym. Nie szkodzi mi to zupełnie, jeśli Pani przypatruje się, jak znikają u mnie wszystkie te dobre rzeczy. Ale za to będę przecież kosztować każdego kęsa".

Niedawno czytałem jakąś angielską książkę, w której kwestje seksualne rozpatrywane były z bardzo śmiałym realizmem. Zostawiłem ją w pomieszkaniu. Gdy następnego dnia popołudniu wszedłem, aby coś wziąć, siedziała tam Bima z ową książką w ręce. Usłyszawszy moje kroki, rzuciła ją spiesznie i nakryła inną książką — tomem poezji Felicji Hemans.

„Nie mogę pojąć", rzekłem, „dlaczego kobiety są tak zmieszane, gdy się je zaskoczy przy czytaniu poezji. My mężczyźni — prawnicy, mechanicy czy też

inni — mielibyśmy powód do wstydu. Jeśli pragniemy czytać poezje, powinniśmy je czytać wśród głębokiej nocy, przy zamkniętych drzwiach. Ale wy kobiety jesteście tak bardzo spokrewnione z poezją. Sam stwórca jest lirycznym poetą; u jego stóp musiał się uczyć swej boskiej sztuki Dzajadeva“ [1].

Bima nie odrzekła nic, lecz zarumieniła się tylko zmieszana. Uczyniła ruch, jakby pragnęła opuścić pokój. Zatrzymałem ją jednak. „Nie, nie, proszę czytać dalej! Chcę tylko wziąć książkę, którą tu położyłem i oddalę się“. I wziąłem ze stołu moją książkę. „Jakie szczęście, że nie przyszło Pani na myśl zaglądnąć do niej,“ mówiłem dalej, „gdyż ogarnęłaby Panią chętka wyłajania mnie“.

„W istocie! Dlaczego?“ spytała Bima.

„Ponieważ nie jest to poezja“, rzekłem. „Zawiera ona jeno nagie fakty i przedstawia je bez maski i bez ozdób. Chciałbym, aby ją Nikhil kiedyś przeczytał“.

„Dlaczego chciałby Pan tego?“ spytała Bima, marszcząc lekko czoło.

„Gdyż jest mężczyzną, jednym z nas. Zarzucam mu to jedno tylko, iż nie widzi tego świata takim, jakim jest, lecz upaja się jego złudzeniem. Czy nie zauważyła Pani, iż doprowadza go do tego to, iż patrzy na nasz narodowy ruch swadeśi, jak na jakąś poezję, która musi iść śladem określonego rytmu?

[1] Ostatni, znakomity poeta sanskrycki, żyjący w XII w w Bengalji.

My jednakowoż wdzieramy się w nią z naszą prozą, jak z maczugami i zbijamy ów cały rytm“.

„Cóż ma wspólnego pańska książka z ruchem swadeśi?“

„Dowiedziałaby się Pani zaraz, gdyby ją Pani przeczytała. Nikhil chce zawsze postępować podług gotowych zasad, zarówno w ruchu swadeśi, jak w innych sprawach; dlatego zderza się przy każdym obrocie z ludzką naturą i wtedy poczyna ją lżyć. Nie chce uznać, że ludzka natura jest starszą od wszystkich pięknych zasad i przeżyje je również“.

Bima milczała chwilę, potem rzekła poważnie: „Czyż w ludzkiej naturze nie leży pragnienie wyjścia poza siebie?“

Musiałem zaśmiać się w duchu. „Nie są to twoje słowa“, pomyślałem. „Wyuczyłaś się ich od Nikhila. Ty jesteś zdrowem dzieckiem. Krew twoja posłyszała głos natury. Czyż nie wiem, że we wszystkich twych żyłach płonie ogień życia? Jakże długo jeszcze zdołają chłodzić cię mokrymi ręcznikami moralności?“

„Słabi stanowią większość“, rzekłem głośno. „Zatruwają oni uszy ludzi, powtarzając nieustannie podobne komunały. Przyroda odmówiła im siły — a więc w ten sposób usiłują osłabić innych“.

„My kobiety jesteśmy słabe“, odrzekła Bimala, „dlatego też musimy uczestniczyć w sprzysiężeniu słabych“.

„Wy kobiety jesteście słabe“, zawołałem z uśmiechem. „Mężczyźni wynoszą waszą delikatność i sub-

telność i dlatego uważacie się same za słabe. Ale właśnie wy kobiety jesteście silnemi. Mężczyźni chełpią się swą tak zwaną wolnością, ale ci, którzy siebie znają, wiedzą, jak bardzo mało są wolnymi. Stworzyli sami święte pisma, aby się niemi związać; z swego idealizmu ukuli dla kobiet złote kajdany, któremi wiążą je cieleśnie i duchowo. Gdyby mężczyźni nie posiadali w wysokim stopniu zdolności chwytania się w własne sieci, nic nie potrafiłoby odebrać im wolności. Ale wy kobiety oddałyście ciało i duszę rzeczywistości. Przyjęłyście ją w siebie i urodziłyście się z niej. Wykarmiłyście ją własnemi piersiami".

Jak na kobietę jest Bima bardzo oczytana i nie łatwo skłonna do uznania mych dowodów. „Gdyby tak było", odparła, „wówczas straciłyby wkrótce kobiety w oczach mężczyzn wszelki urok".

„Kobiety widzą to niebezpieczeństwo", odparłem. „Wiedzą one, że mężczyźni pragną być oszukiwani, więc też oszukują ich swemi własnemi mowami, gdzie tylko mogą. Wiedzą one, że mężczyzna w swej skłonności do występku lubi bardziej oszołomienie, niż zdrowy pokarm i dlatego ofiarowują się mu jako środek oszałamiający. Kobieta nie musiałaby udawać, gdyby nie czyniła tego dla mężczyzny".

„Dlaczegóż jednak pragnie Pan zburzyć złudzenie?"

„Dla wolności. Pragnąłbym, aby ojczyzna moja była wolna. Pragnąłbym jednak również, abyśmy my ludzie byli wobec siebie wolnymi".

III.

Wiem dobrze, że nie należy budzić nagle lunatyka. Ale jestem z natury tak porywczy, iż nie mogę postępować z wahaniem. Wiedziałem wówczas, że ważyłem się na wiele. Wiedziałem, że pierwszy rozmach takich ideji może całkowicie wyprowadzić człowieka z równowagi. Ale u kobiet zwycięzcą jest zawsze najbardziej zuchwały.

Byliśmy już na najlepszej drodze — gdy nagle musiał się w to wmieszać stary nauczyciel Nikhila! Możnaby żyć doskonale na tym świecie, gdyby nie było tych pedagogów, którzy potrafią go obrzydzić i zmusić do ucieczki. Ludzie w rodzaju Nikhila pragnęliby zawsze uczynić z świata szkołę. I właśnie to wcielenie szkoły wkroczyło w najbardziej krytycznym momencie.

Wszyscy chowamy jeszcze w jakimś zakątku naszego serca nieco uczniackiej natury, a nawet ja sam czuję się trochę onieśmielony. Ale biedna Bima poszła natychmiast na swoje miejsce w klasie jako pierwsza. Jakby przypomniała sobie nagle, że ma być egzaminowaną.

Są ludzie, którzy są jak zwrotniczy: zawsze gotowi skierować pociąg naszych myśli na inny tor.

Zaledwie Czandranath Babu przybył, już chwytał się jakiegoś wybiegu, aby znów wyjść. „Proszę wybaczyć", mruczał, „ale"...

Lecz nim zdołał wyrzec, Bima przystąpiła do niego szybko i skłoniwszy się mu z szacunkiem,

rzekła: „Proszę Pana, niech Pan nie idzie! Czy nie zechce Pan usiąść?“ Wyglądała jak tonący, który chwyta się czegoś — mały tchórz.

Może jednak myliłem się. Prawdopodobnie było w tem nieco niewieściego podstępu. Chciała może podkreślić swoją wartość w moich oczach. A może chciała mi tem powiedzieć: „Nie wyobrażaj sobie ani na chwilę, że mnie zupełnie zwyciężyłeś! Mój szacunek dla Czandranatha Babu jest przecież jeszcze większy“.

Zresztą możesz go czcić, ile chcesz! Z tego żyją nauczyciele. A ponieważ nim nie jestem, mogę się obyć bez tych pustych komplementów.

Czandranath Babu począł mówić o ruchu swadeśi. Sądziłem, że pozwolę mu wypowiedzieć swój monolog. Najmądrzej jest zawsze pozwolić mówić starcowi tak długo, aż sam przestanie. Wydaje mu się wtedy, że przyprowadza świat do porządku i nie przeczuwa, jak daleko rzeczywisty świat znajduje się od niego i od jego gadania.

Ale nawet najgorszy wróg nie może mi zarzucić, że moim przywarem jest nadmiar cierpliwości. Więc gdy Czandranath Babu rzekł: „Gdy spodziewamy się zbierać owoce, nie posiawszy, to...“ musiałem mu przerwać. „Któż to chce zbierać owoce?“ zawołałem. „Kierujemy się słowami twórcy Gity, który powiada[1],

[1] Bhagawadgitâ („Pieśń o wzniosłym“) jeden z najsławniejszych indyjskich poematów, religijno-filozoficzny poemat dydaktyczny, dodany jako epizod do wielkiego eposu „Mahabharata“.

że powinniśmy myśleć jedynie o naszem działaniu, a nie o owocach naszego działania“.

„Czegóż wy zatem chcecie?“ spytał Czandranath Babu.

„Cierni!“ zawołałem. „Można je mieć darmo“.

„Jednak ciernie nie gnębią tylko drugich“, odrzekł. „Kto je sieje, sam je sobie wbija w stopy“.

„Wszystko to są piękne szkolne reguły“ odparłem. „My pragniemy ugasić tymczasem naszą palącą tęsknotę. Chwilowo ciernie nie kłują nas jeszcze; później, gdy ich odczujemy, możemy ich jeszcze żałować. Ale dlaczegóż ma nas wogóle ta myśl przerażać? Jeśli wkońcu będziemy musieli umrzeć, mamy jeszcze dość czasu, by ochłonąć. Jak długo płomień gorze, pozwól nam wrzeć i wykipieć!“

Czandranath Babu uśmiechnął się. „Wrzyjcie, ile chcecie“, rzekł, „ale nie uważajcie tylko tego za pracę lub bohaterstwo! Narody, które coś osiągnęły w świecie, osiągnęły to działaniem, a nie wrzeniem. Te jednak, które zawsze bały się pracy, gdy naraz dojdą do świadomości swego nędznego położenia, chcą oswobodzić się nieuczciwą i gwałtowną drogą“.

Opasywałem właśnie moje lędźwie, aby uczynić przeciw niemu miażdżący wypad, gdy wrócił Nikhil. Czandranath Babu wstał i rzekł zwrócony do Bimy: „Muszę już odejść, mateczko, mam wiele pracy“.

Gdy odszedł, pokazałem Nikhilowi książkę, którą trzymałem w ręce. „Opowiadałem właśnie o tej książce naszej królowej pszczół“, rzekłem.

Dziewięćdziesiąt procent ludzi woli być oszukiwanym przez kłamstwa, ale ten wieczny wychowanek nauczycieli daje się łatwiej uwieść prawdzie. W stosunku do niego najlepszem oszustwem jest otwartość. Dlatego też w grze przeciw niemu najprostszym dla mnie sposobem było wyłożyć karty na stół.

Nikhil przeczytał tytuł na okładce, lecz nie rzekł nic. „Ci pisarze", ciągnąłem dalej, „wymiatają swemi miotłami wszystek kurz utartych sposobów mówienia, którym ludzie pokryli nasz świat. Dlatego też powiedziałem właśnie, iż chciałbym, abyś przeczytał ową książkę".

„Czytałem ją", rzekł Nikhil.

„A więc, cóż powiesz o niej?"

„Dobra jest dla tych, którzy zadają sobie trudu aby rzeczywiście przemyśleć, ale dla innych jest ona trucizną".

„Co przez to rozumiesz?"

„Kto głosi, że wszyscy mają jednakowe prawo do własności, nie śmie być złodziejem. Jeśli bowiem nim jest, prawi kłamstwa. A kto hoduje w sobie namiętność, nie zrozumie należycie tej książki".

„Namiętność", zawołałem, „jest naszym najlepszym przewodnikiem. Jeśli mu nie ufamy, to równie dobrze możemy wyrwać nasze oczy, aby lepiej widzieć".

Nikhil był widocznie podrażniony. „Namiętność", rzekł, „ma dopóty swe prawo, dopóki ją więzimy. Jeśli to, co chcemy należycie ujrzeć, powierzymy naszym

oczom, zranimy je tylko, ale nie zobaczymy nic. Podobnie więc oślepia nas gwałtowność namiętności, która nie chce zostawić żadnej szczeliny między sobą a przedmiotem".

„Jest to wasza duchowa przesada", odparłem, „która każe wam rozpływać się w moralnej delikatności i nie patrzeć na brutalną stronę prawdy. Przez to otaczacie tylko rzeczy promiennym nimbem, miast przystąpić do pracy z całą energią".

„Wysiłek nie pomnaża pracy tam, gdzie siła nie jest potrzebna", rzekł niecierpliwie Nikhil. „Ale pocóż sprzeczamy się o to? Próżna słowna sprzeczka odejmuje jeno prawdzie świeży kwietny pył".

Pragnąłem bardzo, aby Bima uczestniczyła w dyskusji, lecz dotąd nie rzekła ani słowa. Czyż może zadałem jej zbyt srogi cios, iż ogarnięta teraz zwątpieniem, pragnęła znów pójść na naukę do nauczyciela? A przecież potrzebowała tego uderzenia. Przedewszystkiem bowiem należy raz uznać, że sprawy nie stoją tak pewnie, jak sądzono.

„Jestem bardzo zadowolony, że pogadałem z tobą o tem", rzekłem do Nikhila „właśnie bowiem chciałem dać tę książkę naszej królowej pszczół".

„Dlaczegóż nie?", rzekł Nikhil. „Jeśli ja mogłem ją czytać, dlaczegóż nie mogłaby jej również czytać Bimala? Szczególniej muszę podkreślić to, że ludzie w Europie patrzą na wszystko z naukowego punktu widzenia. Człowiek jednak jest czemś więcej, niż czystą fizjologją, biologją, psychologją lub socjologją. Nie zapominaj o tym, na Boga. Jest on nieskończenie

czemś więcej, niż to uczy o nim przyrodnicza wiedza. Śmiejesz się ze mnie i nazywasz mnie wychowankiem nauczyciela, ale ty nim jesteś, nie ja. Ty bowiem szukasz prawdy o człowieku u twych przyrodniczych nauczycieli, a nie w twem własnem wnętrzu".

„Ale pocóż się tak podniecasz?" drwiłem.

„Ponieważ widzę, że zmierzasz do tego, by człowieka pohańbić i poniżyć".

„Ale z czego, na Boga, o tem wnosisz?"

„Z wszystkiego, co mówisz i czynisz i czem ranisz moje uczucie. Kierujesz ustawicznie swoje ataki przeciw wszelkiemu pięknu, wszelkiej samodzielności i wielkości człowieka".

„W jaki sposób przyszło ci to na myśl?"

Nikhil wstał nagle. „Powiadam ci właśnie, Sandipie", rzekł, „że możesz we mnie śmiertelnie zranić człowieka, ale nie potrafisz go zabić. Dlatego jestem gotów znieść wszystko, świadomie, z otwartemi oczyma".

Przy tych słowach spiesznie opuścił pokój.

Stałem jeszcze całkiem zaskoczony i patrzyłem za nim, gdy nagle usłyszałem łoskot spadającej książki, a gdy się obejrzałem, spostrzegłem Bimę idącą za nim szybko, wyraźnie zmieszaną i lękającą się zbliżyć do mnie.

Co za dziwne stworzenie, ten Nikhil! Czuje niebezpieczeństwo, zagrażające jego domowi i czemu nie wskaże mi drzwi? Wiem, czeka, aż Bima pobudzi go do tego. Jeśli mu powie, że jej małżeństwo jest pomyłką, wówczas pochyli swoją głowę i przyzna, iż popełnił wielki błąd. Nie posiada siły ducha, aby uświadomić sobie, iż największym błędem jest przyznanie się do błędu. Jest on typowym przykładem na to, jak idealizm prowadzi do słabości. Nie znam żadnego podobnego człowieka; jest on zbyt szczególnym dziwakiem! Nie nadaje się na bohatera do powieści lub dramatu, tem mniej jeszcze do rzeczywistego życia.

A Bima? Lękam się, iż jej życie w marzeniu już się skończyło. Zrozumiała wkońcu, dokąd prowadzi droga, którą dała się porwać. Teraz musi iść świadomie naprzód lub zawrócić. Prawdopodobnie jednak pójdzie raz krok naprzód, a potem cofnie się znów na krok. Ale to mnie nie trwoży. Jeśli się stanęło w ogniu, wówczas płomienie płoną tem silniej, im bardziej biegnie się wkoło. Strach, który ją przejął, podsyci jeszcze bardziej jej namiętność.

Może to lepiej, że nie mówię do niej wiele, lecz daję jej tylko do czytania niektóre współczesne książki. W ten sposób może zwolna dojść do przekonania, iż człowiek o współczesnych zapatrywaniach uznaje i czci namiętność jako najwyższą prawdę, miast wstydzić się jej i głosić zrzeczenie. Jeśli się może trzymać jakiegoś słowa jak „współczesne", to znajdzie już siłę, by pójść naprzód.

Od tego czasu muszę śledzić grę aż do końca piątego aktu. Niestety, nie mogę się poszczycić, iż jestem tylko widzem, siedzącym na przedzie w królewskiej loży i przyklaskującym od czasu do czasu. Czuję, jak drży moje serce i skaczą wszystkie moje

nerwy. Gdy wieczorem zgaszę światło i położę się do łóżka, czuję się ogarnięty drobnemi dotknięciami, spojrzeniami i słowami, wypełniającemi ciemność. Gdy się obudzę rano, drżę z żywego oczekiwania i moja krew płynie w moich żyłach, jakby podług taktu muzyki...

Na stole stała podwójna ramka z fotografjami Bimy i Nikhila. Wyjąłem portret Bimy i pokazałem jej puste miejsce, mówiąc: „Skąpiec popełnia kradzież z konieczności, dlatego też obaj, skąpiec i złodziej, uczestniczą w grzechu. Czy nie jest Pani również tego zdania?“

Bima uśmiechnęła się nieznacznie i rzekła: „Była to zła fotografja“.

„Cóż czynić?“ rzekłem. „Portret zostaje zawsze portretem. Muszę się już zadowolnić takim, jakim jest“.

Bima wzięła książkę i poczęła przewracać kartki. „Jeśli Pani jest niezadowolona“, rzekłem, „muszę się przeto postarać o to, by wypełnić to puste miejsce“.

Dziś je wypełniłem. Ta moja fotografja wykonana jest przed wielu laty. Wówczas rysy moje były jeszcze młodzieńcze i duch mój był nim również. Wówczas pieściłem jeszcze złudzenia o tym świecie i o zaświecie. Wiara oszukuje ludzi, ale ma swoją dobrą stronę: nadaje ich rysom wznioślejszego wyrazu.

Portret mój stoi teraz obok portretu Nikhila, — czyż bowiem nie jesteśmy obadwaj starymi przyjaciółmi?

ROZDZIAŁ CZWARTY.

OPOWIADANIE NIKHILA.

III.

Nie zajmowałem się nigdy wiele sobą samym. Teraz jednak staram się często oddalić się od siebie, aby przypatrzeć się sobie tak, jak Bima mnie widzi. Jakiż obraz ponurej uroczystości przedstawia taki człowiek jak ja, biorący rzeczy zawsze zbyt poważnie.

Zapewne, lepiej jest wygnać od siebie troski, niż zalewać świat łzami. Tylko w ten sposób może świat kroczyć naprzód. Spożywamy nasze potrawy i zażywamy snu jedynie po to, byśmy mogli odegnać, jak nikłe cienie, troski czekające nas wszędzie w domu i poza domem. Jeśli choćby przez chwilę przejmiemy się niemi, gdzież będzie wówczas nasz apetyt i nasz sen?

Lecz ja sam nie mogę rozprószyć siebie jak jednego z owych cieni i dlatego brzemię mojej troski cięży nieustannie na sercu mego świata.

Dlaczego nie staniesz tam wysoko, na wielkim gościńcu wszechświata i nie poczujesz się jako jego cząstka? Cóż znaczy dla ciebie Bima w tym niezmierzonym, tysiące lat trwającym pochodzie ludzkości? Twoja kobieta? Czem jest kobieta? Pusta nazwa,

którą wydąłeś twym własnym oddechem, jak bańkę mydlaną i strzegłeś dzień i noc, a która mimo to pryska przy pierwszem ukłóciu igły.

Moja kobieta — więc w istocie całkiem moja własna! Jeśli jednak powie teraz: „Nie, należę do siebie samej", — czyż mam wówczas odpowiedzieć: „Jak to możliwe? Czyż nie należysz do mnie?"

„Moja kobieta", — czyż nazwa ta wystarcza jako dowód, że należy do mnie, lub też może stanie się moją własnością przez samą nazwę? Czyż cała indywidualność da się zamknąć w tej nazwie?

Moja kobieta! — Czyż nie pielęgnowałem i nie miłowałem w tym małym światku wszystkiego, co tylko było czystem i wzniosłem w mojem życiu? Ani na chwilę nie zapominałem o tem, by mi nie upadło w proch. Ileż ofiarnego kadzidła czci, muzyki namiętności, kwiatów, które przyniosły mi wiosna i jesień, złożyłem na jej ołtarzu! Jeśli więc teraz pozwoli się zapędzić na brudną wodę kałuży, jak papierowa łódź — czyż nie mam ja również...?

Wpadam znów w mój dawny patos! Dlaczego „brudna?" I dlaczego „kałuża?" Złorzeczące słowa, których się używa w napadzie zazdrości, nie zmieniają rzeczywistości. Jeśli więc Bima nie jest moją, to nią nie jest i nie zmieni tego żaden gniew, żadna wściekłość, ani żadna kłótnia. Jeśli moje serce pęka — niechaj pęka! Nie zgubi to świata — ani również mnie; gdyż człowiek jest tem właśnie wyższy od rzeczy, które traci w tem życiu.

Ale tu wyłania się wzgląd na społeczeństwo... Pozostawiam go samemu społeczeństwu! Jeśli płaczę, to płaczę dla siebie, a nie dla społeczeństwa. Jeśli Bima powiada, że nie należy do mnie, pocóż więc pytam, gdzie jest ta, którą społeczeństwo uważa za moją kobietę!

Musi się cierpieć; jednak wszelkiemi siłami, które są w mojej mocy, muszę się ochronić przeciw samoudręczeniu: nie wolno mi myśleć, że życie straci swoją wartość, gdy los mnie kiedyś odtrąci. Pełnej wartości życia nie wolno mierzyć ciasnym, domowym światem; powodzenie czy niepowodzenie na polu mych osobistych cierpień i radości są zbyt małoznaczącemi, by mogły zniszczyć całe ogromne przedsięwzięcie życia.

Nadszedł czas, w którym muszę zedrzeć z Bimali cały idealny strój, w który ją odziałem. Folgowałem mojej własnej słabości, bawiąc się w podobne bałwochwalstwo. Byłem zbyt nienasycony w mem pożądaniu. Czynię z Bimali anioła, aby wzmódz moją rozkosz. Bimala jest jednak tem, czem jest. Niedorzecznem jest oczekiwać, że dla mojego zadowolenia powinna odgrywać rolę anioła. Stwórca nie jest zobowiązany posyłać mi aniołów jedynie dlatego, ponieważ pożądam ideału doskonałości, który istnieje tylko w mojem wyobrażeniu.

Muszę przyznać, że w życiu Bimali byłem jedynie przypadkiem. Z jej naturą prawdziwe małżeństwo jest może dla niej możliwe jedynie z takim człowiekiem, jak Sandip. Nie wolno mi jednak przy-

znać w fałszywej skromności, że zasługuję na to, by pozostawać za nim w tyle. Bez wątpienia, Sandip posiada w sobie wiele czaru, który działał bardzo silnie również na mnie, ale jestem pewny, że nie jest większy odemnie.

Jeśli dziś odniesie zwycięstwo, a ja przeoczę, to ów, co mu przyzna nagrodę, musi się kiedyś z tego wyliczyć.

Nie mówię tego w poczuciu dumnej wyniosłości. Prosta konieczność zmusza mnie, by uprzytomnić sobie całą wartość, którą rzeczywiście posiadam, bym nie zwątpił w siebie całkowicie. Niechaj więc przecież doznam przez to strasznego doświadczenia boleści, przynajmniej wyzwolenia — wyzwolenia z braku zaufania do siebie!

Nauczyłem się rozróżniać to, co rzeczywiście w sobie posiadam, od tego w co naiwnie wierzyłem, iż je mam. Obliczanie jest skończone, a to, co pozostało, jest mną — nie okaleczałą indywidualnością w strzępach i gałganach, która musi być utrzymywaną na łaskawym chlebie, ale duszą, która przecierpiała i przezwyciężyła najgorsze.

Nauczyciel mój przeszedł właśnie przez pokój i kładąc mi na ramieniu rękę, rzekł: „Kładź się do łóżka, Nikhilu, jest już późna noc".

Tak, ciężko mi jest kłaść się do łóżka, nim jest późno i zanim Bima nie śpi już twardo. W dzień widzimy się, a nawet rozmawiamy z sobą; ale o czem mam mówić, gdy jesteśmy sami, wśród ciszy nocy? — Wówczas wstydzę się cieleśnie i duchowo.

„Cóż to się stało, mój mistrzu, że jeszcze nie śpisz?" spytałem go. Nauczyciel mój uśmiechnął się lekko i wychodząc, rzekł: „Czas mego snu minął. Jestem teraz w tym wieku, w którym się czuwa".

Pisałem dotąd i właśnie chciałem wstać i pójść do łóżka, gdy ujrzałem przez okno, jak ciężki płaszcz czerwcowej chmury odchylił się nagle nieco i błysnęła wielka gwiazda. Zdawała się ona mówić do mnie: „W krainie marzenia wiąże się wstęgi, które się wciąż rwą, ale ja zawsze jestem tu — wieczna lampa weselnej nocy".

I nagle serce moje ogarnęła pewność, że poza zasłoną cielesnych rzeczy czuwa wiernie przez stulecia wieczna miłość i czeka na mnie. W niejednem życiu widziałem jej obraz w niejednem zwierciadle — w rozbitych zwierciadłach, w wklęsłych zwierciadłach, w zaprószonych zwierciadłach. I zawsze, gdy usiłowałem przywłaszczyć sobie zwierciadło i zamykałem go starannie, nie widziałem już więcej obrazu. Ale pocóż to wszystko? Co mnie obchodzi zwierciadło lub wogóle obraz?

Moja ukochana, uśmiech twój nigdy nie zgaśnie i każdego rana twoje czerwone znamię na czole błyśnie ku mnie świeżym płomieniem.

„Co za dziecinne samołudzenie się!" szydzi jakiś szatan z swego ciemnego kąta — „takiem niedorzecznem paplaniem uspokaja się dzieci!"

Możliwe. Ale tysiące tysięcy dzieci krzyczy i muszą być uspokojone. Czyż to możliwe, że wszystkie

te rzeczy uspokaja się jednem kłamstwem? Nie, nie potrafi mnie złudzić wieczna miłość, gdyż jest prawdziwa!

Jest prawdziwa, dlatego widziałem ją tak często, i ujrzę ją zawsze, nawet gdy błądzę i przez najgęstszą zasłonę łez. Ujrzałem ją na targowisku życia i zgubiłem ją i odnalazłem w natłoku; i znajdę ją, gdy przez szczelinę śmierci wymknę się temu życiu.

Ach, okropności, nie igraj ze mną! Jeśli nie udało mi się znaleźć cię, gdy szedłem śladami twych stóp na drodze i twych włosów w powietrzu, nie każ mi wiecznie żalić się przez to i płakać! Gwiazda przeświecająca przez zasłonę chmur powiada mi, iż nie powinienem rozpaczać. To, co jest wieczne, jest nieprzemijające.

Pragnę teraz pójść do mojej Bimali. Wyciągnęła zapewne swoje członki i zasnęła, uśpiona wszystkiemi wewnętrzemi walkami. Pragnę wycisnąć na jej czole pocałunek, nie budząc jej — to niechaj będzie moją krwawą ofiarą na jej ołtarzu. Sądzę, że gdy nawet zapomnę po śmierci o wszystkiem — o mojem cierpieniu i mojem całem błądzeniu — wspomnienie tego pocałunku drżeć będzie we mnie, gdyż wieniec upleciony z pocałunków miłości uwieńczy kiedyś, po wielu żywotach, wieczną miłość.

Gdy przebrzmiało ostatnie uderzenie, oznajmiające drugą godzinę, weszła do pokoju moja bratowa. „Cóż ty tu robisz, mój bracie?“ zawołała. „Idźże

spać na Boga i przestań się tak dręczyć! Nie mogę znieść, patrząc, jak cierpisz“. Łzy błysnęły w jej oczach, gdy mnie tak błagała.

Nie mogłem wyrzec ani słowa, lecz w milczącej czci dotknąłem jej stóp i poszedłem do łóżka.

OPOWIADANIE BIMALI.

VII.

Początkowo nie podejrzywałam i nie lękałam się niczego; czułam tylko, że należałam całkowicie do mojej ojczyzny. Jakże uszczęśliwiającem było to bezwzględne oddanie! Wtedy jasnem dla mnie było, jak w zupełnem poświęceniu się może człowiek znaleźć najwyższą szczęśliwość.

Sądzę, iż oszołomienie to przeszłoby zwolna samo od siebie. Ale tego nie chciał Sandip Babu; powinnam go najpierw całkowicie poznać. Dźwięk jego głosu był jak cielesne dotknięcie, każde jego spojrzenie rzucało się błagalnie do moich stóp. A poza tem wszystkiem płonęła namiętność, tak gwałtowna, iż mogłaby mnie wyrwać z korzeniami i wlec za sobą za włosy.

Nie chcę unikać prawdy. Dzień i noc czułam jego pożerające pragnienie. Było w tem coś tak szalenie kuszącego, by rzucić się w otchłań takiej namiętności. Jakże strasznem zdawało się, jak haniebnem, a jednak jak słodkiem! Do tego doprowadziła mnie nieposkromiona moja ciekawość, która parła mnie ciągle naprzód. Tak mało go znałam, nigdy i w żaden sposób nie mógł być moim, a młodość jego płonęła w tysiącznych płomieniach — ach,

jakże tajemniczą była ta niezmierzona, gorąca namiętność!

Początkowo uwielbiałam Sandipa, lecz minęło to wkrótce. Przestałam nawet poważać go; tak, jęłam patrzeć nań z góry. Mimo to serce moje było instrumentem, na którym umiał po mistrzowsku wygrywać. Cóż to pomogło, iż unikałam jego dotknięcia i nienawidziłam w sobie nawet instrumentu; musiał przecież uledz jego czarowi.

Muszę przyznać, że było coś we mnie, co... jakże mam rzec?... coś, co mi każe pragnąć, żebym wówczas umarła.

Czandranath Babu przychodzi do mnie zawsze, gdy ma czas. Posiada on moc wznoszenia mojej duszy na wyżyny, z której w jednej chwili ogarniam przestwór mego życia, rozciągający się przedemną na wszystkie strony i poznaję, gdzie są prawdziwe jego granice, poza które niedorzecznie chciałam wyjść.

Ale cóż to pomoże? Czyż rzeczywiście pragnę wyzwolenia? Zdaje mi się, że mam tylko jedną prośbę: Niechaj nawiedzi nasz dom cierpienie, niechaj najlepsze we mnie spustoszeje i zgaśnie; żeby jeno pozostał ten słodki sen!

Gdy przed mojem małżeństwem widziałam mego szwagra, jak w pijackiem oszołomieniu bił swoją żonę, a potem zaklinał się w żałosnej skrusze, płacząc i wyjąc, że nie tknie już wódki i gdy następnie jeszcze tego samego wieczora siadał i pił jedną szklankę za drugą, wówczas czułam do niego wstręt. Ale moje obecne oszołomienie jest jeszcze straszniejsze. Nie

potrzebuję przygotowywać wpierw i nalewać mej trucizny: płynie ona w moich żyłach i nie wiem, jak się mam jej oprzeć.

Czyż ma to tak trwać aż do końca mego życia? Czasami spozieram na siebie z przerażeniem i myślę, że życie moje jest nocną zmorą, która zniknie nagle wraz z całem swem kłamstwem. Jest to tak całkowicie oderwane od wszystkiego co było i niema już żadnej łączności z przeszłością. Czem to jest teraz i jak mogło być, nie mogę pojąć.

Pewnego dnia rzekła moja bratowa z szyderczym uśmiechem: „Jakże wzruszająco gościnną mamy panią! Gość jej nie chce odejść. Za naszych czasów mieliśmy również gości; ale nie troszczyliśmy się o nich tak wiele — byliśmy po głupiemu zbyt zajęci troską o naszego męża. Biedny Nikhil musi pokutować, iż jest zbyt współczesny. Powinien przyjść jako gość, jeśli chciał pozostać. Teraz wygląda to tak, jakby czas mu było odejść".

Ów sarkazm nie dosięgał mnie; wiedziałam bowiem, iż te kobiety nie mogły zrozumieć rodzaju i przyczyny mego oddania. Byłam wówczas natchniona uczuciem ofiarowania się mojej ojczyźnie, tak że podobne strzały nie mogły mnie dosięgnąć i zranić.

VIII.

Od pewnego czasu nie mówimy zupełnie o sprawie ojczyzny. Przedmiotem naszej rozmowy są teraz

współczesne zagadnienia seksualne i podobne kwestje, czasem poezja, zarówno staroindyjska jak współczesna angielska, a wszystkiemu towarzyszy głęboka, zasadnicza melodja, której jeszcze nigdy dotąd nie słyszałam, pełna męskości i przykuwającej mocy.

Doszło do tego, iż odrzuciliśmy wszelką maskę. Nie mogliśmy tego w żaden sposób umotywować, że Sandip Babu ciągle jeszcze przebywał i że od czasu do czasu prowadziłam z nim poufne rozmowy. Byłam w nieustannej wewnętrznej walce. Byłam zła na siebie samą, na moją bratową, na urządzenie świata i poprzysięgłam sobie, że nigdy nie opuszczę kobiecych komnat, choćbym nawet w nich miała umrzeć.

Przez dwa dni nie wychodziłam na krok. Wówczas nagle zrozumiałam, jak daleko zapędziłam się. Nie podobało mi się już życie. Czegokolwiek dotknęłam się, najchętniej rzuciłabym to w tej chwili precz od siebie. Czułam, że czekałam, że nerwy moje naprężone były od stóp do głów w oczekiwaniu czegoś — kogoś; krew moja wrzała z oczekiwania.

Usiłowałam rozerwać się pracą. Podłoga sypialni była dość czysta, ale uparłam się, aby czyszczono ją jeszcze raz pod moim nadzorem. Rzeczy leżały w szafach w zupełnym porządku; wyjęłam je wszystkie i uporządkowałam inaczej. Nie miałam nawet po południu ani chwili czasu, by uczesać moje włosy, splotłam je tylko wolno i krzątałam się dokoła i męczyłam każdego. Potem jęłam grzebać w spi-

żarni. Zapasy wydawały mi się bardzo uszczuplone, co nie mogło się stać w zwyczajny sposób, nie miałam jednak odwagi pociągnąć kogokolwiek z tego powodu do odpowiedzialności, czyż bowiem nie spytałby się: „Gdzież były jej oczy przez ten cały czas?"

Jednem słowem, w tym dniu zachowywałam się jak opętana. Następnego dnia próbowałam nieco czytać. Nie mam wyobrażenia co czytałam, lecz nagle zauważyłam, iż całkiem nieświadomie szłam z książką w ręku wzdłuż korytarza prowadzącego do zewnętrznych gmachów. Stanęłam więc przy oknie, naprzeciw werandy, ciągnącej się przed pokojami po drugiej stronie podwórza. Wydawało mi się, jakby jeden z owych pokoi wymknął się na drugą stronę brzegu i jakby prom przestał płynąć. Wydawało mi się jakobym była jeno duchem tej, co była przed dwoma dniami, skazana na to, by pozostać tu gdzie byłam, nie będąc tu w istocie i patrząc nieustannie i martwo przed siebie.

Gdy tak stałam, ujrzałam Sandipa Babu wychodzącego z swego pokoju na werandę, z gazetą w ręce. Mogłam zauważyć, iż był niezmiernie wzburzony. Dziedziniec, poręcze i wszystko zdawało się pobudzać go do gniewu. Rzucił gazetę z miną, jakby chciał rozszarpać cały świat.

Czułam, że nie mogę dochować dłużej mego ślubowania. Zamierzałam właśnie pójść dalej do mieszkania, gdy nagle stanęła za mną moja bratowa. „O nieba, to przechodzi już wszystko!" za-

wołała i uciekła. Po tem nie miałam już odwagi iść dalej.

Gdy następnego dnia przyszła moja służąca i zawołała: „Proszę pani, najwyższy czas, aby wydać zapasy", rzuciłam jej klucze, mówiąc: „Powiedz Harimati, aby załatwiła sama" i usiadłam przy oknie z angielską robótką, którą zaczęłam.

Wtedy wszedł służący z listem. „Od Sandipa Babu", rzekł. Co za niesłychana śmiałość! Co sobie pomyśli o tem służący? Serce mi drżało, gdy otworzyłam list. Nie zawierał żadnej przedmowy, jeno następujące słowa: „Nagląca sprawa — dotycząca ojczyzny. Sandip".

W tej samej chwili rzuciłam robótkę i skoczyłam. Kilkoma ruchami poprawiłam moje włosy przed lustrem, nie wdziewałam wpierw sari, ale ubrałam stosowną do tego bluzkę.

Musiałam przejść przez jedną z werand, na której bratowa moja zwykła rano siedzieć i krajać betle.

Przezwyciężyłam moje zmieszanie.

„Dokąd, Tszoto Rani?", zawołała.

„Do pomieszkania".

„Tak wcześnie! Na ranną pogawędkę, co?"

A gdy poszłam dalej, nie odpowiadając, mruczała za mną uszczypliwą piosenkę.

IX.

Gdy otworzyłam drzwi pokoju, ujrzałam Sandipa, zagłębionego w jakimś ilustrowanym katalogu obra-

zów brytyjskiej Akademji i odwróconego do drzwi plecami. Wyobraża sobie, że jest wielkim znawcą sztuki.

Pewnego dnia rzekł do niego mój mąż:

„Jeśli kiedyś artyści będą potrzebować mistrza, nie będą nigdy w kłopocie, jak długo ty tu jesteś". Nie było zresztą zwyczajem mego męża szydzić, ale w ostatnim czasie jest inny i nie oszczędza nigdy Sandipa.

„Dlaczego sądzisz, że artyści nie potrzebują mistrzów?" spytał Sandip.

„Ponieważ artysta jest twórcą", rzekł mój mąż. „Dlatego powinniśmy skromnie zadowolić się tem, by nauki nasze czerpać z dzieła artysty".

Sandip uśmiechnął się na taką skromność i rzekł: „Sądzisz, że pokora jest kapitałem, przynoszącym najwięcej procentów. Jestem jednak zdania, że ci, którym brak dumy, podobni są do trzciny płynącej po wodzie i nie mającej w ziemi korzeni".

Gdy tak z sobą mówili, przenikały mnie najsprzeczniejsze uczucia. Z jednej strony pragnęłam gorąco, by w sprzeczce zwyciężył mój mąż i aby duma Sandipa została upokorzona. A przecież właśnie pociągała mnie ta niezłomna duma Sandipa. Błyszczała ona, jak kosztowny djament, nie znający żadnej skromności i lśniący zuchwale nawet w obliczu słońca.

Weszłam. Sandip usłyszał snać moje kroki, gdy się zbliżałam, jednak udawał, że nie słyszy nic i nie odrywał oczu od książki.

Lękałam się, iż pocznie mówić o sztuce, gdyż z chwilą, gdy mówi o obrazach nie mogę pokonać

mego zainteresowania się niemi i z wielkim trudem staram się podczas jego mowy opanować się. Dlatego zamierzałam już prawie zawrócić, gdy Sandip spojrzał z głębokiem westchnieniem i udał, jakoby go przeobraziło moje nagłe pojawienie się. „Ach, to Pani!" rzekł.

W słowach jego, w tonie jego i w oczach jego przebijał się wyrzut, jak gdyby uroszczenia, jakie miał do mnie, moja nieobecność, choćby kilkudniowa, wyrządzały mu ciężką krzywdę. Zachowanie się to odczułam jako obrazę dla mnie, ale ach, nie miałam siły, by gniewać się za to.

Nie odpowiedziałam i jakkolwiek nie patrzyłam na Sandipa, mimo to nie mogłam nie czuć jego oskarżającego spojrzenia, wbijającego się silnie w moje oblicze i nie chcącego ustąpić. Pragnęłam gorąco, aby coś powiedział, bym za jego słowami mogła znaleść schronienie. Nie wiem jak długo trwało to, lecz w końcu nie mogłam dłużej wytrzymać. „O jakiej to sprawie pragnął pan mówić ze mną?" spytałam.

Sandip udał znów, że jest zaskoczony i rzekł: „Czyż musi wpierw koniecznie być w tem jakaś określona sprawa? Czyż sama przyjaźń jest przestępstwem? O, królowo pszczół, dlaczego ceni Pani tak mało najwyższą na świecie rzecz! Czyż można przed uwielbieniem serca zamykać drzwi, jak przed bezpańskim psem?"

Czułam znów, jak drży moje serce. Teraz musiało przyjść przesilenie, zbyt gwałtownie, aby mo-

żna się odwrócić. Walczyły we mnie o władzę radość i trwoga. Czyż ramiona moje wytrzymają ich napór, lub też rzucą mnie na ziemię, twarzą w proch?

Drżałam na całem ciele. Pokonując się gwałtem, powtórzyłam: „Wezwał mnie Pan z powodu jakiejś sprawy, tyczącej się ojczyzny, dlatego porzuciłam moje domowe obowiązki, aby usłyszeć, o co chodzi".

„Właśnie starałem się to Pani wytłumaczyć", rzekł z sarkastycznym uśmiechem. „Czyż Pani nie wie, że przyszedłem po to, by uwielbiać? Czyż nie powiedziałem Pani, iż widzę w Pani wcieloną śakti naszej ojczyzny? Nie chodzi przecież tylko o naszą geograficzną ojczyznę. Nikt nie potrafi dać swego życia za mapę kraju! Gdy widzę Panią przed sobą, wtedy dopiero ujawnia się przedemną cała piękność mojej ojczyzny. Gdy Pani namaści mnie swemi własnemi rękami, wtedy uczuję się uświęconym przed moją ojczyzną; a jeśli z tem przekonaniem w duszy padnę w walce, to padnę nie w proch kraju, który określa mapa, ale głowa moja pochyli się na miłośnie rozpostartą szatę — wie Pani, o jakiej szacie myślę? O purpurowej sari, którą Pani nosiła niedawno, z owem szerokiem, czerwonem jak krew obramowaniem. Widzę ją ciągle przedemną. Oto są wizje, które dają w życiu siłę, a podczas śmierci radość".

Oczy Sandipa ciskały płomienie, gdy tak mówił, ale czy był to ogień zapału lub namiętności, — nie potrafiłabym powiedzieć. Musiałam myśleć o owym dniu, w którym słyszałam go poraz pierwszy i kiedy

wątpiłam, czy jest człowiekiem, czy też żywym płomieniem.

Nie mogłam wyrzec ani słowa. Niemożliwem jest szukać schronienia poza granicami zewnętrznego stanowiska, gdy w jednej chwili bucha ogień i błyszczącym mieczem, wśród wrzaskliwego śmiechu, niszczy wszystko, co starannie nagromadziło skąpstwo. Byłam w śmiertelnej trwodze, iż zapomni się i może chwycić moją rękę. Stał bowiem przedemną, drżąc na całem ciele, jak syczący język płomienia; oczy jego ciskały na mnie palące iskry.

„Czy chce Pani oddawać się wiecznie bałwochwalczo małostkowym obowiązkom gospodarstwa", zawołał po chwili, „Pani, która masz w sobie moc przeznaczenia nam życia lub śmierci? Czyż owa moc Pani ma ukryć się w zenanie? Niechaj Pani odrzuci od siebie wszelką fałszywą trwogę, błagam Panią; niech sobie Pani nic nie czyni z poszeptu, który krąży dokoła! Jeszcze dziś niechaj rzuci się Pani z otwartemi ramionami w fale wolności, tam, w świecie!"

Gdy Sandip łączy w ten sposób swój kult ojczyzny z swojem uwielbieniem dla mnie, poczyna się we mnie burzyć krew i chwieją się wszystkie zapory oddzielające mnie od niego. Jego rozważania o sztuce i seksualnych zagadnieniach, jego rozróżnienia między rzeczywistem a nierzeczywistem, obudziły tylko we mnie ducha sprzeciwu, który nie pozwalał mi odpowiadać rozważnie. Ale duch ten spłonął teraz płomieniem, a z nim mój opór. Czu-

łam się opromieniona moją kobiecością, równa bogini. Dlaczegóż blask jej nie mógłby świecić widzialnie z mojego czoła? Czyż głos mój nie mógł znaleść słowa, słyszalnego wezwania, któreby jak święte zaklęcie czarownika poświęciło i rozpłomieniło moją ojczyznę?

Nagle wpadła do pokoju moja służąca Khema z rozpuszczonemi włosami. „Niech mi Pani da moją zapłatę i pozwoli odejść", krzyczała. „Nigdy w mojem życiu nie byłam tak..." Resztę stłumiło łkanie.

„Co się stało?"

Okazało się, że Thako, służąca mojej bratowej, zelżyła ją okropnie bez najmniejszego powodu. Była tak wzburzona, iż nadaremnie usiłowałam uspokoić ją, mówiąc, że natychmiast przyjdę i zbadam całą sprawę.

Brud domowego życia, leżący pod lotosowemi listkami kobiecości, wydostał się na powierzchnię. I aby Sandip nie widział go jeszcze wyraźniej, pobiegłam szybko z powrotem.

X.

Bratowa moja była zatopiona w krajaniu swych betlów i lekki uśmiech drgał na jej ustach, jak gdyby nie zdarzyło się nic przykrego. Mruczała jeszcze tę samą piosenkę.

„Dlaczego twoja Thako tak zelżyła biedną Khemę?" wybuchnęłam.

„Tak? A to dziewka! Każę ją wygnać z domu batami. Co za haniebna rzecz, aby zepsuć ci tak ranek! — Ale co za zwyczaje posiada ta dziewka Khema, że idzie do ciebie i przeszkadza ci, gdy jesteś zajęta? W każdym razie nie dręcz się temi domowemi waśniami, Tszoto Rani! Pozostaw to już mnie i wróć do swego przyjaciela!"

Jakże nagle wydyma wiatr żagle naszego ducha! To, że odszukałam tam Sandipa było w świetle kodeksu zenana czemś tak niesłychanem, iż nie wiedziałam, co mam odpowiedzieć i oddaliłam się do mego pokoju. Wiedziałam, że jest w tem robota mojej bratowej i że to ona podjudziła służące do tej sceny. Czułam się jednak na tak niepewnym gruncie, iż nie odważyłam się odparować ciosu.

Dopiero teraz zauważyłam, iż nie mogłam utrzymać do końca mej niezłomnej dumy, z jaką żądałam od mego męża oddalenia Nanku. Zawahałam się nagle gdy Bara Rani przyszła i rzekła: „Jest to rzeczywiście moja wina, kochany bracie. Jesteśmy staromodnymi ludźmi, a mnie nie podobał się Sandip Babu, więc powiedziałam strażnikowi... jakżeż jednak mogłam wiedzieć, że nasza Tszota Rani obrazi się przez to? — Spodziewałam się właśnie czegoś przeciwnego! Jestem jednak już tak niepoprawnie głupia!"

To, co się wydaje wspaniałem, gdy się go ogląda z wyżyn narodowej sprawy, wydaje się ponurem i brudnem, gdy się patrzy nań z dołu. I wkrótce niechęć i gniew zamieniają się na wstręt.

Zamknęłam się w moim pokoju, siadłam przy oknie i myślałam nad tem, jak lekkiem byłoby życie, gdyby można było żyć z otoczeniem w zgodzie. Jakże pojedynczo i naturalnie siedzi moja bratowa na werandzie z swemi betlami, a jak daleko odsunęło się odemnie moje miejsce przy moich domowych obowiązkach! Jakże się to wszystko skończy? pytałam siebie. Czyż obudzę się kiedyś z tego, jak z gorączkowego snu i zapomnę o wszystkiem, czy też stoczę się w przepaść, z której niema w tem życiu wyjścia? Jakże to się stało, iż odepchnęłam od siebie moje szczęście i zniszczyłam moje życie? Każdy kąt tej sypialni, którą przestąpiłam przed dziewięciu laty jako młoda kobieta, patrzy na mnie z przerażeniem.

Gdy mąż mój wrócił do domu z swego egzaminu na magistra, przyniósł mi tę orchideę, pochodzącą z dalekiego kraju, z za morza. Pod temi małemi listkami wynurzała się taka pełnia kwiatów, iż zdawało się, jakoby sama piękność wysypała swój róg obfitości. Postanowiliśmy wywiesić ją tu przez okno. Kwitnęła tylko raz, lecz spodziewaliśmy się, iż będzie kwitnąć jeszcze raz. Siłą przyzwyczajenia podlewałam ją sama jeszcze w tych dniach i jest dotąd zielona.

Upłynęły już cztery lata, jak portret mego męża oprawiłam w kość słoniową i ustawiłam go tam, w niszy. Gdy wzrok mój padnie teraz przypadkiem, w tę stronę, spuszczam oczy. Aż do ostatniego tygodnia zwykłam go regularnie, każdego ranka po

kąpieli, ozdabiać kwiatami, jak pewnego rodzaju ranną ofiarę, składaną mojej miłości. Mój mąż łaje mnie za to często.

„Zawstydza mnie to, iż wynosisz mnie na wyżyny, które mi się nie należą“, rzekł pewnego dnia.

„Co za niedorzeczność!“

„Jestem nie tylko zawstydzony, ale również zazdrosny!“

„Czy słyszał kto? O kogóż proszę, zazdrosny?“

„O to moje fałszywe ja. Wskazuje ono, że jestem dla ciebie zbyt niepozorny, że chciałabyś mieć niezwykłego męża, przed którego wyższością mogłabyś się korzyć i dlatego musisz sobie pomagać, tworząc sobie ze mnie inne ja“.

„Gniewa mnie to tylko, gdy tak mówisz“, rzekłam.

„Cóż to pomoże, że gniewasz się na mnie“, odparł. „Łajaj swój los, iż nie dał ci wyboru, lecz zmusił cię do tego, iż ślepo poszłaś za mną. Teraz musisz starać się nieustannie naprawić swój los, pragnąc widzieć we mnie wzór wszelkiej doskonałości“.

Na samą myśl o tem byłam wówczas tak zmartwiona, iż łzy napełniały mi oczy. I zawsze, gdy myślę o tem, muszę spuszczać oczy przed ową niszą.

Teraz bowiem posiadam w swej kasetce inny portret. Gdy niedawno sprzątałam w pokoju, zabrałam z sobą podwójną ramę, w której tkwił portret Sandipa obok portretu mego męża. Portretowi temu nie ofiarowuję żadnych kwiatów, lecz kryję go między mojemi kosztownościami. Wywiera on na mnie

tem większe wrażenie, ponieważ chowam go skrycie. Oglądam go od czasu do czasu przy zamkniętych drzwiach. Wieczorem podkręcam lampę i siedzę z portretem w ręce, patrząc nań błędnie. I każdego wieczora pragnę go spalić przy płomieniu lampy, aby go więcej nie widzieć; ale każdego wieczora chowam go znów z westchnieniem pomiędzy mojemi perłami i djamentami.

Ach, ja nędzna kobieta! Jakiż skarb miłości zawierała w sobie każda z tych ozdób! Ach, dlaczego nie jestem martwą?

Sandip wytłumaczył mi, iż zwlekanie nie leży w naturze kobiety. Nie istnieje dla niej zbaczanie — idzie ona zawsze prosto przed siebie. Gdy kobiety naszej ojczyzny obudzą się z swego snu, powtarzał mi nieustannie, wówczas z wiarą w zwycięstwo wydadzą okrzyk: „Chcę".

„Chcę" — dowodził raz Sandip, — było pierwszem słowem na początku stworzenia. Nie było ono poprzedzone żadną zasadą, lecz było ogniem, a zmieniło się w słońce i gwiazdy. Nie zna ono sprawiedliwości. Ponieważ chciało mieć człowieka, poświęcało bezlitośnie przez miljony lat, miljony zwierząt, aby dojść do swego celu. To straszliwe słowo „chcę" stało się w kobiecie ciałem i dlatego też mężczyźni starają się w swem tchórzostwie zdusić ten żywiołowy potop. Obawiają się, że gdy ono tańczy z uśmiechem, może rozwalić wszystkie płoty i podpory ich arbuzowego pola. Ludzie ci chełpili się zawsze, iż utrzymali tę siłę w karbach konwenansu,

lecz ona gromadzi się i rośnie. Teraz jest jeszcze spokojna jak jezioro, ale zwolna wzmoże się jej nacisk, tamy ustąpią i siła, milcząca tak długo, zerwie się wrzaskliwie z okrzykiem: „Chcę!"

Owe słowa Sandipa rozbrzmiewają w mojem sercu, jak warkot bojowego bębna. Zmuszają we mnie do milczenia wszelką rozterkę. Cóż mnie to obchodzi, co sobie o mnie myślą ludzie? Cóż znaczy dla mnie owa orchidea i owa nisza w mojej sypialni? W jaki sposób zdołają zmniejszyć mnie i zawstydzić? Płonie we mnie prawieczny ogień stworzenia.

Kusiło mnie, by zerwać orchideę i rzucić ją z okna, ograbić niszę z portretu i popuścić cugle bezwstydnemu duchowi zniszczenia, który wrzał we mnie. Już podniosłam ramię, aby to uczynić, gdy nagły ból przeszył moje serce, a łzy rzuciły się mi do oczu. Upadłam i łkałam: „Jak się to skończy, jak się to skończy?"

OPOWIADANIE SANDIPA

IV.

Skoro odczytuję te stronice z dziejów mego życia, pytam się poważnie siebie: Czy to jest Sandip? Czyż jestem złożony tylko z samych słów? Czyż jestem tylko książką z okładką z ciała i krwi?

Ziemia nie jest martwym przedmiotem, jak księżyc. Oddycha, a oddech jej rzek i mórz otula ją. Okryta jest płaszczem z własnego kurzu, ulatującego w powietrzu. Widz, spoglądający z zewnątrz na ziemię, widzi tylko światło, które wznieca ten oddech i kurz. Konturów potężnych kontynentów nie może wyraźnie rozróżnić.

Człowiek, żywy jak ziemia, jest również otulony mgłą swych ideji, które wydycha. Kontury jego prawdziwej istoty są ukryte i zdaje się, jak gdyby składał się jedynie z światła i cieni.

Zdaje mi się, iż w tej mojej historji życia przedstawiam tylko obraz mego idealnego świata, podobnie jak owe planety. Nie jestem jednak tylko tym, kim pragnę i spodziewam się być, — jestem również tem, czem nie lubię i czem nie chciałbym być. Stworzenie moje zaczęło się, zanim urodziłem się. W stosunku do mego otoczenia nie miałem żadnego wyboru i w ten sposób muszę próbować stworzyć najlepszą rzecz z tego, co mam pod ręką.

Mój pogląd na świat upewnia mnie, że wielkość jest okrutna. Sprawiedliwość jest dla ludzi przeciętnych; przywilejem wielkich jest niesprawiedliwość. Powierzchnia ziemi była równią. Wulkan uderzał o nią swym ognistym rogiem i wyrósł do swej wielkości — nie próbował zadowolić tego, co mu stało na drodze, lecz tylko siebie samego. Skuteczna niesprawiedliwość i naturalne okrucieństwo były jedynemi siłami, za pomocą których jednostki i narody doszły do bogactwa i władzy.

Dlatego też głoszę wielką naukę o niesprawiedliwości. Powiadam każdemu: Wolność zasadza się na niesprawiedliwości. Niesprawiedliwość jest ogniem, który wiecznie musi coś trawić, aby nie zamienić się w popiół. Jeśli jednostka lub naród nie są zdolne do popełnienia niesprawiedliwości, zostaną zmiecione i rzucone na śmietnisko świata.

Dotąd jest to tylko moja teorja, z którą się jeszcze zupełnie nie zrosłem. W mojej zbroi są szczerby, przez które przeziera coś bardzo miękkiego i wrażliwego. Ponieważ, jak już powiedziałem, istotna część mego ja została stworzona już przed moim obecnym bytem.

Od czasu do czasu wystawiam mych zwolenników na próbę, chcąc się przekonać, jak daleko doszli w swem okrucieństwie. Pewnego dnia szliśmy na piknik. Koza pasła się w pobliżu. Spytałem: „Któż z was odetnie tym nożem owej kozie nogę żywcem i przyniesie mi ją?“ Gdy wszyscy wahali się jeszcze, poszedłem i zrobiłem to. Ale gdy ujrzeli,

że jestem niewzruszony, z szacunkiem dotknęli się moich stóp i powiedzieli, iż jestem wyższy ponad wszelką ludzką słabość. Znaczy to, iż w owym dniu zobaczyli mgławicę mojej idei, ale nie zauważyli mej wewnętrznej istoty, którą kapryśny los stworzył miękką i litościwą.

W obecnym rozdziale mego życia, którego główne dzieje koncentrują się bardziej koło osoby Nikhila i Bimali, ukrywa się wiele pod powierzchnią. Teorja, która owładnęła mną, kształtuje moje wewnętrzne życie; mimo to większa część mego życia wymyka się jej wpływom i w ten sposób powstaje dysonans między mojem zewnętrznem życiem, a jego wewnętrznym planem, dysonans, który staram się ukryć, jak mogę, nawet przedemną samym; inaczej bowiem mógłby podkopać nietylko moje plany, ale samo moje życie.

Życie jest niepewne i pełne sprzeczności. My ludzie usiłujemy nadać mu szczególnego kształtu naszemi idejami, wciskając go w określoną formę— w pewność, która ma powodzenie. Wszyscy zdobywcy świata, od Aleksandra aż do amerykańskich miljonerów, widzą w mieczu lub dolarze zmysłowy obraz, podług którego kształtują swoją istotę i to jest źródłem ich powodzenia.

Głównym punktem nieporozumienia między mną a Nikhilem jest to, że, jakkolwiek wspólną naszą zasadą jest: „Poznaj siebie samego", tłumaczymy ją w całkiem różny sposób i wskutek tego jego poznanie siebie jest przeciwieństwem mojego. „Jeśli

zdobywasz powodzenie na swój sposób", zauważył Nikhil przy pewnej sposobności, „zdobywasz je kosztem duszy, ale dusza jest więcej warta niż powodzenie".

Odrzekłem tylko: „Słowa twoje są abstrakcyjne".

„Nie mogę tego zmienić", odrzekł Nikhil. „Maszyna jest dość konkretna, ale nie życie. Jeśli dla konkretnej namacalności chcesz uważać życie za maszynę, to nie powinieneś wyobrażać sobie, że znasz życie. Dusza nie jest tak konkretna, jak powodzenie i dlatego stracisz ją, jeśli gonisz za powodzeniem".

„Gdzież więc jest owa prawdziwa dusza?"

„Tam, gdzie przebywa w nieskończoności, poza wszelkiem powodzeniem".

„Ale cóż to wszystko ma wspólnego z naszą pracą dla ojczyzny?"

„Jest to ta sama sprawa. Gdzie nasza ojczyzna jest sama w sobie ostatecznym celem, tam powodzenie zyskuje kosztem jej duszy. Tam, gdzie upatruje najwyższe i największe za swój ostateczny cel, przeocza może powodzenie, ale zyskuje na swej duszy".

„Czyż jest na to w historji jakiś wzór?"

„Człowiek jest tak wielki, iż może nie tylko odrzucić powodzenie, ale również obejść się bez wzoru. Może być, że niema na to wzoru, podobnie jak nasienie niema wzoru dla kwiatu. A mimo to pęd nasienia skierowany jest ku kwiatowi.

Nie, jakobym nie rozumiał stanowiska Nikhila;

jest w tem raczej niebezpieczeństwo dla mnie. Jestem urodzony w Indjach i jad ich idealizmu tkwi w mojej krwi. Chociaż tak głośno nawet występuję przeciw szaleństwu czynności, nie mogę się jednak całkowicie od niego uwolnić.

Chciałbym, by rządził u nas styl europejski, a nie indyjski. Wówczas moglibyśmy z dumą rozwinąć chorągiew namiętności, którą natura ofiarowała nam na pole walki życia. Namiętność jest piękna i czysta — czysta jak lilja, wyrastająca z błotnistej ziemi. Wznosi się ona ponad wszystko, co pragnie ją pokalać i nie potrzebuje żadnych sztucznych środków, aby wytrwać w czystości.

V.

W ostatnich dniach dręczyło mnie jedno pytanie: dlaczego pozwalam, by życie moje wiązało się tak z Bimalą? Czyż jestem pędzonym przez wir kawałkiem drzewa, który może zatrzymać lada przeszkoda?

Nie, jakobym odczuwał jakikolwiek fałszywy wstyd, że Bimala stała się przedmiotem mego pożądania. Zbyt jasnem jest, jak bardzo mnie potrzebuje, więc uważam ją za prawowicie moją. Owoc wisi z łodygą na gałęzi, ale nie jest to powodem, dla którego łodyga miałaby go trzymać wiecznie. Dojrzały owoc czuje, jak zwolna odrywa się od łodygi. Wyczerpała dla mnie całą swoją słodycz: Oddanie się mnie jest wypełnieniem jej bytu, jej najprawdziwszej istoty, jest jej prawdziwą obyczajnością. Dlatego muszę ją uszczknąć, nie mogę bowiem jej zniszczyć z powodu tego spełnienia zadania jej bytu.

Ale najbardziej gniewa mnie to, że wiążę się coraz bardziej. Czyż nie urodziłem się po to, by rządzić, by wspiąć się na mego własnego rumaka, na tłum i ująwszy w ręce cugle, pędzić go jak chcę i gdziekolwiek chcę — nagrodą dla mnie i dla niej tylko ciernie i brud drogi? Rumak ten czeka teraz przed drzwiami, grzebie niecierpliwie ziemię i parska, a rżenie jego napełnia powietrze. Ale gdzież jestem i co czynię, zaniedbując dzień w dzień wspaniałą sposobność?

Myślałem niegdyś, że jestem wichrem i że oderwane kwiaty, któremi zasiewam moją ścieżkę, nie wstrzymają mego pochodu. Lecz jestem jeno pszczołą, krążącą wiecznie dokoła tego samego kwiatu, dotyczy to więc co powiedziałem, również i mnie: że barwa, którą człowiek nadaje sobie swemi ideami, znajduje się jedynie na powierzchni. Wewnętrzny człowiek jest zawsze ten sam. Gdyby ktoś, ktoby mógł całkowicie wpatrzeć się we mnie, napisał moją biografję, dowiódłby, że w istocie niema żadnej różnicy między takim, jak Pantszu, a mną, lub nawet między Nikhilem, a mną!

Wczoraj wieczorem przerzucałem kartki mego starego pamiętnika... czytałem, jak zdałem właśnie mój egzamin i umysł mój naszpikowany był filozofją. Nawet wówczas już chełpiłem się, iż nie oddaję

się żadnym złudzeniom, ani własnym ani obcym, lecz że buduję moje życie na gruncie rzeczywistości. Ale w istocie jak było dotychczas? Gdzie jest stałość? Podobna jest ona raczej do sieci, która, jakkolwiek związana wszędzie nitkami, złożona jest w większej części z dziur. Mogę czynić, co chcę, lecz nie dadzą się one usunąć. I właśnie gdy chwalę sobie, iż tak pewnie i nieomylnie idę za nićmi, wpadam w taką złą dziurę. Zacząłem bowiem doznawać wewnętrznych skrupułów.

„Potrzebuję tego i to jest; a więc biorę to". — Jest to jasna i prosta polityka. Kto dąży do swego celu mocno i energicznie, musi go wkońcu osiągnąć. Bogowie jednak nie pragną, aby podróż ta była łatwą, dlatego zsyłają ową syrenę współczucia, która sprowadza wędrowca z prawej drogi, mącąc jego wzrok swym łzawym welonem mgły.

Widzę, że biedna Bimala walczy jak dzikie zwierzę, schwytane w pułapkę. Jakaż śmiertelna trwoga bije z jej oczu! Jakże się poraniła o swe więzy! Widok ten powinien uradować serce prawdziwego myśliwca. I ja również jestem uradowany, lecz jestem także zasmucony; i dlatego waham się i nie mogę się zdecydować, by zacisnąć pętlicę.

Wiem, iż były chwile, w których mogłem rzucić się ku niej, chwycić jej ręce, przycisnąć je do moich piersi bez oporu z jej strony. Gdybym to uczynił, nie powiedziałaby ani słowa. Wiedziała, iż grozi przesilenie, mogące w jednej chwili zmienić sens całego świata. I gdy tak stała przed piekłem, z któ-

rego zionąć miały nieobliczalne, a przecież spodziewane rzeczy, twarz jej zbielała, a oczy jej płonęły w lęku i namiętności. Gdyby chwila ta przyszła, wówczas wcieliłaby się w niej wieczność, na którą los nasz czekał z zapartym oddechem.

Pozwoliłem jednak owej chwili wymknąć się. Nie chwyciłem z bezwzględną siłą i nie zapewniłem sobie tego, co już było prawie moją własnością. Teraz widzę jasno, iż w naturze mojej ukrywały się elementy, które jawnie zagradzały mi drogę.

W ten sam sposób zupełnie zaskoczył los Ravanę, który jest dla mnie prawdziwym bohaterem Ramajany [1]. Trzymał on Sitę w swym ogrodzie Asoka pod strażą, zamiast zaprowadzić ją wprost do swego haremu. Ta słaba strona w jego przepięknym zresztą charakterze udaremniła całą historją uprowadzenia. Pobudzały go również podobne wewnętrzne skrupuły, by ustąpić swemu zdradzieckiemu bratu, zamiast strzec się go, a w podzięce za to zabito go.

W samym więc człowieku tkwi tragiczność życia. Początkowo ukrywa się w nim gdzieś głęboko, jako drobny zarodek, by wkońcu wystrzelić i przewrócić cały gmach. Właściwa tragiczność polega na tem, iż człowiek nie uznaje się za to, czem rzeczywiście jest.

---

[1] Ramajana, druga wielka bohaterska epopeja staroindyjskiej literatury (obok Mahabharaty). Główną treścią jej jest opowieść, jak bohater Rama został pozbawiony swej wiernej małżonki Sity przez demonów Ravany i jak ją odzyskał z pomocą króla małp Hanumana.

VI.

Podobnie ma się rzecz z moim stosunkiem do Nikhila. Jeśli nawet wiem, że jest szalony i śmieję się z niego, nie mogę się pozbyć tej myśli, że jest moim przyjacielem. Początkowo odrzucałem po prostu jego zapatrywania, ale obecnie począł mnie zawstydzać i ranić boleśnie. Dlatego staram się dyskutować z nim jak pierwej i zachować przy tem dawny, entuzjastyczny ton, lecz nie dźwięczy on szczerze. Tak, czasem nawet daję się skłonić do tego, iż przeczę mojej naturze i udaję, że jestem tego samego zapatrywania, co on. Ale udawanie nie leży w mojej naturze, jak również w naturze Nikhila; to jedno przynajmniej łączy nas. Dlatego wolę obecnie, nie spotykać się z nim i jeśli tylko mogę, staram się zejść mu z drogi.

Wszystko to jest oznaką słabości. Z chwilą gdy człowiek przypuści możliwość niesprawiedliwości, staje się ona faktem i chwyta go za gardło, chociaż nawet próbuje odrzucić od siebie wszelką wiarę w jej istnienie. Chciałbym tylko powiedzieć otwarcie Nikhilowi, iż takim wydarzeniom jak owe, musi się spojrzeć w twarz, jako wielkim rzeczywistościom i że to, co ma prawo jako prawda, nie powinno dzielić prawdziwych przyjaciół.

Nie da się zaprzeczyć, iż w istocie stałem się słabszym. Lecz nie zdobyłem Bimali ową słabością; poparzyła sobie skrzydła w ogniu pełnej siły mojej bezwzględnej męskości. Z chwilą gdy ogień ów

przysłania dym, staje się ona niepewną, zmieszaną i cofa się. Potem uczucie jej zwraca się przeciw mnie i najchętniej pragnęłaby odebrać wieniec, którym uwieńczyła mnie, lecz nie może; przeto zamyka tylko oczy, aby go nie widzieć.

Mimo to jednak nie śmiem zejść z drogi, którą sobie wykreśliłem. W żadnym wypadku nie mogę porzucić sprawy ojczyzny, a tem mniej w obecnej chwili. Bimala i moja ojczyzna będą dla mnie w przyszłości jednem. Gwałtowny wiatr z Zachodu, który zdarł z kraju zasłonę sumienia, zerwie z oblicza Bimali zasłonę kobiety, a to odsłonięcie nie urazi żadnego nakazu wstydu. Gdy kołyszący się okręt niesie rzeszę przez ocean, a nad nim powiewa chorągiew *Wande Mataram*, będzie on również kolebką mojej mocy i mojej miłości.

Bimala zachwyci się tak bardzo, jeśli ogląda w duchu wyzwolenie naszej ojczyzny, iż opadną z niej więzy, tak dalece, iż nie będzie się tego wstydzić, ani też nawet nie zauważy tego. Oczarowana pięknością tej straszliwej, niszczycielskiej siły, nie zawaha się ani przez chwilę, by stać się okrutną. Zauważyłem w naturze Bimali okrucieństwo, będące istotną siłą wszelkiego bytu — okrucieństwo, które strzeże piękna świata swą bezlitosną przemocą.

Gdyby tylko można było uwolnić kobiety z sztucznych więzów, nałożonych im przez mężczyzn, mielibyśmy na ziemi żywy pierwowzór Kali, tej bezwstydnej, bezlitosnej bogini. Jestem jednym z służebników Kali i kiedyś będę jej służył prawdziwie,

gdy wyniosę Bimalę, jako jej wcielenie, na ołtarz zniszczenia. Do tej służby pragnę się przygotować.

Droga do odwrotu jest dla nas na zawsze zamknięta. Razem będziemy się ograbiać, razem będziemy nienawidzieć się, lecz nie rozłączymy się już nigdy.

ROZDZIAŁ PIĄTY.

OPOWIADANIE NIKHILA.

IV.

Wszystko szumi i kołysze się w powodzi sierpnia. Młode plony ryżu błyszczą jak członki małego dziecka. Woda wtargnęła do ogrodu obok domu. Światłość ranka spływa hojnie na ziemię, jak miłość błękitnego nieba... dlaczegóż nie umiem śpiewać? W dali rzeka lśni od światła; połyskują liście; łany ryżu martwieją w złocistym żarze; a wśród tej jesiennej symfonii ja jeden jestem milczący. Słoneczny blask świata uderza w moje serce swojemi promieniami, lecz ono nie odbija ich.

Skoro widzę, iż odmówiono mi daru wyrażania swych uczuć, wiem, dlaczego jestem samotny. Któżby potrafił znieść moje towarzystwo trwale, dzień i noc? Bimala jest pełną życia i dlatego w ciągu dziewięciu lat naszego małżeństwa nigdy nie byłem nią przesycony.

Życie moje posiada tylko swoją głuchą głąb, lecz niema szepcącego szmeru. Potrafię tylko przyjmować, jak spokojne jezioro, lecz nie porywać. I dlatego moje towarzystwo jest jak post. Dziś widzę jasno, że Bimala pościła przez cały czas przy moim boku.

Kogo mam za to ganić? Mogę się tylko skarżyć jak Vidjapati:

Sierpień już. Dziko łka niebo
I łez potoki rwą na ziemię.
Ach, a serce moje jest puste.

Widzę teraz, że dom mój skazany był od początku na to, by stać pustką, gdyż drzwi jego nie dają się otworzyć. Dotąd jednak nie wiedziałem, iż boskość jego była poza nim. Byłem tak głupi, iż sądziłem, iż ucho moje ją posłyszy i udzieli mi za to swej łaski. Ach, jednak dom mój stał cały czas pustką.

Każdego roku o tej porze zwykliśmy płynąć łódką przez dalekie przestrzenie Samaldy. Często mówiłem Bimali, iż każda pieśń musi wrócić zawsze do swej zasadniczej melodji. Pierwotna melodja zasadnicza każdej pieśni tkwi w naturze, gdzie brzemienny deszczem wiatr dmie przez szumiący potok, gdzie zielona ziemia zasłania swe oblicze zasłoną cieni i chyli swe ucho do gwarzącej wody. Tu spotkali się najpierw mężczyzna z kobietą na początku wszelkiego czasu — a nie między murami. I dlatego musimy wszyscy przynajmniej raz w roku wrócić do natury, aby miłość naszą nastroić na nowo na pierwszy, czysty ton,w którym spotkały się nasze serca.

Przez pierwsze dwa lata naszego małżeństwa przepędzałem dzień naszego ślubu w Kalkucie, gdzie

składałem moje egzamina. Ale od następnego roku, w ciągu siedmiu dalszych lat święciliśmy zawsze ów dzień wśród kwitnących, wodnych lilji. Obecnie zaczyna się inna oktawa mego życia.

Trudno mi będzie nie myśleć o tem, iż w tym roku sierpień znów powrócił. Czy Bimala myśli o tem? Nie dała mi zupełnie poznać po sobie. Wszystko dokoła mnie jest głuche.

Sierpień już. Dziko łka niebo
I łez potoki rwą na ziemię.
Ach, a serce moje jest puste.

Dom, który opustoszał, ponieważ kochankowie rozłączyli się, jest jeszcze przenikniony muzyką wśród swojej pustki. Ale dom, który opustoszał, ponieważ rozłączyły się serca, jest straszny w swem milczeniu. Nawet krzyk boleści nie stosuje się doń.

Ten krzyk boleści muszę we mnie zagłuszyć. Jak długo cierpię jeszcze, nie będzie Bimala nigdy prawdziwie wolna. Muszę ją całkowicie wyzwolić, inaczej nigdy nie uwolnię się od kłamstwa...

Sądzę, że jedno zaczynam teraz rozumieć. Człowiek rozognił tak dalece płomień miłości między mężczyzną a kobietą, iż sięgnęła ona poza swoją prawowitą dziedzinę, która nie może ją obecnie powstrzymać. Człowiek uczynił z swej miłości bałwochwalstwo. Lecz przyjdzie czas, gdy ustaną ludzkie ofiary na jej ołtarzu.

Poszedłem dziś do mego sypialnego pokoju, aby wziąść książkę. Oddawna już nie byłem w nim za

dnia. Ból ogarnął moją duszę, gdy się w nim rozejrzałem w świetle dnia. Na wieszaku wisiała jakaś sari Bimali, wygładzona i zakręcona, gotowa do użycia. Na toaletowym stoliczku stała jej perfuma, obok niej leżał grzebień, szpilki do włosów i tu również znajdowała się szkarłatna pomada do znamienia na czole! Pod spodem stały jej złotem haftowane, małe trzewiki.

Niegdyś, gdy Bimała nie przezwyciężyła jeszcze swej niechęci do trzewików, przyniosłem jej owe z Laknau, chcąc ją zachęcić. Pierwszy raz chciała się z wstydu zapaść pod ziemię, gdy miała wyjść w nich tylko na werandę.

Od tego czasu wynosiła już niejedną parę, ale owe chowała zawsze jak skarb. Gdy poraz pierwszy pokazałem jej te buciki, znęciłem ją w niezwykły, jej właściwy sposób: „Zaskoczyłem cię, gdy z uwielbieniem dotykałaś się moich nóg, sądząc, że śpię. Oto jest moja miłosna ofiara, aby stopy mojej bogini, gdy się obudzi, dotykały się zawsze w uwielbieniu.“ Wzbraniała się jednak z przerażeniem: „Nie powinieneś tak mówić, gdyż nie będę nigdy nosić twoich trzewików“.

Ów pokój sypialny ma tak subtelną atmosferę, iż czuję ją aż w najdalszej głębi serca. Nie wiedziałem do dziś, jak dalece spragnione serce moje rozpostarło swoje korzenie i oplątało się dokoła każdego poszczególnego przedmiotu. Widzę, iż nie wystarcza

mi wyrwać główny korzeń, aby uwolnić moje życie. Krępują mnie nawet te małe trzewiki.

Błądzący mój wzrok padł na niszę. Portret mój spogląda stamtąd, jak zawsze, jakkolwiek kwiaty, zdobiące go, zwiędły dawno i wyschły. Z wszystkich rzeczy w pokoju one jedne szczere są w swem pozdrowieniu. Mówią mi, że są jeszcze tutaj dlatego, ponieważ żałowano trudu aby zabrać. Niechaj jednak tak będzie: pragnę powitać prawdę, chociaż nawet w tak skąpej i smutnej postaci i poczekać, aż przyjdzie czas, gdy będę mógł patrzeć na wszystko tak nieporuszenie i spokojnie, jak mój portret tam w niszy.

Gdy tak stałem jeszcze, zjawiła się Bimala. Odwróciłem spiesznie wzrok od niszy ku półce z książkami i mruknąłem: „Chciałem tylko wziąść sobie Pamiętniki Amiela[1]“. Pocóż tłumaczyłem się wobec niej dobrowolnie? Czułem się jak złoczyńca, jak intruz, śledzący tajemnicę, której nie powinien znać. Nie mogłem Bimali spojrzeć w twarz i wyszedłem szybko.

V.

Siedziałem w moim pokoju i powiedziałem sobie, że niema żadnego sensu, bym usiłował czytać lub zająć się czemkolwiek innem — zdawało mi się, jak gdyby wszystkie moje przyszłe dnie ścięły się

[1] Henryk Fryderyk Amiel, genewski poeta i filozof (1821—81) znany z swoich „Pamiętników“, ogłoszonych po jego śmierci.

w zwartą masę i chciały na zawsze ledz ciężarem na mojej piersi — wtem nadszedł Pantszu, dzierżawca sąsiedniego zemidara [1], z koszem pełnym kokosowych orzechów i pozdrowił mnie z szacunkiem.

„Pantszu", rzekłem. „Co to znaczy?" Poznałem Pantsza przez mojego nauczyciela. Był bardzo biedny, dlatego sądziłem, że biedny chłopak chciał tym podarunkiem zyskać mały napiwek, aby wydostać się z chwilowego kłopotu. Wyjąłem z mojej sakiewki nieco pieniędzy i podawałem mu, jednak ów wzbraniał się splecionemi rękami: „Nie, Panie, nie mogę tego przyjąć!"

„Dlaczego nie, co ci się stało?"

„Pozwól mi się wyspowiadać, Panie. Raz gdy byłem w wielkiej biedzie, ukradłem z tego ogrodu kilka kokosowych orzechów. Starzeję się i każdego dnia mogę umrzeć, dlatego przyszedłem, aby je Panu odpłacić."

Pamiętniki Amiela nie pomogłyby mi w owym dniu, ale owe słowa Pantsza ulżyły mojemu sercu. Są przecież w życiu jeszcze inne sprawy, prócz złączenia i rozłąki mężczyzny i kobiety. Poza niemi rozciąga się wielki świat; dopiero wówczas ma się prawdziwą miarę własnych cierpień i radości, gdy się stoi w pośrodku tego świata.

Pantszu odnosi się do mego nauczyciela z wielkim szacunkiem. Wiem dobrze, jak się mozoli, aby

[1] Ustanowiony za pewną opłatą przez rząd główny dzierżawca pewnego obszaru kraju, z prawem oddzierżawiania.

zdobyć do życia to, co najkonieczniejsze. Wstaje codziennie o zmierzchu, przechodzi wbród płytką wodę moczarów z swym koszem pełnym liści pieprzu, tytoniu, kolorowej przędzy do szycia, małych grzebyków, lusterek i innego towaru, który lubią wiejskie kobiety i idzie do dzielnicy Namasudra. Tu mienia swoje towary na ryż, otrzymując nieco więcej, niż za to zapłacił. Jeśli wróci dość wcześnie, spożywa szybko obiad i idzie jeszcze raz do cukiernika, gdzie pomaga przy tłuczeniu cukru do opłatków. Wróciwszy do domu, siada i wyrabia klamry rogowe, męcząc się tem aż do północy. I przy całem tem beznadziejnem mozoleniu się zarabia zaledwie tyle, iż on i jego rodzina mogą jeść przez siedm miesięcy dwa razy dziennie. Aby się nasycić, pije wprzód zawsze tęgą porcję wody, a głównym jego pożywieniem są najtańsze i najlichsze banany. A jednak rodzina musi wyżyć przez drugą część roku jednym tylko objadem.

Myślałem raz o tem, aby dać mu roczne wsparcie, lecz nauczyciel mój rzekł: „Nie zdołasz zmienić twardego losu tego człowieka, możesz go jedynie swoim darem zniszczyć. Matka Bengalia ma nie tylko tego jednego Pantszu. Jeśli jej piersi są puste, to mleko, pochodzące z zewnątrz, nie może tego zastąpić."

Takie myśli zmuszają do zastanowienia się, więc postanowiłem sobie znaleść wyjście z tej biedy. Jeszcze w tym samym dniu rzekłem do Bimy: „Przyłóżmy się do dzieła, by wykorzenić z kraju owo nieszczęście."

„Jak widzę, jesteś moim księciem Sidhartą“ [1] rzekła z uśmiechem. „Lecz uważaj, by prąd twoich uczuć i mnie również nie porwał z sobą“.

„Sindharta złożył ślubowanie sam. Pragnąłbym, abyśmy go złożyli razem“.

Zaczęliśmy mówić o innych rzeczach. Bimala jest w istocie urodzoną „lady“. Chociaż nawet rodzina jej nie żyje w dobrych stosunkach, jest ona przecież z domu księżniczką. Nie wątpi, że dla trosk i cierpień niższych klas istnieje inna miara. Naturalnie cierpią one nieustanne braki, ale nie znaczy to, że jest to dla nich rzeczywiście „brakiem“. Czują się właśnie dobrze i pewnie w swem ograniczeniu, jak staw w swoich brzegach; jeśli granice ich rozszerzą się, występuje jeno namuł.

W rzeczywistości Bimala dzieli ze mną mieszkanie, a nie życie. Wywyższyłem ją i dałem jej tak wybitne miejsce, iż z chwilą, gdy ją straciłem, całe moje pozostałe życie wydało mi się ciasne i małe. Rzuciłem wszystko inne w szary kąt, by zrobić miejsce Bimali — pochłonięty tem, by ją przystroić, odziać i wychować i dzień i noc kręcić się koło niej, zapomniawszy o tem, jak wielką jest ludzkość i jak cennem jest ludzkie życie. Gdy przypadkowe wydarzenia codziennego życia poczynają opanowywać człowieka, wówczas nie widzi on już prawdy i traci swoją wolność. A Bimala kładła tak wielką wagę

[1] Nazwisko Buddy przed wyrzeczeniem się świata.

na owe przypadki, iż prawda całkowicie ukryła się przedemną. Dlatego nie widzę żadnego wyjścia z mojej nędzy i wpatruję się nieustannie w puste miejsce, które było dla mnie światem. I oto tego sierpniowego ranka godzinami dźwięczy mi w uszach stary refren:

„Sierpień już. Dziko łka niebo.
I łez potoki rwą na ziemię.
Ach, a serce moje jest puste“.

OPOWIADANIE BIMALI.

XI.

Przemiana, która za jednym zamachem ogarnęła ducha Bengalji, była ogromna. Zdawało się, jakby Ganges poruszył popioły sześćdziesięciu tysięcy synów Sagara, których nie zdołał zapalić żaden ogień, ani żadna woda nie zdołała zmienić w żyjącą ziemię. Martwa Bengalja stanęła nagle i rzekła: „Oto jestem".

Czytałam gdzieś, że raz w starej Grecji udało się jakiemuś rzeźbiarzowi ożywić obraz, który własną ręką stworzył. Lecz nawet przy tym cudzie forma była już gotowa, zanim wstąpiło życie. Ale gdzież była jedność w tym stosie bezpłodnych popiołów? Gdyby były twarde jak kamień, moglibyśmy wierzyć, że powstanie z nich jakaś forma, podobnie jak Ahalja, która, jakkolwiek zamieniona w kamień, uzyskała znów swoje człowieczeństwo. Ale owe rozprószone popioły musiały rozsypać się stwórcy między palcami na pył, by roznieść się na wszystkie strony. Zgromadziły się, lecz nie zrosły się z sobą nigdy. W tym dniu jednak, który nadszedł dla Bengalji, nawet ta ulotna masa przybrała kształt i zawołała piorunującym głosem tuż pod naszemi drzwiami: „Oto jestem!"

Czyż mogliśmy wierzyć w coś innego, niż w cud? Zdawało się, jak gdyby owa chwila naszych dziejów wpadła nam w ręce, jak klejnot z korony pijanego boga. Nie była podobna do naszej przeszłości; wierzyliśmy przeto, że wszystkie nasze braki i biedy znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, że nie będzie już dla nas żadnych granic między możliwością i niemożliwością. Wszystko zdawało się mówić nam: „Nadchodzi, już jest tu!"

W ten sposób uwierzyliśmy, że nasza historja nie potrzebowałaby rumaka, lecz mogłaby pognać własnemi siłami, jak niebieski wóz. Co najmniej nie potrzebowanoby wynagradzać woźnicę, jeno od czasu do czasu musianoby napełniać jego puhar winem. A wówczas osiągnęlibyśmy cel naszych nadziei w jakimś nieprawdopodobnym raju.

Mój mąż nie był całkiem bezczynny, lecz gdyśmy się zapalali, był coraz smutniejszy. Zdawało się, jakoby szukał wizji poza wzburzoną teraźniejszością.

Przypominam sobie, jak raz, podczas sporów, które nieustannie prowadził z Sandipem, rzekł: „Szczęście przybyło do naszych drzwi, aby nam tylko pokazać, że nie możemy go przyjąć, — że nie przygotowaliśmy się, aby go poprosić do naszego domu".

„Nie", odpowiedział Sandip. „Mówisz jak ateista, ponieważ nie wierzysz w nasze bóstwo. My wiemy dokładnie, że bogini przyszła do nas z swym darem, ty jednak nie ufasz oczywistym oznakom jej obecności".

„Właśnie dlatego, że tak silnie wierzę w mego Boga", rzekł mój mąż, „jestem tak pewny, iż nie jesteśmy jeszcze przygotowani do jego służby. Bóg posiada moc ofiarowania nam swego daru, lecz my musimy posiadać siłę, by go przyjąć".

Takie słowa mego męża rozdrażniły mnie tylko. Nie mogłam się powstrzymać od wmieszania się: „Sądzisz, iż ów zapał jest tylko oszołomieniem, ale czyż takie oszołomienie nie daje w pewnej mierze siły?" „Tak", odrzekł mój mąż. „Dodaje może siły, ale nie daje broni".

„Siła jednak jest darem Boga", ciągnęłam dalej. „Broń może być dostarczana przez prostych rzemieślników". Mój mąż uśmiechnął się. „Rzemieślnicy zażądają zapłaty, zanim dostarczą broni", rzekł.

Sandip uderzył się w piersi i odrzekł: „Nie troszcz się tylko o to! Otrzymają już swoją zapłatę!"

„Zamówię uroczystą orkiestrę, gdy otrzymają swoją zapłatę, lecz nie pierwej", odrzekł mój mąż.

„Nie wyobrażaj sobie, że w tym wypadku jesteśmy skazani na twoją hojność", rzekł szyderczo Sandip. „Nasza uroczystość nie zależy od zapłaty złotem".

I począł śpiewać ostrym głosem:

Mój kochanek, co hojnie miłość swą rozrzuca
i nie pyta o zapłatę,
Gra na prostym, małym flecie, który kupił
za bezcen,
A serce me słucha dźwięków, póki się w nich
nie zatraci.

Potem zwrócił się do mnie z uśmiechem i rzekł: „Skoro śpiewałem, królowo pszczół, chcę tem jedynie dowieść, że, jeśli życie nasze jest pełne muzyki, możemy się obejść bez pięknego głosu. Jeśli śpiewamy jedynie dlatego, że jesteśmy muzykalni, to pieśń nie jest wiele warta. A więc, ponieważ na kraj nasz spłynął pełny potop muzyki, pozwól Pani stroić Nikhilowi swój głos, podczas gdy my pobudzimy kraj naszemi surowemi głosami:

„Mój dom woła do mnie: Dlaczego pragniesz
wyjść i stracić wszystko twoje w świecie?
Lecz życie moje mówi; Weź swoje mienie
i rzuć go na pastwę wiatrów!
Idę za głosem życia, cóż obchodzi mnie mienie,
które przecie znika?
Gdyż jednego tylko pożądam: śmiertelnego napoju
nieśmiertelności.

Musisz zrozumieć, Nikhilu, iż my wszyscy straciliśmy serce. Nikt nie może zatrzymać nas dłużej w granicach łatwo możliwego podczas naszej pogoni za beznadziejnie niemożliwem.

Chcecie nas wstrzymać
Głupcy, co nie znacie niekrępowanej rozkoszy zuchwalstwa,
Którzy nie usłyszeliście wezwania, lecącego
do nas od celu zatraconej ścieżki!
Wszystko, co jest dzielne, proste i gładkie,
Rzućmy w proch!"

Sądziłam, że mąż mój zechce prowadzić dalej dyskusję, lecz on wstał w milczeniu i opuścił nas.

To, co mnie wewnętrznie podniecało, było jedynie odbiciem burzliwej namiętności, obiegającej cały

kraj od krańca do krańca. Czułam, jak pan mego przeznaczenia gnał szybko na swym zwycięskim rydwanie, a turkot kół znajdował we mnie oddźwięk. Czułam nieustannie, że każdej chwili stanie się coś niezwykłego, za co jednak nie ponoszę żadnej odpowiedzialności. Czyż nie znalazłam się w sferze, w której nie pytają wcale o zdanie i o uczucia drugich? Czy chciałam tego kiedyś — czy spodziewałam się tego i oczekiwałam? Któżby mógł powiedzieć, przypatrzywszy się uważnie mojemu dotychczasowemu życiu, że spada na mnie jakakolwiek wina?

Przez całe moje życie wiernie składałam na ołtarzu moje ofiary — ale gdy w końcu miała się objawić łaska boska, ukazał się inny Bóg, a nie ów, któremu miałam służyć. I w czasie, gdy przebudzony kraj drży od radosnego okrzyku *Wande Mataram*, którym pozdrawia wyłaniający się przed nim nagle sen przyszłości, wszystkie pulsa uderzają z radości na powitanie zrodzonego nagle, nieznanego i dzikiego obcego.

Pewnej nocy opuściłam moje łóżko i wymknęłam się z mego pokoju na tarasę. Za murem naszego ogrodu są dojrzewające pola ryżu. Na północy widać przez drzewa wsi lśniącą rzekę. Cały krajobraz spoczywał w ciemności, jak drzemiący jeszcze zarodek nowej przyszłości.

W tej przyszłości ujrzałam moją ojczyznę, kobietę podobną do mnie, wypatrującą w pełnem oczekiwaniu. Nagłe wezwanie nieznanego coś wygnało ją z głębi jej domu. Nie miała czasu czekać i na-

myślać się, lub zapalać pochodnię, lecz bez namysłu rzuciła się w ciemność. Wiem dobrze, jak najgłębsza jej dusza odpowiada na dalekie wołające ją dźwięki fletu; jak wznosi się jej pierś; jak czuje, iż zbliża się coraz bardziej do tego nieznanego, dosięga go, tak że może rzucić w nie na oślep. Nie jest matką. Nie słucha wezwania swych głodnych dzieci, ciemny dom czeka wieczorem nadaremnie na lampę. Spieszy na swoją schadzkę, gdyż to jest kraj poetów Wisznu. Porzuciła swój dom, zapomniała o swych domowych obowiązkach; czuje tylko niezmierzoną tęsknotę, pędzącą ją naprzód — a jaką drogą, do jakiego celu, jest to jej obojętne.

I mnie również ogarnęła taka tęsknota. I ja również straciłam mój dom i zbłądziłam. Cel i droga toną przedemną również w ciemnościach. Czuję tylko, jak tęsknota gna mnie coraz dalej. Ach, ty nieszczęsny wędrowcze, błądzący przez noc; gdy dzień zaświta, nie ujrzysz żadnego śladu drogi, którą mógłbyś powrócić. Ale dlaczego wracać? Śmierć jest równie dobra. Gdy ciemność wabi mnie swoim fletem w przepaść, cóż obchodzi mnie to, co nastąpi potem? Jeśli ciemność jego pochłonęła mnie, przeto nie będę już istniała, a wraz ze mną zginą dobro i zło, śmiech i łzy.

XII.

Ponieważ maszyna czasu pracowała nagle w Bengalji z najwyższem napięciem, wszystko co wydawało

się ciężkiem, stało się łatwem i wydarzenia następowały po sobie raz po razu. Nic nie dało się już powstrzymać, nawet w naszym odległym zakątku. Początkowo okręg nasz zwlekał, ponieważ mąż mój nie chciał wywierać nacisku na ludzi. „Ci, którzy składają swej ojczyźnie ofiary, są naprawdę jej sługami", mówił często, „ale ci, którzy zmuszają do tego innych, są jej wrogami. Pragnęliby podciąć wolność przy korzeniu, aby ją chwycić za wierzchołek".

Gdy jednak przyszedł Sandip i usadowił się tu, a zwolennicy jego poczęli objeżdżać kraj i wygłaszać swoje mowy po wsiach i targowych miasteczkach, wówczas fale poruszenia uderzyły również o nasz brzeg. Gromada młodych miejscowych chłopców przyłączyła się do niego, wśród nich niektórzy, znani jako zakała wsi. Ale ogień prawdziwego zapału oczyścił ich zewnętrznie i wewnętrznie. Okazało się, jak wszelki brud i wszelka pleśń mogą być z kraju nagle wymiecione, gdy powieje nad nimi czysty wietrzyk wielkiej radości i nadziei. Trudno jest zaiste ludziom, by byli szczerymi, otwartymi i zdrowymi, gdy ojczyzna ich leży ujarzmiona na ziemi.

Teraz oczy wszystkich zwróciły się ku mojemu mężowi, z którego jedynie tylko dóbr nie zostały wygnane zagraniczne towary, jak cukier, sól i materje. Nawet oficjaliści byli tem w końcu zmieszani i zawstydzeni. A przecież niedawno jeszcze, gdy począł do naszej wsi sprowadzać krajowe wyroby, szydzili zeń i ganili go z powodu niedorzeczności wszyscy młodzi i starzy. Gdy należenie do ruchu swadeśi nie było jeszcze zaszczytem, gardziliśmy nim z całego serca.

Mój mąż dotąd jeszcze zacina swoje indyjskie ołówki indyjskim nożem, pisze trzcinowym piórem, pije wodę z cynowego naczynia i pracuje wieczorem przy świetle staromodnej lampy. Ale taki cukrowany patrjotyzm nie wzruszał nas. Wstydziliśmy się najbardziej prostego i niemodnego urządzenia jego salonu, szczególniej gdy gościli w nim wysocy urzędnicy lub inni Europejczycy.

Mąż mój przysłuchiwał się moim perswazjom z uśmiechem. „Dlaczego wzruszasz się takiemi drobnostkami?" zwykł mówić.

„Będą nas uważać za barbarzyńców lub w każdym razie posądzą nas o brak subtelnego smaku".

„Jeśli to uczynią odpłacę się im tem, iż będę sądził, że subtelność ich nie sięga głębiej, niż ich biała skóra".

Mąż mój miał na swojem biurku zwyczajny miedziany garnuszek, którego używał jako wazę na kwiaty. Dowiedziawszy się, iż spodziewa się europejskiego gościa, wkradałam się często do jego pokoju i w jego miejsce stawiałam kryształową wazę europejskiej roboty.

„Patrz-no, Bimalo", zauważył w końcu, „ów mosiężny garnek wie równie mało o sobie, jak owe kwiaty; ale ta rzecz zbyt głośno mówi o swojem przeznaczeniu, nadaje się tylko do sztucznych kwiatów.

Tylko Bara Rani pochlebia zachciankom mego męża. Pewnego razu przychodzi zadyszana: „O bra-

cie, czy słyszałeś już? Mają już we wsi wspaniałe indyjskie mydło! Przekroczyłam już wprawdzie wiek, w którym używa się wszelkiego zbytku, ale jeśli nie zawiera żadnych zwierzęcych tłuszczów, spróbowałabym go chętnie".

Mój mąż, słysząc to, promienieje i natychmiast cały dom tonie w indyjskim mydle i w indyjskich zapachach. Zaiste, dobre mydło! Jest ono raczej pewnego rodzaju ostrą sodą. Jak gdybym dobrze nie wiedziała, że moja bratowa używa dla siebie europejskiego mydła, a tamto daje służącym do prania płócien!

Innym razem powiada: „Ach, kochany bracie, kup mi kilka tych nowych indyjskich obsadek do piór!"

Jej „brat" znów promienieje ze szczęścia, a pokój mojej bratowej ubrany jest znów wszelkiego rodzaju wstrętnemi małemi patykami, które zwą się obsadkami swadeśi. Nie, aby to miało dla niej jakieś znaczenie, ponieważ nie obchodzi ją czytanie i pisanie. Jednak wśród jej przyborów do pisania leży jeszcze ciągle ta sama obsadka z kości słoniowej, jedyna której kiedykolwiek używała.

W istocie wszystko to było wymierzone przeciw mnie, ponieważ nie chciałam popierać dziwactw mego męża.

Nie miało to sensu, bym próbowała dowieść mu niesłuszności mojej bratowej; twarz jego nabierała surowego wyrazu, skoro tylko poruszyłam tę sprawę. Przysparza się sobie jedynie kłopotu, jeśli się próbuje takim ludziom otworzyć oczy.

Bara Rani szyje bardzo chętnie. Pewnego razu nie mogłam się powstrzymać, by nie wybuchnąć: „Jaką ty jednak jesteś komedjantką, siostro! Gdy twój „brat" jest obecny, z zapałem mówisz o nożycach swadeśi, ale przy swej pracy używasz zawsze angielskich".

„Cóż to szkodzi?" odrzekła. „Czyż nie widzisz, jaką to mu sprawia radość? Wyrośliśmy tu razem w domu i znam go od dzieciństwa. Nie mogę po prostu tego znieść, jak ty, że się już nie uśmiecha. Biedny, niema już żadnej przyjemności prócz zabawy kupowania. Jesteś jedyną, któraby go mogła rozweselić, a przecież doprowadzisz go do zguby".

„Tak czy owak, nie jest uczciwie udawać", odparłam.

Moja bratowa rozśmiała mi się w twarz. „Ach, ty niewinna, mała Tszota Rani! Jesteś zupełnie jak trzcinowa laska nauczyciela, nieprawdaż? Ale prawdziwa żona nie jest tak stworzona. Jest miękka i uległa, iż może się giąć, nie będąc krzywą".

Nie mogłam zapomnieć słów: „Jesteś jedyną, któraby mogła go rozweselić, a jednak doprowadzisz go do zguby".

XIII.

Suksar, leżący na naszym obszarze, jest jednem z największych ognisk handlu w całym okręgu. Po jednej stronie wody odbywa się codziennie targ, po drugiej stronie urządzają raz w tygodniu wielki jar-

mark. W czasie pory deszczowej, gdy jezioro ma połączenie z rzeką i gdy mogą dopływać okręty, zwożą tam na sprzedaż wielkie ilości zwojów bawełny i zimowych materjałów.

Gdy zapał nasz osiągnął swój szczytowy punkt, oswiadczył Sandip, iż wszystkie zagraniczne artykuły wraz z djabłem cudzoziemczyzny muszą być z naszego obszaru wygnane.

„Rozumie się samo przez się", odparłam, gotowa do walki.

„Mówiłem z tego powodu z Nikhilem", rzekł Sandip. „Powiada mi, iż możemy wygłaszać mowy, ile chcemy, ale przymusu nie zniesie".

„Niech mi Pan to pozostawi," rzekłam w dumnem poczuciu mej mocy. Wiedziałam, jak głęboką była miłość mego męża do mnie. Gdybym była przytomna, dałabym się raczej rozerwać na sztuki, niż w takiej chwili okazać moje prawo do tego. Ale Sandip miał poznać całą potęgę swego bóstwa.

Sandip wytłumaczył mi swym nieopartym sposobem, jaka siła świata objawia się każdemu w postaci szczególnego powinowactwa. „Filozofja czcicieli Wisznu", rzekł, „mówi o śakti radości, mieszkającej w sercu stworzenia i wabiącej zawsze ku sobie serce wiecznej miłości. Ludzie posiadają wiecznotrwałe pożądanie, by wydobyć ową śakti z ukrytych głębi swej własnej natury, a ci z pomiędzy was, którym uda się, zrozumią natychmiast wyraźnie mowę muzyki, idącej ku nam z ciemności. I zaśpiewał:

Mój flet, nabrzmiały pieśniami, zamilkł,
Teraz, gdy stoję naprzeciw ciebie twarzą w twarz,
Mój krzyk szukał cię pod wszystkimi niebiosami,
gdy byłaś ukryta;
Teraz cała ma tęsknota koi się uśmiechem
twoich ócz, ukochana.

Gdy tak słuchałam jego alegoryj, zapomniałam, iż byłam po prostu tylko Bimalą. Czułam się śakti, ucieleśnieniem radości świata. Nic nie mogło mnie powstrzymać, nic nie było dla mnie niemożliwem; czego się tylko dotknęłam, nabierało nowego życia. Świat dokoła mnie był na nowo stworzony; czyż to nie dopiero głos mego serca wylał na jesienne niebo całe swe złoto? I tego bohatera, tego wiernego sługę ojczyzny, tak mi oddanego — tego płomiennego ducha, tę ognistą siłę, tego świetlistego geniusza — i jego również tworzyłam każdej chwili na nowo. Czyż nie widziałam, jak obecność moja wlewa w niego nieustannie nowe życie?

Niedawno prosił mnie Sandip, abym przyjęła Amulję, młodego chłopca i zapalonego jego zwolennika. Ujrzałam, jak natychmiast w oczach chłopca zapłonęło nowe swiatło i wiedziałam, iż również on odczuł we mnie siłę śakti i że zaczęła ona działać w jego krwi. „Jaką Pani jest czarodziejką!" zawołał Sandip następnego dnia. „Amulja przestał nagle być chłopcem, pochodnia jego życia płonie świetliście. Jakże ogień Pani może się kryć pod dachem Pani domu? Wcześniej czy później dotknie was wszystkich, a gdy wszystkie lampy płoną,

co za karnawał Dewali[1] będziemy święcić tu w kraju!"

Oślepiona blaskiem mego własnego nimbu, postanowiłam ofiarować ów dar mojemu wiernemu kapłanowi. Sądziłam w mojem dumnem wyniesieniu, iż nikt nie zdoła przeszkodzić mi w tem, czego chciałam. Wróciwszy do mego pokoju po owej rozmowie z Sandipem, rozpuściłam moje włosy i splotłam je znów wysoko. Miss Gilby pokazała mi, jak się je czesze z tyłu i wiąże w jeden węzeł. Fryzurę ową lubiał szczególnie mój mąż. „Szkoda", rzekł raz, „że opatrzność objawiła cały czar kobiecego karku biednemu, zwyczajnemu człowiekowi jak ja, miast poecie Kalidasie. Poeta porównałby go może z łodygą kwiatu; a ja odczuwam go jak pochodnię, którą unosi czarny płomień twoich włosów". A przytem... Ale dlaczegóż, ach, dlaczegóż muszę o tem wszystkiem myśleć?

Kazałam przywołać mego męża. Przedtem mogłam wymyślać tysiące rozmaitych pozorów, aby go nakłonić do przybycia do mnie. Teraz, gdy wszystko to dawno już przeminęło, nie umiałam już tej sztuki.

[1] Dewali (wł. dipali „Rząd lamp"), nazwa rozmaitych świąt bogów, obchodzonych uroczyście przy nocnych iluminacjach.

VI.

Żona Pantsza umarła właśnie na suchoty. Pantszu musi poddać się uroczystej ceremonji, aby oczyścić się z grzechu i przebłagać gminę. Gmina obliczyła i doniosła mu, że będzie to kosztować 123 rupji[1].

„Co za głupota!" zawołałem z oburzeniem. „Nie zgódź się na to, Pantszu! Cóż ci mogą zrobić?"

Podniósłszy ku mnie swoje cierpliwe oczy, jak śmiertelnie znużone zwierzę, rzekł: „Ach panie, moja najstarsza córka musi przecież wyjść za mąż. A moja biedna żona musi mieć żałobne nabożeństwo.

„Gdybyś nawet był w czemkolwiek winny, Pantszu", tłumaczyłem głośno, „to z pewnością dość za to cierpiałeś".

„To prawda, panie", potwierdził dobrodusznie. „Musiałem sprzedać część mojego gruntu, a resztę zastawić, aby zapłacić rachunek lekarza. Ale nie starczy mi na pogrzebowe opłaty dla bramanów!"

Jaka jest na to rada? „Kiedy przyjdzie czas", pytałem się samego siebie, „gdy bramani sami poczną rozgrzeszać się, ponieważ przyjmowali podobne ofiary?"

[1] Srebrna moneta indyjska.

Biedny Pantszu musiał przez cały czas walczyć z głodem, teraz po śmierci i po pogrzebie żony zarzucił walkę. Szukając w rozpaczy jakiejś pociechy, znalazł ją u stóp pewnego wędrownego ascety i udało mu się dojść w filozofji tak daleko, iż zapomniał o swych głodujących dzieciach. Jakiś czas żył w zupełności tą myślą, że wszystko jest nicością i że ból jest równie mało rzeczywistym, jeśli na ziemi niema żadnych radości. I pewnego dnia opuścił swoje dzieci w zapadłej chacie i poszedł na wędrówkę.

Nie wiedziałem nic o tem, gdyż przechodziłem straszne przesilenie, w którem bogowie i szatani walczyli o moją duszę. Mój nauczyciel nie powiedział mi również nic, że wziął do siebie opuszczone dzieci Pantsza i starał się o nie, jakkolwiek sam był w domu i cały dzień przebywał w szkole.

Po miesiącu Pantszu wrócił; ascetyczny jego zapał ochłódł znacznie. Najstarsze jego dzieci, chłopiec i dziewczyna, przytuliły się do niego, pytając: „Gdzie byłeś przez ten cały czas, ojcze?“ Najmłodszy jego syn siedział na jego kolanach; najmniejsza jego córeczka wdrapała mu się na plecy i objęła go rączkami za szyję i wszyscy razem płakali. „Ach, panie“, wyjąkał wkońcu Pantszu i zwrócił się do nauczyciela. „Nie mogę tym małym dać dość do jedzenia i nie mogę ich również odtrącić od mego serca, odejść i opuścić je. Jakiż grzech popełniłem, iż mam tak skrępowane ręce i nogi i że jestem tak męczony“.

Tymczasem zerwała się nić drobnych stosunków handlowych Pantsza i spostrzegł, że nie zdoła jej z powrotem nawiązać. Uchwycił się kurczowo opieki, której mu użyczył pod swym dachem mój nauczyciel i nie wspominał o pójściu do domu. Mój nauczyciel musiał wkońcu do tego przystąpić. „Słuchaj, Pantszu“, rzekł, „jeśli nie troszczysz się zupełnie o twoją chatę, rozpadnie się zupełnie. Pożyczę ci nieco pieniędzy, abyś mógł znów trochę gospodarować, a potem oddasz mi je zwolna“.

Pantszu nie był z tego bardzo zadowolony — czyż nie istniało bowiem na świecie miłosierdzie? A gdy nauczyciel mój prosił go, aby wystawił mu weksel na pieniądze, czuł, że nie zależy mu wiele na wsparciu, które miał zapłacić. Mój nauczyciel nie chciał jednak zobowiązywać go wewnętrznie względem siebie ową zewnętrzną jałmużną. „Kto burzy godność osobistą człowieka, odbiera mu jego kastę“, sądził.

Gdy Pantszu podpisał weksel, pozdrowienie jego nie było już odtąd tak uniżone i przestał również dotykać się nóg z szacunkiem. Mój nauczyciel śmiał się z tego; nic nie cieszyło go bardziej, jak to, że Pantszu okazywał mniej uległości. „Słuszne jest“, zwykł mówić, że człowiek okazuje drugiemu człowiekowi winny mu szacunek, ale co przekracza to, jest złem“.

Pantszu począł skupować na targu materje i sprzedawać je na wsi. Nie dostawał za to wprawdzie wiele gotówki, ale to co mógł otrzymać za towary w po-

staci ryżu, lnu i innych wiejskich produktów, używał na spłacanie swego długu. Po dwóch miesiącach zdołał spłacić pierwszą ratę i stosownie do tego ujął nieco czołobitności z swego pozdrowienia. Musiał odczuć, że ten, którego czcił jak świętego, jest zwyczajnym człowiekiem, nie pogardzającym nawet ponętami zysku.

Gdy Pantszu trudnił się temi rzeczami, spadł nań nagle potop ruchu swadeśi.

VII.

Był to czas ferji i wielu młodych ludzi z naszej wsi i z okolicy przybyło do domu z szkół i uniwersytetów. Z zapałem przyłączyli się do otoczenia Sandipa, a niektórzy w nadmiernym zapale porzucili swe studja. Wielu z nich było uczniami tutejszej bezpłatnej mojej szkoły, niektórzy otrzymali odemnie stypendja na naukę w Kalkucie. Przyszli do mnie razem i zażądali, abym wyrzucił z mego targu obce towary.

Powiedziałem im, iż nie mogę tego uczynić.

Rzekli sarkastycznie: „Cóż maharadżo, straci Pan na tem zbyt wiele?"

Nie zważałem na ich obraźliwy ton i chciałem właśnie odpowiedzieć, że nie ja stracę, ale biedni handlarze i ich klijenci, gdy wmieszał się w to mój nauczyciel, który był przy tem obecny.

„Tak, straci on, a nie wy, to jest jasne", rzekł.

„Ale dla ojczyzny..."

„Ojczyzną nie jest ziemia, ale ludzie na niej", przerwał im mój nauczyciel. „Czyż zatroszczyliście się choćby na chwilę o ich los? Ale obecnie pragniecie im przepisywać, jaką sól mają jeść i jakie mają nosić ubrania. Dlaczegóż mieliby ugiąć się przed podobną tyranią i dlaczego mielibyśmy pomagać jej?"

„Lecz my sami jemy tylko indyjską sól i indyjski cukier i nosimy indyjskie materje".

„Możecie czynić, co tylko chcecie dla ostudzenia waszego gniewu i zaspokojenia waszego fanatyzmu. Posiadacie środki i nie potrzebujecie pytać się, co to kosztuje. Biedni nie chcą też przeszkadzać wam w tem, ale wy chcecie, aby oni poddali się waszemu przymusowi. W obecnych stosunkach jest dla nich każda chwila rozpaczliwą walką o samą egzystencję; nie możecie nawet sobie wyobrazić, co dla nich znaczy kilka penny — tak mało macie z nimi wspólnego. Spędziliście całe wasze dotychczasowe życie w lepszem i wygodniejszem położeniu, a teraz nagle przychodzicie tu, pragnąc ich uczynić narzędziami swojej złości. Uważam to za tchórzostwo".

Byli to sami starzy uczniowie mego nauczyciela, dlatego nie śmieli zachowywać się bez uszanowania, jakkolwiek drżeli z gniewu. Zwrócili się do mnie: „Czy chce Pan być jedynym, maharadżo, który staje na drodze usiłowaniom ojczyzny?"

„Czy odważyłbym się na coś podobnego? Czyż nie oddałbym chętnie mego życia, aby jej dopomóc?"

Mowca zaśmiał się szyderczo i spytał: „Czy pozwoli Pan zapytać, co pozytywnego czyni Pan, aby pomóc?“

„Zakupiłem indyjską wełnę i sprzedałem ją na moim targu, posłałem również całe zwoje na targi okolicznych zemindarów“.

„Byliśmy jednak na pańskim targu, maharadżo“, zawołał ten sam student, „i przekonaliśmy się, iż nikt tej wełny nie kupuje“.

„Nie jest to moja wina, ani mego targu. Wskazuje to, że cały kraj dochowuje wierności waszemu ślubowaniu“.

„Wskazuje to na coś więcej jeszcze“, wtrącił mój nauczyciel. „Wskazuje, że to, coście ślubowali, służy jedynie do dręczenia drugich. Gdyż inni, którzy nie złożyli ślubowania, powinni najpierw zrobić dla was wszystko, abyście mogli dotrzymać waszego ślubowania. Potrzebujecie handlarzy, by kupowali wełnę, tkaczy, by ją przerabiali i klijentów, którzy jej zapotrzebują. A wasza metoda? Czynicie wrzawę i zemindar zmusza ludzi gwałtem. I jaki jest rezultat tego? Chcecie mieć zaszczyt, a inni niech ponoszą ofiary“.

„Czy wolno nam spytać, jakie Pan ofiary poniósł?“ spytał jakiś przyrodnik.

„Chcecie wiedzieć?“ zawołał mój nauczyciel. „Sam Nikhil musi skupować indyjską wełnę; musiał założyć tkalnię, aby ją prząść i według dotychczasowych jej znakomitych rezultatów należy się spodziewać, że jego wełniane materje, które wychodzą

z tkalni, kosztują prawie tyle, jak gdyby były ze złota; dlatego może znajdą jedynie zastosowanie jako firanki w jego salonie, jakkolwiek nawet do tego celu są zbyt cienkie i przejrzyste. Gdy uprzykrzycie sobie wasze ślubowanie, to wy właśnie najgłośniej śmiać się będziecie z waszego sztucznego działania. A jeśli dobroć waszych tkanin będzie kiedyś prawdziwie uznana, wyjdzie to z pewnością od cudzoziemców“.

Znam mego nauczyciela od mego urodzenia, ale nigdy nie widziałem go tak bardzo wzburzonego. Spostrzegłem, że boleść gromadziła się cicho w jego sercu już oddawna, ponieważ kocha mnie nadewszystko i że jego panowanie nad sobą podkopane było w skrytości już dawno i tylko z trudem poskramiał siebie.

„Jest Pan o wiele starszy od nas“, rzekł jakiś student medycyny. „Nie przystoi nam kłócić się z Panem. Ale proszę nam powiedzieć stanowczo, czy nie decyduje się Pan usunąć obce towary z pańskiego targu?“

„Nie uczynię tego“, rzekłem, „ponieważ nie należą do mnie“.

„Ponieważ mógłby Pan przez to stracić“, zaśmiał się pierwszy mówca.

„Ponieważ ten, kto mógłby stracić, musi również rozstrzygać“, odrzekł mój nauczyciel.

Z okrzykiem *Wande Mataram* opuścili nas.

ROZDZIAŁ SZÓSTY.

OPOWIADANIE NIKHILA.

VIII.

Wkilka dni później nauczyciel mój przyprowadził do mnie Pantsza. Jego zemindar nałożył na niego karę pieniężną w kwocie sto rupji i groził mu, że go wyrzuci z jego zagrody. „Cóż on uczynił?“ spytałem. „Przychwycono go na sprzedaży zagranicznych materji“, brzmiała odpowiedź. Prosił i błagał Harisza Kundu, swego zemindara, aby mu pozwolił sprzedać zakupiony za wypożyczone pieniądze zapas i że nie będzie już nigdy handlował cudzoziemskim towarem; ale zemindar nie chciał o tem słyszeć i upierał się przy tem, aby na miejscu spalić zagraniczną materję, jeśli ma być oddana. zrozpaczony Pantszu wybuchnął hardo: „Nie mogę, nie mam na to środków! Pan jest bogaty, dlaczego Pan nie kupi tego i nie spali?“

Ale miało to ten skutek, iż Harisz Kundu rozgniewał się i zawołał: „Trzeba go nauczyć należytego zachowania się, dać mu porcję kijów!“

W ten sposób, prócz pieniężnej kary, otrzymał eszcze biedny Pantszu porcję kijów.

„Co się stało z materją?“

„Cały zwój spalono“.

„Kto był jeszcze przy tem?“

„Tłum ludzi, krzyczących *Wande Mataram*. Sandip był również. Wziął on szczyptę popiołu i zawołał: Bracia! Jest to pierwszy stos ofiarny, sporządzony przez waszą wieś na obrzęd pogrzebowy zagranicznego handlu. Jest to święty popiół. Posypcie się nim na znak waszego ślubowania swadeśi“.

„Pantszu“, rzekłem, zwróciwszy się do niego, „musisz wnieść skargę“.

„Nikt za mną nie poświadczy“, odparł.

„Nikt nie poświadczy? — Sandipie! Sandipie!“

Na moje wezwanie Sandip wyszedł z swego pokoju.

„Co się stało?“ spytał.

„Czy nie zechcesz poświadczyć, iż temu człowiekowi spalono jego materje?“

Sandip uśmiechnął się. „Naturalnie, że poświadczę“, rzekł. „Ale po przeciwnej stronie“.

„Co rozumiesz przez świadczenie po tej lub po przeciwnej stronie?“ zawołałem. „Czyż nie chcesz złożyć świadectwa prawdzie?“

„Czyż to, co się stało, jest jedyną prawdą?“

„Jakaż jednak może być jeszcze prawda?“

„To, co powinno się stać! Aby zbudować prawdę, potrzebujemy całego szeregu kłamstw. Ci, którzy poszli naprzód na tym świecie, stworzyli prawdę, ale nie poszli za nią ślepo“.

„A więc —?“

„A więc pragnę uczynić to, co podoba się wam nazywać „składaniem fałszywego świadectwa“, a co

czyniii ci, którzy stworzyli państwa, zbudowali nowe porządki rzeczy i założyli religijne organizacje. Ci, co chcą panować, nie lękają się kłamstwa; łańcuchy prawdy są dla tych, którzy poddadzą się ich panowaniu. Czyż nie czytałeś żadnej historji? Czyż nie wiesz, że w ogromnych kotłach, w których warzą się wielkie, polityczne wypadki, głównemi częściami składowemi są kłamstwa?"

„Bezwątpienia, polityka bywa na ogół w ten sposób przyprawiana, ale..."

„Ach, wiem! Ty naturalnie nie chcesz pomagać przy tem warzeniu. Chcesz być raczej jednym z tych, którzy muszą potem przełknąć mieszaninę przemocą. Podzielą Bengalję i powiedzą, że jest to z waszą korzyścią. Ujmą wychowanie w regułę i nazwą to podnoszeniem jego poziomu. Ale wy będziecie siedzieć cicho w waszym kąciku, becząc jak grzeczni chłopcy. Ale my, źli chłopcy, musimy baczyć, czy z kłamstwa nie potrafimy zbudować twierdzy na naszą obronę".

„Bezcelową jest rzeczą sprzeczać się o te sprawy", wmieszał się mój nauczyciel. „Jakże ci, którzy nie czują w sobie prawdy, mogą dojrzeć, że najwyższym celem człowieka jest wydobycie jej z ukrycia, zamiast ustawicznego gromadzenia materjalnych dóbr?"

Sandip uśmiechnął się. „Znakomicie!" rzekł. „Oto mowa, która przystoi nauczycielowi. Mądrość tę znam z książek, ale w rzeczywistym świecie widziałem, że głównem zajęciem ludzi jest gromadzenie materjalnych dóbr. Ci, którzy są mistrzami w tej

sztuce, głoszą w swym interesie największe kłamstwa, wpisują swemi najobszerniejszemi piórami do swych politycznych ksiąg fałszywe rachunki, wypuszczają codziennie w świat naszpikowane kłamstwami gazety, wysyłają kaznodziei, rozsiewających swój kłamliwy posiew, jak muchy zarazki dżumy. Jestem skromnym uczniem tych wielkich ludzi. Gdy należałem do kongresowej partji, nie usiłowałem nigdy rozwadniać dziesięciu procent prawdy dziewięćdziesięcioma procentami kłamstwa. I chociaż dziś nie należę już do tej partji, nie zapomniałem jednak przez to o zasadniczym fakcie, że celem człowieka nie jest prawda, ale powodzenie".

„Prawdziwe powodzenie", poprawił mój nauczyciel.

„Niechaj będzie", odparł Sandip, „ale owoc prawdziwego powodzenia dojrzewa jeno na dobrze zoranem polu kłamstwa. Prawda jednak wyrasta sama, jak ziele lub ciernie i tylko robaki mogą od niej oczekiwać owoców". Powiedziawszy to, wyszedł spiesznie z pokoju.

Mój nauczyciel uśmiechnął się, spojrzawszy na mnie. „Wiesz, Nikhilu", rzekł, „sądzę, że Sandip nie jest bez religji, ale religja jego znajduje się po odwrotnej stronie prawdy, podobnie, jak ciemny nów księżycowy posiada również swoje światło, chociaż nawet z odwrotnej strony".

„Dlatego właśnie", potwierdziłem, „zawsze odczuwałem do niego pociąg, jakkolwiek nie mogliśmy się zgodzić. Nawet teraz nie mogę się na

niego gniewać, chociaż obraził mnie głęboko i uczyni może jeszcze więcej".

„Zrozumiałem to", rzekł mój nauczyciel. „Długo dziwiłem się, iż ciągle jeszcze masz do niego cierpliwość; tak, czasem byłem skłonny poczytywać ci to za słabość. Teraz widzę, że wy obydwaj, jeśli nawet nie zgadzacie się, macie w sobie ten sam rytm".

„Zgody nie potrzebuję, gdy los mój zdaje się przemieniać w „Utracony raj", zauważyłem, przybierając jego sposób mówienia.

„Ale co się stanie z Pantszem", spytał mój nauczyciel.

„Powiada Pan, że Harisz Kundu chce go wygnać z jego gospodarstwa. Cóżby się stało, gdybym kupił jego gospodarstwo i wydzierżawił go następnie Pantszowi?

„A jego kara pieniężna?"

„Jakżeż może ją zemindar ściągnąć, jeśli będzie dzierżawcą?"

„A spalona materja?"

„Dostarczę mu innej. Chciałbym widzieć, by ktoś ośmielił się zabronić memu dzierżawcy prowadzenia handlu, jak mu się podoba?"

„Obawiam się, Panie", wtrącił ze zwątpieniem Pantszu, „że jak długo wy bogaci będziecie z sobą walczyć, sępy policji i prawa zgromadzą się z zadowoleniem koło was i tłum będzie miał zabawę, ale gdy trzeba będzie zabijać, wówczas biedny Pantszu zostanie sam".

„Jakto? Cóż może się tobie stać?"

„Spalą mi mój dom, z dziećmi i ze wszystkiem".

„A więc o twoje dzieci będę się troszczył" rzekł mój nauczyciel. „Możesz prowadzić handel, czem chcesz. Nie mogą mieć do ciebie żadnego prawa".

Jeszcze tego samego dnia kupiłem gospodarstwo Pantsza i objąłem w moje posiadanie podług wszelkiej formy. Natychmiast jednak okazała się nowa przeszkoda.

Pantszu objął dzierżawę jako jedyny spadkobierca po swoim dziadku. Każdy wiedział o tem. Lecz obecnie pojawiła się skądyś jakaś ciotka, z kuframi i węzełkami, z różańcem i owdowiałą siostrzenicą. Usadowiła się na dobre w domu Pantsza i zgłosiła pretensję do dożywotniej renty.

Pantszu był jakby rażony gromem. „Moja ciotka umarła już dawno", wzbraniał się.

Opowiedziano mu, że myśli o pierwszej żonie swego wuja, ale ów wuj ożenił się wkrótce poraz drugi.

„Ale mój wuj umarł przed moją ciotką", zawołał Pantszu, który coraz mniej rozumiał całą sprawę. „Jakże więc miał czas ożenić się poraz drugi?"

Była to prawda. Ale Pantszu nie zastanowił się, że nikt nie twierdził, jakoby drugie małżeństwo zostało zawarte dopiero po śmierci pierwszej żony; ale wuj jego wziął sobie drugą żonę jeszcze za życia pierwszej. Ponieważ jednak nie uśmiechała się jej myśl współżycia z drugą żoną, pozostała aż do śmierci swego męża w domu swego ojca, będąc skromną

i wycofawszy się do świętego Brindabanu, skąd obecnie przyszła. Fakty te mogły być znane zarówno urzędnikom Harisza Kundu, jak niektórym jego dzierżawcom. I gdyby zemindar jedynie dość energicznie zażądał, znaleźliby się świadkowie, którzy uczestniczyli w weselnej uroczystości.

IX.

Pewnego popołudnia, gdy byłem właśnie bardzo zajęty, przyszło wezwanie do mego gabinetu, że Bimala wzywa mnie do siebie. Byłem zaskoczony.

„Jak powiedziałeś, kto mnie wzywa?" spytałem posłańca.

„Maharani".

„Bara Rani?"

„Nie, Panie, Tszota Rani".

Tszota Rani! Wydawało mi się, że już od wieków nie kazała mnie wzywać do siebie. Opuściłem wszystkich i poszedłem do środkowych pokojów. Gdy przekroczyłem nasz pokój, czekała mnie nowa niespodzianka, gdyż ujrzawszy Bimalę, zauważyłem, że wystroiła się dla mnie. Pokój, który wskutek nieustannego zaniedbania w ostatnim czasie miał wygląd nieco nieprzytomny, tego popołudnia wrócił znów trochę do dawnego ładu. Stałem w milczeniu i patrzyłem na Bimalę pytająco.

Zarumieniła się lekko, a palce jej prawej ręki bawiły się przez jakiś czas branzoletami na jej lewem ramieniu. Potem nagle przerwała milczenie.

„Powiedz mi, czy to prawda, że targ nasz jest w całej Bengalji jedynym, który dopuszcza zagraniczne towary?"

„Cóż zatem należy czynić?" spytałem.

„Usuń je!"

„Ależ towary nie należą do mnie".

„Czyż targ nie należy do ciebie?"

„Należy raczej do tych, którzy go używają do handlu".

„Zatem każ im sprzedawać indyjskie towary!"

„Niczego nie pragnąłbym bardziej. Ale jeśli tego nie uczynią?"

„Niedorzeczność! Jakże mogą być tak bezwstydni? Czyż nie jesteś..."

„Mam dzisiaj po południu dużo do roboty i nie mogę wdawać się w wywody. Ale nie chcę nikogo tyranizować".

„Nie czynisz tego w własnym interesie, ale dla ojczyzny".

„Tyranja dla ojczyzny jest tyranją przeciw ojczyźnie. Obawiam się jednak, że jest to coś, czego nie zrozumiesz nigdy". I powiedziawszy to, wyszedłem.

Nagle świat rozjaśnił mi się nową jasnością. Zdawało mi się, iż czuję w mojej krwi, że świat stracił ciężar swej cielesności i że codzienne jego zadanie utrzymywania na sobie życia, nie jest już dla niego dążeniem, ale że krąży przez przestrzenie w cudownym biegu i odmawia różańce swych dni i nocy. Co za bezkresna praca i jaka przytem nie-

pożyta siła! Nikt go nie wstrzyma, o nie, nikt nie zdoła go kiedyś zatrzymać! Z głębin mojej duszy wytrysła radość, jak promień wody, jakby chciała uderzyć w niebo.

Myślałem potem często o tem, co to być mogło, co tak poruszyło moje uczucie. Początkowo nie znajdowałem wytłumaczenia. A potem zrozumiałem, że więzy, o które w mem wnętrzu dzień i noc raniłem się do krwi, były zerwane. Ku mojemu zdziwieniu zauważyłem, że ponura zasłona, zaciemniająca mego ducha, znikła. Mogłem wyraźnie widzieć wszystko, co się odnosiło do Bimali, jak na fotograficznej płycie. Jasnem było, że przystroiła się, aby przymilaniem się wydobyć odemnie rozkaz. Dotąd uważałem strój Bimali jako coś od niej różnego. Ale w owym dniu wydał mi się sposób, w jaki uczesała się podług angielskiej mody, jedynie czysto zewnętrznym strojem. To, co pierwej kryło w sobie tajemnicę jej osoby i miało dla mnie nieocenioną wartość, poczynało teraz odpadać.

Gdy wyszedłem z sypialni, z owej zdruzgotanej klatki, na złote słoneczne światło, wzrok mój padł na oba rzędy bauhinji obok żwirem posypanej drogi przed moją werandą, które zdawały się zalewać niebo swą delikatną czerwienią. Stadko szpaków gawędziło i hałasowało dowoli pod drzewami. W tyle, na łące, stał pusty wóz, przewrócony nosem do ziemi, a ogonem wysoko w górze — jeden z wyprzężonych wołów pasł się na pastwisku, drugi położył się i rozkosznie przymknął oczy, podczas

gdy wrona siedząca na jego grzbiecie iskała zeń owady.

Zdawało mi się, jakobym zbliżył się do pulsu wielkiej ziemi, widząc ją w takiej prostocie codziennego życia; czułem jej gorący oddech w zapachu kwiatów bauhinji, a pochwalny śpiew o niepowiedzianej dźwięczności zdawał się unosić z tego świata, na którym wszystkie istoty cieszą się wolnością, w której i ja uczestniczę.

My ludzie jesteśmy błędnymi rycerzami w pogoni za wolnością, do której wzywają nas nasze ideały. Ona, która szyje nam sztandar, pod którym wyruszamy, jest dla nas prawdziwą kobietą. Tej, która usiłuje usidlić nas w domu w swej czarodziejskiej sieci, musimy zerwać maskę i uznać ją za to, czem jest. Musimy się strzec, abyśmy nie stroili jej w powaby naszych własnych marzeń i tęsknot i w ten sposób nie dali się odsunąć od naszego prawdziwego celu.

Dziś wiem, że zwyciężę. Doszedłem do bram prostoty, teraz widzę rzeczy takimi, jakimi są. Zyskałem sam moją wolność, pozostawię wolność innym. W mojej pracy znajdę moje wybawienie.

Wiem, że od czasu do czasu zaboli mnie serce, ale teraz, gdy rozumiem ból jego w całej jego prawdzie, mogę na niego nie zważać. Teraz, skoro wiem, że mnie jedynie dotyczy, cóż może on jeszcze znaczyć? Cierpienie, należące do całej ludzkości, będzie moją koroną.

Ratuj mnie prawdo! Nie pozwól mi znów dążyć do fałszywego raju złudzenia! Jeśli sam muszę wędrować, pozwól mi przynajmniej kroczyć twoją drogą! Pozwól, by warkot twego bębna prowadził mnie do zwycięstwa!

VII.

Bimala kazała mnie owego dnia przywołać; początkowo jednak nie mogła wyrzec ani słowa i dłuższy czas walczyła ze łzami. Spostrzegłem zaraz, iż nie miała u Nikhila powodzenia. Była ta'k pełna dumnej ufności, że przeprowadzi swą wolę — lecz ja nie mogłem podzielać tej nadziei. Kobieta zna doskonale mężczyznę z jego słabej strony, ale nie potrafi zupełnie zgłębić jego siły. Mężczyzna jest dla kobiety tak samo tajemnicą, jak kobieta dla mężczyzny. Gdyby tak nie było, wówczas różnorodność płci byłaby zbytecznem i daremnem trwonieniem sił przyrody.

Ach, cóż znaczy duma! Nię bolało ją to, iż pilna sprawa nie doszła do skutku, ale ponieważ odrzucono jej prośbę, która kosztowała ją tyle wewnętrznej walki. Ileż bogactwa barwy i ruchu, sugestji i złudzenia otacza owo „ja“ i „moje“ u kobiety! W tem właśnie leży jej piękno — jest ona bardziej osobistą niż mężczyzna. Gdy stwórca uczynił człowieka, był nauczycielem i miał torbę, pełną nakazów i prawideł; ale gdy przystąpił do kobiety, odrzucił swą godność nauczyciela i stał się artystą, pracującym tylko pęzlem i paletą.

Gdy Bimala stała tak w milczeniu w swej urażonej dumie, z płonącemi wargami i oczyma pełnemi łez, jak grożąca na widnokręgu chmura, naładowana deszczem i uzbrojona w piorun, wyglądała tak nieprzeparcie miło, iż nie mogłem powstrzymać się, by nie przystąpić do niej i nie ująć jej za rękę. Ręka jej zadrżała, lecz Bimala nie cofnęła jej. „Bima, rzekłem, „jesteśmy towarzyszami, którzy mają jeden cel. Usiądźmy więc i pomówmy o sprawie".

Bez oporu przyprowadziłem ją do krzesła. Lecz, szczególna rzecz! Właśnie w tej chwili dzika moja namiętność doznała niewyjaśnionej przeszkody — jak potężny nurt Padmy, co rwąc w niepowstrzymanym biegu, natrafi nagle na jakąś małą zaporę pod powierzchnią, odchyli się od brzegu i rozbije. Gdy ściskałem rękę Bimali, wszystkie moje nerwy dźwięczały jak struny harfy: ale nagle symfonja ucichła.

Cóż to mnie powstrzymywało! Żadna określona rzecz; był to zamęt różnych rzeczy — nic dokładnie uchwytnego, lecz jedynie owo niewyjaśnione uczucie przeszkody. Tyle tylko zrozumiałem, iż nie mogę przysiądz, czem w rzeczywistości jestem. Właśnie dlatego, iż sam dla siebie jestem zagadką, czuję pociąg do siebie samego. Jeśli doszedłbym do całkowitego poznania tego mojego ja, odrzuciłbym go od siebie — i osiągnąłbym szczęśliwość!

Gdy Bimala usiadła, była śmiertelnie blada. I ona również musiała czuć, jakiemu uszła niebezpieczeństwu. Kometa minął ją już, ale dotknięcie palącego jego ogona przytłoczyło ją. Chcąc jej dopomódz do

opanowania się, rzekłem: „Musimy być przygotowani na przeszkody, będziemy jednak walczyć dzielnie dalej i nie damy się zniechęcić. Nieprawdaż, królowo?"

Bimala usiłowała coś powiedzieć, wyszeptała jednak tylko ciche „tak".

„Pozwólcie nam wygotować nasz plan wojenny!" mówiłem dalej i wyjąłem z kieszeni ołówek i papier.

Począłem zestawiać listę współpracowników z Kalkuty i wyznaczać każdemu jego zadanie. Bimala przerwała mi, zanim byłem gotów i rzekła ospale: „Niech Pan da temu pokój; przyjdę jeszcze raz dziś wieczorem", a potem wyszła z pokoju. Nie mogła chwilowo zastanawiać się nad żadną sprawą. Musiała przez czas jakiś zostać sam na sam z sobą — może położyć się do łóżka i wypłakać się należycie!

Gdy odeszła, namiętność moja rozgorzała silniej, jak chmura, która zaciemnia się, gdy słońce zajdzie. Czułem, że pozwoliłem wymknąć się największej chwili.

Jakimż nędznym tchórzem okazałem się! Z pewnością poszła odemnie z czystego wstrętu do mojego wahania się — i miała słuszność!

W czasie gdy te myśli przenikały mnie boleśnie, wszedł służący i zameldował Amulję, jednego z naszych młodzieńców. Najchętniej oddaliłbym go, lecz zanim zdołałem zdecydować się, ów wszedł. Zaczęliśmy potem mówić o wiadomościach, które otrzymywaliśmy z rozmaitych okręgów i o ich walkach o zagraniczne towary i wkrótce powietrze było oczy-

szczone z oszałamiających wyziewów. Zdawało mi się, jakobym obudził się z snu. Skoczyłem zupełnie gotów do walki, — *Wande Mataram!*

Były rozmaite nowiny. Większość handlarzy, którzy byli dzierżawcami Harisza Kundu, przeszła do nas. Wielu z poddanych Nikhila było również skrycie po naszej stronie i działało w naszym interesie. Kupcy z Marwari ofiarowali się, że zapłacą pieniężną daninę, gdy tylko usuną swoje tymczasowe zapasy. Tylko niektórzy mahometańscy kupcy byli jeszcze uparci.

Jeden z nich kupił kilkanaście niemieckich szalików dla swojej rodziny. Odebrano mu je w drodze i spalono w naszej wsi. Było to powodem przykrości. Chcieliśmy kupić mu za to indyjskie materje. Ale gdzie można było dostać tanie indyjskie wełnianki? Nie mogliśmy przecież zastąpić jego chustki kaszmirowemi szalami! Poszedł i uskarżył się przed Nikhilem, który poradził mu, by wniósł skargę do sądu. Naturalnie ludzie Nikhila postarali się, by nic przytem nie ujawniło się, gdyż sam jego sędzia był po naszej stronie.

Sprawa przedstawia się następująco: jeśli za każdym razem spalone zagraniczne materje zastępujemy indyjskiemi materjami i prócz tego musimy wygrać proces — skąd mamy wziąść pieniądze? Najlepszem w tem wszystkiem jest to, że niszczenie zagranicznych towarów wzmaga jeszcze zapotrzebowanie i w ten sposób przynosi cudzoziemcom korzyść. Udaje się im tak, jak szczęśliwemu handlarzowi,

któremu nabob potłukł kryształowe świeczniki, ponieważ dźwięk tłuczonego szkła sprawiał mu przyjemność.

Drugą sprawą jest pytanie, czy zdołamy tak energicznie przeprowadzić bojkot zagranicznych flaneli i merinosów, czy też powinniśmy zrobić dla nich wyjątek, jeśli niema innych tanich pstrych indyjskich materji wełnianych.

„Wiesz", rzekłem wkońcu odnośnie do pierwszego punktu, „nie będziemy w żadnym wypadku ofiarowywać nadal indyjskich materji tym, którym zakwestjonowano zagraniczne materje. Kara niech spotka ich, a nie nas. Jeśli nas zaskarżą, odpłacimy im w ten sposób, że spalimy im stodoły! — Cóż cię tak przeraża, Amuljo? Nie nęci mnie bynajmniej widok wspaniałego ognia. Musisz zważyć, że jesteśmy w stanie wojennym. Jeśli się lękasz zadawać ból, idź i szukaj miłosnych rozkoszy; a wtedy nie potrzeba nam już ciebie do spełnienia naszego zadania!"

Drugie pytanie rozstrzygnąłem w ten sposób, iż zagraniczne towary winny być w każdym razie zakazane i że nie powinniśmy się wdawać w żadne ustępstwa. W dawnych, dobrych czasach, gdy nie znano jeszcze u nas tych pstro ubarwianych zagranicznych szalów, zadawalniali się nasi ludzie bardzo dobrze swemi prostemi, wełnianemi chustkami i tego muszą się znów nauczyć. Nie wyglądają one może tak okazale; ale teraz nie czas myśleć o wyglądzie.

Większość żeglarzy zgodziła się, by nie prze-

wozić zagranicznych towarów, ale główny przewoźnik, Mirdżan, opierał się jeszcze.

„Czy nie moglibyście po prostu zatopić jego łódź?" spytałem naszego tutejszego zawiadowcę.

„Nic łatwiejszego", odparł. „Ale jak, jeśli pociągną mnie potem za to do odpowiedzialności?"

„Któż się będzie brał do sprawy tak naiwnie, aby można było pociągać was do odpowiedzialności? Ale jeśli do tego dojdzie, wezmę to już na siebie".

Łódź Mirdżana stała przywiązana na miejscu wyładowania, po przeniesieniu ładunku na plac targowy. Nikogo tam nie było, gdyż kierownik handlowy urządził zabawę, na którą wszyscy byli zaproszeni. Gdy się zciemniło, napełniono łódź żwirem i przedziurawiwszy dno, puszczono ją na wodę. Zatonęła na środku wody.

Mirdżan zrozumiał wszystko. Przyszedł do mnie z płaczem i prosił o łaskę. „Nie miałem słuszności, Panie —" zaczął.

„Jakże to się stało, iż nagle pojmujesz to teraz?", spytałem szyderczo.

Nie odpowiedział wprost. „Łódź wartała 2000 rupji", rzekł. „Przyznaję się teraz do winy i jeśli mi Pan tym razem wybaczy, to nigdy już..." i rzucił się do mych nóg.

Kazałem mu przyjść za dziesięć dni. Gdybyśmy mogli tylko wypłacić mu owe 2000 rupji, byłby całą duszą nasz. Jest on właśnie człowiekiem, który mógłby naszej sprawie wyświadczyć ogromne usługi, gdybyśmy go pozyskali dla siebie. Nie pójdziemy nigdy

należycie naprzód, jeśli nie będziemy mieć w rękach potrzebnych środków.

Gdy wieczorem Bimala weszła do pokoju, podszedłem do niej: „Królowo! Wszystko gotowe, powodzenie czeka, ale musimy mieć pieniądze".

„Pieniądze! Ile?"

„Nie tak wiele, ale w ten czy ów sposób musimy je mieć".

„Ale ile?"

„Chwilowo wystarczy tylko 50.000 rupji".

„Bimala przeraziła się, usłyszawszy liczbę, ale starała się nie okazać tego. Jakże mogła dać się znowu pobić?

„Królowo!" rzekłem, „tylko Pani możesz rzecz niemożliwą uczynić możliwą. W istocie już to zrobiłaś. Och, gdybym mógł ukazać Pani całą wielkość jej czynu, wówczas dopiero wiedziałabyś. Ale obecnie chodzi o co innego. Teraz potrzebujemy pieniędzy".

„Dostaniecie", rzekła.

Zobaczyłem, iż zamyślała sprzedać swoje klejnoty. Rzekłem więc: „Klejnoty Pani muszą być naszą rezerwą. Nie wiadomo nigdy, kiedy będziemy ich potrzebować". I gdy Bimala wpatrywała się we mnie w głuchem zakłopotaniu, mówiłem dalej: „Pieniądze te muszą przypłynąć z kasy Pani męża".

Bimala była jeszcze bardziej zmieszana. Po dłuższem milczeniu spytała: „Ale w jaki sposób wydostanę jego pieniądze?"

„Czyż jego pieniądze nie należą również do Pani?"

„Ach, nie!“ rzekła, urażona znów w swej dumie.

„Więc“, zawołałem, „nie należą również do niego, lecz do ojczyzny, której zabrał w czasie biedy!“

„Ale w jaki sposób wydostanę je“, powtórzyła.

„Wydostanie je Pani i musi je Pani wydostać. Jak sobie Pani z tem pocznie, wie Pani sama najlepiej. Musi ich Pani dostarczyć dla bogini, której prawnie należą się. *Wande Mataram!* Jest to zaklęcie, które otworzy drzwi jego żelaznej kasy, przełamie sciany jego stalowej komory i zawstydzi serca tych, którzy nie idą za jego wezwaniem. Niech Pani powie *Wande Mataram*, królowo pszczół!“

Wande Mataram!

ROZDZIAŁ SIÓDMY.

OPOWIADANIE SANDIPA.

VIII.

Jesteśmy mężczyznami, jesteśmy królami, a haracz nasz musi być naszym. Od kiedy jesteśmy na ziemi, plądrowaliśmy ją; im więcej żądaliśmy, tem więcej ona nam użyczała. Od prawieków, my, mężczyźni zrywaliśmy owoce, ścinaliśmy drzewa, przekopywaliśmy ziemię, zabijaliśmy ssące zwierzęta, ptaki i ryby. Z morskiego dna, z wnętrza ziemi, nawet z paszczy śmierci wydzieraliśmy wszystko, cośmy mogli wydrzeć; nie zważaliśmy na żaden zamek w naturze i żadnego nie pozostawiliśmy nietkniętym.

Jedyną rozkoszą na ziemi jest zaspokojenie pożądania tych, którzy są mężczyznami. Nieskończone ofiary, które im złożyła, uczyniły ich płodnymi, pięknymi i doskonałymi. Bez tej ofiary zdziczałaby, nie znała siebie samej, drzwi jej serca nie otworzyłyby się nigdy, jej djamenty i perły nie ujrzałyby nigdy światła.

I oto również mężczyźni odkryli wszystkie ukryte możliwości kobiet przez to jedynie, iż nieustannie żądali. W tym stopniu, w jakim oddawały się nam, osiągały zawsze swoją prawdziwą wielkość. Ponieważ

musiały złożyć wszystkie djamenty swego szczęścia i wszystkie perły swego cierpienia w naszym królewskim skarbcu, znalazły swoje prawdziwe bogactwo. Tak więc dla mężczyzn „brać" oznacza w istocie „dawać", a dla kobiet „dawać" znaczy w istocie „zyskiwać".

Żądałem od Bimali rzeczywiście bardzo wiele! Początkowo zastanawiałem się, gdyż jest to już właściwością ludzkiego ducha, iż jest z sobą samym w bezcelowej sprzeczce. Obawiałem się, że powierzyłem jej zbyt ciężkie zadanie. Pierwszą moją myślą było, aby ją przywołać z powrotem i powiedzieć jej, że wolałbym raczej nie psuć jej życia, wciągając ją w te wszystkie kłopoty. Zapomniałem w owej chwili, że mężczyzna nie powinien oszczędzać kobiety, jeśli chce byt jej uczynić płodnym, że powinnością jego jest, zamącić spokój i bierność jej natury i przez to, że rozkopuje w niej niezmierzoną przepaść cierpienia, przynieść całemu światu błogosławieństwo. Dlatego ręka mężczyzny jest tak silna, a chwyt jego tak twardy.

Bimala tęskniła całem sercem, abym ja, Sandip, żądał od niej wielkiej ofiary i posłał ją na śmierć. Jakież zresztą inne czekało ją szczęście? Czyż przez tyle pustych lat nie czekała na sposobność, by wypłakać się na śmierć — tak dalece była znudzona monotonnością spokojnego swego szczęścia! I dlatego, gdy mnie ujrzała, widnokrąg jej serca zaciągnął się chmurami, które groziły jej życiu trwogą. Jeśli lituję się nad nią i staram się ochronić ją

przed jej cierpieniem, pocóż przyszedłem na świat jako mężczyzna?

Prawdziwą przyczyną mego zastanowienia się jest to, że w mojej prośbie chodzi o pieniądze. Wygląda to na żebraninę, gdyż pieniądze są rzeczą mężczyzny, a nie kobiety. Dlatego musiałem podać tak wysoką sumę. Jeden do dwu tysięcy wyglądałyby na małostkową kradzież. Pięćdziesiąt tysięcy posiada w sobie całą wielkość i romantyzm śmiałego rabunku.

Ach, powinienem w istocie być bogatym! Tyle moich pragnień musiało utknąć na swej drodze do celu jedynie dlatego, ponieważ brakowało mi pieniędzy. To mi nie przystoi! Gdyby los był jedynie niesprawiedliwym, mógłbym to wybaczyć — ale podobny brak smaku jest nie do wybaczenia. Jest to nietylko surowe, iż taki człowiek jak ja, nie wie, jak ma począć, by zapłacić swój czynsz, lub musi starannie ciułać grosze na bilet jazdy drugiej klasy — jest to wprost plebejskie!

Jasnem jest również, że ojcowskie dziedzictwo Nikhila jest dla niego nadmiarem. Odpowiadałoby jemu całkiem dobrze ubóstwo. Razem z swym drogim nauczycielem zaprzągnąłby się z przyjemnością w jarzmo potrzebującego stanu średniego.

Sprawiłoby mi to rozkosz, gdybym choć jedyny raz mógł roztrwonić pięćdziesiąt tysięcy rupji w służbie mej ojczyzny i całkowicie podług mej woli. Jestem urodzonym nabobem i pięknym moim marzeniem jest zerwać raz, choćby na chwilę,

maskę ubóstwa i ujrzeć siebie w swej prawdziwej postaci.

Mam jednak poważne wątpliwości, czy Bimala dojdzie kiedyś do tych 50,000 rupji, a prawdopodobnie będzie ich wkońcu zaledwie parę tysięcy. Niechaj tak będzie. Mądry bierze chętnie pół chleba lub nawet kawałek, zamiast niczego.

Muszę później wrócić do tych osobistych rozważań. Dowiaduję się, że potrzebują mnie natychmiast. Coś się pokrzyżowało.

Zdaje się, że policja zwąchała owego człowieka, który zatopił dla mnie łódź Mirdżana. Są na jego tropie, ale jest on zbyt starym grzesznikiem i zbyt szczwanym, aby dać się schwytać. Jednak nie można nigdy wiedzieć. Nikhil jest rozgniewany, a jego zawiadowca nie jest może zdolny do działania podług własnego rozumu.

„Jeśli się narażę na przykrości", rzekł zawiadowca, gdy mnie ujrzał, „będę musiał wciągnąć Pana".

„Jaką wędką chce mnie Pan złapać?" spytałem.

„Posiadam od Pana list i kilka listów od Amulji Babu".

Nie przeczuwałem, że list z określeniem „pilny", na który musiałem natychmiast odpowiedzieć, był właśnie pilnym jedynie w owym celu. Uczę się zwolna bardzo wielu rzeczy.

Teraz trzeba przekupić policję i zapłacić Mirdżanowi odczepne. A przytem niema najmniejszej wątpliwości, że wiele z owych kosztów tego patrjotycznego przedsięwzięcia powędruje jako zysk do kieszeni zarządcy Nikhila. Chwilowo jednak muszę przymknąć oczy, czyż bowiem nie wykrzykuje on swoje *Wande Mataram* równie głośno jak ja?

Owa praca musi być zawsze wykonywana dziurawemi naczyniami, które gubią połowę. My wszyscy zachowaliśmy w sobie tajemniczy zasób moralnego sądu i chciałem już gniewać się na zarządcę i w moim pamiętniku wypisać tyradę przeciw niestałości naszych rodaków. Ale jeśli jest Bóg, muszę mu podziękować, iż dał mi bystry umysł, przenikający siebie samego i dookolne rzeczy. Potrafię zwodzić innych, ale nie siebie samego. Dlatego też gniew mój nie mógł trwać.

To, co jest prawdziwe, nie jest złe, ani dobre, tylko po prostu prawdziwe. Jezioro jest jedynie pozostałą wodą, której nie wciągnęła ziemia. Na dnie kultu Wande Mataram, jak wogóle na dnie wszystkich światowych spraw, jest pokład mułu, z którego niepokonaną siłą należy się liczyć. Zarządca bierze, co potrzebuje, podobnie jak ja biorę, co potrzebuję. Pomniejsze żądania stanowią część tego, czego wymaga wielka sprawa — koń musi być nakarmiony a koła muszą być naoliwione, jeśli się pragnie należycie jechać naprzód.

Najgłówniejszą rzeczą w tej sprawie jest to, że musimy mieć pieniądze i to zaraz. Musimy je wziąść stamtąd, skąd je najłatwiej otrzymać można, gdyż nie możemy pozwolić sobie na czekanie. Wiem, że przez to możemy stracić większy zysk; że owe

dzisiejsze 5.000 rupji zabiją może w zarodku jutrzejsze 50.000. Ale mimo to muszę się na to odważyć. Czyż nie mówiłem nieraz łechcąco do Nikhila, że ci, co wędrują po ścieżkach rezygnacji, nie wiedzą o tem zupełnie, co oznacza ofiara. Oto my pożądliwi ludzie musimy ofiarować na każdym kroku nasze pożądania!

Z pomiędzy śmiertelnych grzechów pożądanie jest dla tych, którzy rzeczywiście są mężczyznami, ale złudzenie, które jest jedynie dla słabych, wstrzymuje go. Ono bowiem sprawia, że ogarnięci są w zupełności przeszłością i przyszłością, lecz posiada przytem djabelski sposób gmatwania ich kroków w teraźniejszości. Ci, którzy z naprężeniem słuchają jego wezwania z oddali i nie słyszą przez to wezwania chwili, są jak Sakuntala [1], która zatraciła się w marzeniach o ukochanym. Gość przychodzi niespodziewanie i rzuca przekleństwo, które pozbawia ich tego właśnie, za czem tęsknili.

Niedawno uścisnąłem dłoń Bimali, a owo dotknięcie przenika jeszcze jej duszę, podobnie jak drży również we mnie. Powtórzenie nie może owego uczucia przytępić, gdyż spadłoby wówczas do czegoś świadomego, gdy obecnie jest zupełnie uczuciem

[1] Sakuntala, którą król, jej kochanek, obiecał wziąść z sobą i powrócił do swego królestwa, była tak zatopiona w rozmyślaniach o nim, iż nie słyszała wezwania eremity, który przybył do niej jako gość. Eremita rzucił na nią przekleństwo, by przedmiot jej miłości zapomniał o niej całkowicie.

i muzyką. Chwilowo nie ma w niej miejsca na pytanie „Dlaczego?“

Dlatego też nie wolno mi pozbawiać w tem pełnego udziału Bimali, która jest jedną z istot, nie mogących się obejść bez złudzenia.

Co do mnie, mam tyle innego do czynienia, iż w danej chwili muszę się zadowolić jedynie łykaniem z puharu cierpienia. O człowieku pożądania! Powściągnij twoją żądzę i ćwicz swoje palce na harfie złudzenia, aż wydobędą z jej strun wszystkie uwodzicielskie dźwięki! Nie czas jeszcze teraz po temu, by wychylić puhar do dna.

IX.

Praca nasza postępuje szybko. Jakkolwiek jednak wykrzyczeliśmy się aż do zmęczenia, ogłaszając Mahometan naszymi braćmi, musieliśmy wkońcu uznać, iż nie uda się nam nigdy przeciągnąć ich na naszą stronę. Dlatego musimy ich obecnie zupełnie zgnieść i pokazać im, że my jesteśmy panami. Teraz pokazują zęby, ale pewnego dnia będą tańczyć na naszą nutę, jak tresowane niedźwiedzie.

„Jeżeli myślicie poważnie o zjednoczonych Indjach“, zauważył Nikhil, „musicie uznać Mahometan za ich niezbędną część“.

„Słusznie“, rzekłem, „lecz powinniśmy wiedzieć, gdzie jest ich miejsce i starać się, aby tam pozostali, inaczej będą nam nieustannie ciążyć“.

„Chcecie więc tworzyć trudności, aby je usuwać?“

„A co ty chciałeś uczynić?"

„Jest tylko jeden znany środek, aby uniknąć sporu", rzekł z naciskiem Nikhil.

Wiem, że mowy Nikhila, jak opowiadania dobrych ludzi, kończą się zawsze jednym morałem. Dziwnem jest to, iż mimo swego obznajomienia z moralnemi przepisami, wierzy w nie zawsze! Jest on niepoprawnym uczniakiem! Jedyne co w nim jest dobrego, to jego szczerość. Najgorszem jest to, że tacy, jak on, nie uznają nawet ostateczności śmierci, lecz zwracają ciągle wzrok w zaświaty.

Długo nosiłem się z planem, który zapaliłby cały kraj, gdybym go mógł wykonać. Nie poruszymy nigdy naszych rodaków do prawdziwego patrjotyzmu, jeśli nie możemy im w jakiś sposób uzmysłowić macierzystego kraju. Musimy z niego uczynić boginię. Moi towarzysze zrozumieli rzecz natychmiast. „Musimy wynaleść stosowne bożyszcze", zawołali. „Wynalezienie nie pomoże nic", pouczyłem ich. „Musimy przywłaszczyć sobie jedno z uznanych bożyszczy, do którego płynie szacunek ludu głęboko wygrzebanemi kanałami przyzwyczajenia i uczynić go przedstawicielem kraju".

Ale Nikhil musi naturalnie zastrzegać się również przeciw temu. „Nie możemy uciekać się do oszukaństwa przy sprawie, którą uważamy za słuszną", rzekł do mnie niedawno.

„Mniejsze duchy potrzebują złudzeń", rzekłem, „a większość ludzi należy przeważnie do tej klasy. Dlatego w każdym kraju wznosi się bóstwa, aby

utrzymać w narodzie złudzenia, gdyż ludzie są zbyt świadomi swojej słabości".

„Nie", odparł. „Bóg jest potrzebny, aby usunąć złudzenia. Bóstwa, które wznoszą, są fałszywymi bogami".

„Cóż to znaczy? Jeśli potrzeba, musimy przywoływać również fałszywych bogów, niżby sprawa miała ucierpieć. Nasze złudzenia są jeszcze dość żywotne, ale, na nasze nieszczęście, nie umiemy wykorzystać ich dla naszego celu. Spójrz na Bramanów! Mimo, że obchodzimy się z nimi jak z półbogami i niezmordowanie dotykamy w pokorze ich nóg, są oni przecież potęgą, która upada".

„Zawsze będzie wielka kategorja ludzi, którzy mają zwyczaj pełzać po ziemi i którzy tylko przez zetknięcie z nogami innych — nawet przez kopnięcie — nabierają ochoty do czynu. Co za bieda jednak, że tych bramanów, których przez tyle wieków przechowywaliśmy w naszej zbrojowni i utrzymywaliśmy w dobrym i użytecznym stanie, nie możemy dziś, w czasie potrzeby użyć, aby ich podjudzić na ów motłoch!"

Niemożliwem jest jednak wytłumaczyć to wszystko Nikhilowi. Jest on tak dalece za prawdą — jak gdyby wogóle istniała jakaś objektywna prawda! Jakże często starałem się wytłumaczyć mu, że właśnie w nieprawdzie leży prawda. Przedtem uznawano u nas ten fakt i miano odwagę oświadczyć, że dla tych, którzy są małego ducha, kłamstwo jest prawdą.

Tym, którzy potrafią wierzyć rzeczywiście, że ich

kraj jest boginią, obraz jej zastąpi prawdę. Nasza natura i nasza tradycja nie pozwalają nam uznać naszą ojczyznę za to, czem jest, możemy jednak łatwo zmusić się do tego, by uwierzyć w jej obraz. Kto chce rzeczywiście coś osiągnąć, nie powinien zapominać o tym fakcie.

Lecz to stało się jedynie powodem gniewu Nikhila. „Ponieważ straciliście siłę, aby pójść drogą prawdy, dla osiągnięcia waszego celu", zawołał, „czekacie nieustannie, aż wpadnie wam w ręce jakiś cudowny dar. Straciliście wieki, by służyć waszej ojczyźnie, a obecnie nie potraficie nic innego, jak uczynić z niej bożyszcze i wyciągnąć swoje ręce, w nadziei, że przypadną wam dary za darmo".

„Chcemy dokonać niemożliwości", rzekłem. „Dlatego ojczyzna nasza musi stać się Bogiem".

„Chcesz przez to powiedzieć, iż nie macie odwagi, by wypełnić możliwe zadania", odrzekł Nikhil. „Dla tego, co już jest, nie macie oczu; chcecie widzieć coś nadnaturalnego".

„Słuchaj, Nikhilu", rzekłem w końcu, podrażniony do ostateczności. „Wszystko, co mówisz, jest dobre jako moralna nauka. Myśli te czyniły swoje jak mleko dla niemowląt, jak długo człowiek znajdował się w tem pierwszem stadjum swego rozwoju, ale obecnie, gdy wyrosły mu zęby, potrzebuje innego pokarmu.

„Czyż nie widzimy na własne oczy, jak rzeczy o których posiewie nie myśleliśmy nawet we śnie, wykwitają dokoła nas? Jaką siłą? Siłą bóstwa naszego kraju, które objawia się w tem. Jedynie geniusz czasu nadaje bóstwu obraz. Geniusz nie sieje słowami, ale tworzy. Mogę kształtować tylko to, co rodzi z siebie duch kraju.

„Ogłoszę wszędzie, że bogini zaszczyciła mnie snem. Powiem bramanom, że wyznaczyła ich na swoich kapłanów i że zaniedbywanie jej służby, którą są jej winni, jest przyczyną ich upadku. A jeśli mi powiesz, że kłamię, odpowiem ci:„ Nie, mówię prawdę — tak, więcej nawet, mówię ową prawdę, której ojczyzna dawno pragnie z ust moich usłyszeć. Gdybym miał tylko sposobność oznajmienia im mojego posłannictwa, zdumiałbyś się, widząc następstwa".

„Obawiam się", rzekł Nikhil „że czas mego życia jest ograniczony i że skutek, o którym mówisz, nie jest ostatecznym. Będzie on miał swoje następstwa, które nie okażą się zaraz".

„Mnie chodzi tylko o skutek, który okaże się dziś".

„Mnie zaś chodzi o skutek, który okaże się w wieczności", odparł Nikhil.

Nikhil uczestniczył może również w najpiękniejszym darze Bengalji, w fantazji, lecz pozwolił ją całkiem przygłuszyć i niemal zadusić pewnej zagranicznej roślinie, przykrej sumienności. Wspomnijmy tylko nabożeństwo Durgi, które Bengalja wyniosła na tak wielkie wyżyny. Jest to jeden z jej największych czynów. Mógłbym przysiądz, że Durga jest polityczną boginią i pierwotnie oznaczała śakti patrjotyzmu, w czasie gdy Bengalja modliła się o wyzwolenie z pod mahometańskiego panowania. Którejż

to innej prowincji Indji udało się wynaleść tak wzniosły symbol ideału, do którego dążyła?

Nic nie zdradzało wyraźniej że Nikhil stracił zupełnie ten boski dar fantazji, niż odpowiedź, którą mi dał. „Podczas mahometańskiego panowania" rzekł, „Mahraci i Sikhsowie pokładali nadzieję powodzenia w orężu, za który sami chwycili. Bengalczyk zadowolił się tem, iż złożył broń w ręce bogini i szeptał zaklęcia; a ponieważ jednak kraj jego nie był w istocie boginią, więc jedynem, co mu pozostało, były odrąbane głowy ofiarnych kóz i bawołów. Jeżeli szukać będziemy szczęścia naszego kraju na drodze sprawiedliwości, ten, który wyższy jest niż nasz kraj, użyczy nam prawdziwego powodzenia".

Niebezpiecznem w tem wszystkiem jest to, iż słowa Nikhila wydają się zawsze tak pięknemi na papierze. Jednak to, co ja mówię, nie nadaje się na papier, lecz powinno wgrzebać się głęboko w serce kraju. Uczony pozostawia nam w druku swoje rozprawy o uprawie roli; ale rolnik wgrzebuje jego dzieło głęboko w ziemię ostrym lemieszem swego pługa.

X

Gdy potem ujrzałem poraz pierwszy Bimalę, uderzyłem natychmiast w wysoki ton. „Czy udało się nam", zacząłem, „uwierzyć z całego serca w Boga, na którego pojawienie się czekaliśmy od milionów lat, by mu służyć, a który ukazał się nam w końcu teraz w widomym kształcie?"

„Jak często mówiłem Pani", mówiłem dalej, „że gdybym był Pani nie ujrzał, nie uważałbym nigdy mojej ojczyzny za całość. Nie wiem jeszcze, czy pojmuje mnie Pani właściwie. Bogowie są niewidzialnymi jedynie w swoim niebie, ale na ziemi pokazują się śmiertelnikom".

Bimala spojrzała na mnie osobliwie; potem rzekła: „Jednak pojmuję Pana, Sandipie". Pierwszy raz nazwała mnie całkiem po prostu Sandipem.

„Kryszna", mówiłem dalej, „którego zresztą Ardżuna znał jako woźnicę, objawił się mu pewnego razu również w swej boskiej postaci i w owym dniu ujrzał Ardżuna prawdę. Ujrzałem jej boską postać w mojej ojczyźnie. Ganges i Bramaputra są złotymi łańcuchami, które niezliczonemi splotami okręcają jej kark; w leśnym ustroniu na dalekich brzegach ciemnej rzeki ujrzałem ciemne powieki jej oczu; lśniący połysk jej sari błyszczał przedemną w igraszce światła i cieni na falującem, zielonem polu, a palące gorące lato, w którem drzemie dyszące ciężko niebo, jak znużony lew na pustyni, jest jeno jej straszliwie palącym żarem.

„Ponieważ więc bogini objawiła się swemu kapłanowi w tak prawdziwej postaci, przeto moim zadaniem jest ogłoszenie jej służby w całym kraju, a wówczas kraj obudzi się do nowego życia.

„We wszystkich świątyniach niechaj tronuje twoje oblicze".[1]) Ale naród nasz nie poznał jeszcze prawdy,

[1] Cytat narodowego hymnu „Wande Materam" Brankima Tszaterdżi.

dlatego chciałbym go wezwać w jej imieniu i ustawić w świątyniach obraz bogini, której nikt nie odmówi wiary. O moja bogini, użycz mi do tego siły!"

Bimala przymknęła oczy i siedziała jak posąg z kamienia. Gdybym mówił jeszcze dalej, skamieniałaby w zachwycie. Gdy zamilkłem, otworzyła szeroko oczy i szepnęła jak oszołomiona, patrząc z odtrętwieniem:

„O wędrowcze po ścieżce zaguby! Któż powstrzyma twe kroki? Widzę przecież, iż nikt nie hamuje twej żądzy. Królowie złożą swe korony u twych stóp, bogacze pospieszą otworzyć ci swoje skarby; ci, którzy nic nie mają, będą błagać, by mogli oddać za ciebie swe życie. O, mój królu, mój Boże! Nie wiem, co dostrzegasz we mnie, lecz poznałam w mojem sercu niezmierzoność twojej wielkości. Czem i kim jestem, wobec ciebie? Ach, jak straszliwą jest twoja niszczycielska siła! Nie będę żyć prawdziwie, dopóki mnie całkiem nie zniszczy. Nie mogę znieść tego dłużej, pęka mi serce".

Bimala zsunęła się z swego krzesła i objęła moje nogi, a potem wybuchnęła nieustającem łkaniem.

Jest to w istocie hypnotyzm — czar, którym podbija się świat. Nie potrzeba do tego żadnej broni, lecz jedynie nieodpartej siły suggestji. Któż powiada jeszcze: „Prawda zwycięży"[1]? Nie, to złudzenie, które odsuwa ostateczne zwycięstwo. Bengalczyk uznał to, gdy wynalazł obraz dziesięcioramiennej bogini jadącej na lwie i rozpowszechnił jej

[1] Cytat z Upaniszady.

służbę w swym kraju. Teraz musi Bengalja wynaleść nowe bożyszcze, aby podejść świat i zdobyć go. *Wande Mataram!*

Łagodnie podniosłem Bimalę i posadziłem ją na krześle i z obawy, iż może nastąpić reakcja, począłem mówić na nowo, nie tracąc czasu: „Królowo! Boska matka nakazała mi, abym zbudował w tym kraju świątynię. Lecz, niestety, jestem biedny!"

Bimala była jeszcze w najwyższym stopniu podniecona. Oczy jej płonęły tajemniczo, głos jej był zadyszany. Odparła: „Pan jest biedny? Czyż wszystko, co każdy z nas posiada, nie należy do Pana? Pocóż mam moje szkatułki z klejnotami? Niechaj Pan weźmie wszystko moje złoto i moje kosztowności dla pańskiej służby! Nie potrzebuję ich!"

Bimala ofiarowywała mi już raz swoje klejnoty Zwykłem zresztą nie ograniczać się, lecz czułem, że teraz musiałem[1]. Wiem, dlaczego waham się.

[1] Cały świat uczuć wiąże się z klejnotami bengalskich kobiet. Świadczą one nie tylko o miłości i szacunku ofiarodawcy, lecz nosi się je również jako symbol wszystkiego, co się najbardziej ceni w kobiecie — nieustanną troskę o dobro małżonka, skuteczne wypełnianie wszystkich duchowych i materjalnych obowiązków, nałożonych przez dom. Gdy małżonek umiera i odpowiedzialność za dom przechodzi w inne ręce, wówczas wdowa odrzuca ozdoby na znak, iż wyzbywa się wszelkich światowych spraw. W każdym innym jednak czasie rezygnowanie z ozdób jest oznaką najwyższej biedy i apeluje najgłośniej do rycerskości każdego Bengalczyka, który przypadkowo jest tego świadkiem. *(Uwaga angiel. tłumacza).*

Mężczyźnie przystoi ofiarowywać kobiecie ozdoby; lecz obraża to jego męskość, jeśli je od niej przyjmuje.

Lecz nie mogę myśleć o sobie. Czyż przyjmę? Niechaj legną u stóp boskiej matki jako ofiara. O, będzie to wspaniała uroczystość ofiarna, jakiej kraj jeszcze dotąd nie widział. Stanie się ona granicznym kamieniem w naszych dziejach. Będzie ona dla mojego narodu najwyższym rozkazem. Nieświadomi ludzie błagają bogów. Ja, Sandip, s t w o r z ę ich sam.

Wszystko to jednak należy jeszcze do przyszłości. Jak zaradzimy chwilowej biedzie? Potrzeba niezbędnie przynajmniej trzy tysiące rupji, pięć tysięcy wystarczyłoby całkiem dobrze. Ale jakżeż, na Boga, mogę mówić teraz o pieniądzach, gdy myśli nasze uleciały tak wysoko? A jednak czas jest drogi!

Przygłuszyłem siłą rozmyślania i zerwawszy się, zawołałem: „Królowo! Środki nasze są wyczerpane, dzieło nasze rozbije się o to!"

Bimala zadrżała. Widziałem, że myśli o tych niemożliwych 50,000 rupji. Jakiż ciężar musiał spoczywać na jej sercu przez ten cały czas! Może wzdychała na myśl o tem wśród bezsennych nocy. Cóż może jeszcze złożyć, prócz ofiary swojej miłości? Ponieważ nie mogła złożyć u stóp moich swego serca, pragnęła uczynić ową beznadziejną dla niej sumę wyrazicielem swych uwięzionych uczuć. Myśl o tem, co musiała przecierpieć, dotknęła mnie boleśnie; teraz bowiem była całkowicie moją. Roślina została wyrwana z ziemi wraz z korzeniami i przez to spełniło się to, co było najgorsze. Teraz wymagała jedynie troskliwej opieki i pożywienia.

„Królowo!" powiedziałem, „chwilowo nie potrzebujemy jeszcze owych 50,000 rupji. Sądzę, że tymczasem damy radę z 5,000 lub nawet z 3,000".

Wydawała się, jakby uwolniona od zmory. „Dostarczę Panu 5,000", rzekła takim tonem, jak gdyby chciała wybuchnąć pieśnią radosną, — pieśnią, którą śpiewał Radhika w swych pieśniach o Wisznu:

„Poszukam kwiatu wszystkich kwiatów
które ozdobi ciemne me warkocze,
gdy zbliża się ukochany".

— jest to ten sam sposób, ta sama pieśń: przyniosę 5,000! Tym kwiatem przyozdobię moje włosy!

Powściągliwość fletni nadaje tej pieśni właściwego dźwięku. Nie mogę zbyt silnie wdmuchiwać w jej rurkę mego pożądania, gdyż obawiam się, że miast muzyki, zadźwięczy pytanie: „Dlaczego?" „Pocóż tak dużo?" „Skąd to wezmę?" — całkiem inne tony, niż pieśń, którą śpiewał Radhika! Słusznie więc powiadam, że jedynie złudzenie jest rzeczywiste, — ono samo jest fletnią, podczas, gdy prawda jest tylko jej pustem wydrążeniem. Nikhil musiał w tym ostatnim czasie poczuć tę nagą próżnię, — poznać to z wyrazu jego twarzy, który nawet mnie boleśnie dotyka. Ale Nikhil zwykł szczycić się, że chodzi mu o prawdę, gdy ja się szczyciłem, że nie pozwalałem sobie odebrać złudzenia. Każdy z nas przeto ma, czego chciał; pocóż się jeszcze skarżyć?

Aby nie wyrywać serca Bimali z rzadkiego powietrza idealizmu, przerwałem wszelkie dalsze rozważania co do owych 5,000 rupji. Począłem znów mówić o niszczącej demony bogini i o jej służbie. Kiedy powinna się odbyć uroczystość i gdzie? W Ruimari, miejscowości, należącej do Nikhila, odbywa się raz w roku wielka msza, na której gromadzą się tysiące pielgrzymów. Będzie to wspaniała sposobność do uroczystego otwarcia kultu naszej bogini.

Bimala płonęła z zapału. Nie chodziło tu o palenie zagranicznych materji lub nawet o podpalanie stodół, nawet Nikhil nie mógł się temu sprzeciwić, — tak sądziła. Zaśmiałem się jednak w duchu. Jakże mało zna się tych dwoje ludzi, którzy żyli z sobą dzień i noc przez całe dziewięć lat! Znają może trochę swoje domowe życie, ale jeśli chodzi o sprawy zewnętrzne, są zupełnie bezradni. Żyli w pięknem złudzeniu, że dom i świat są z sobą w doskonałej harmonji. Dziś, ku swojemu zmartwieniu, muszą przyznać, że jest zapóźno, by naprawić tyluletnie zaślepienie i wrócić do obopólnej harmonji.

Cóż to znaczy jednak? Niechaj ci, co popełnili błąd, poznają go przy zderzeniu się z światem! Cóż mnie obchodzi ich bieda? Tymczasem ciężko mi będzie pozwolić Bimali fruwać w wyższych sferach, jak balonowi na uwięzi. Lepiej będzie, jeśli najpierw uporządkuję sprawy pieniężne.

Gdy Bimala wstała, chcąc odejść i zbliżyła się

do drzwi, rzekłem całkiem od niechcenia: „A co się tyczy pieniędzy..."

Bimala zatrzymała się i obejrzawszy się ku mnie, rzekła: „Z końcem tego miesiąca, gdy otrzymam moje miesięczne pieniądze..."

„Obawiam się, że wówczas będzie za późno".

„Kiedy zatem potrzebuje Pan?"

„Jutro".

„Dobrze — dostanie Pan jutro".

ROZDZIAŁ ÓSMY.

OPOWIADANIE NIKHILA.

X.

Miejscowe gazety poczęły zamieszczać artykuły i listy, wymierzone przeciw mnie i dowiaduję się, iż nastąpią jeszcze karykatury i paszkwile. Dowcip i humor wylewają na mnie swe zuchwalstwo, a z rozszerzanych w ten sposób kłamstw zanosi się od śmiechu cały kraj. Wiedzą oni, iż posiadają monopol obrzucania ludzi błotem, a niewinny przechodzień nie uchodzi bez splugawienia.

Powiadają, iż wszyscy mieszkańcy moich dóbr, od najwyższego do najniższego, są zwolennikami ruchu swadeśi, ale z obawy przedemną nie śmią przyznać się do tego. Nieliczni, którzy byli dość mężni, aby pójść przeciw mnie, musieli odczuć całą bezwzględność mojego prześladowania. Jestem w tajemnem porozumieniu z policją i z magistratem, a rozpaczliwe wysiłki, aby zdobyć dla mnie prócz dziedzicznego tytułu, jeszcze zagraniczny, mają wszelkie widoki powodzenia.

Z drugiej strony gazety pełne są pochwał dla zemindarów Kundu i Tszakravarti, wiernie oddanych synów ojczyzny. Gdyby kraj posiadał jeszcze kilku takich dzielnych patrjotów, powiadają, wówczas fa-

bryki Manchesteru musiałyby wkrótce zanucić swoją własną pieśń pogrzebową podług melodji *Wande Mataram*.

Nastąpuje potem krwawo-czerwonemi literami wypisana lista zdradzieckich zemindarów, których domy spalono, ponieważ nie chcieli popierać sprawy. „Święty ogień", piszą dalej, „został wezwany, by wypełnił swoje święte powołanie i oczyścił kraj, a prócz tego działają jeszcze inne moce, dbające o to, aby ci, którzy nie są prawdziwymi synami ojczyzny, nie panoszyli się dłużej na jej łonie". Podpis jest prawdopodobnie pseudonimem.

Zauważyłem, że brali w tem udział nasi studenci, dlatego kazałem niektórych z nich przywołać i pokazałem im list.

Jeden z studentów oznajmił mi z poważną miną, iż słyszeli oni również, że stowarzyszyła się gromada zdecydowanych patrjotów, która pragnie usunąć bezwzględnie z drogi każdą przeszkodę, która stanie oporem ruchowi swadeśi.

„Jeśli choćby jeden z naszych rodaków padnie ofiarą tych zuchwałych towarzyszy", powiedziałem, „wówczas oznacza to w istocie klęskę naszej ojczyzny".

„Nie rozumiemy tego, maharadżo", rzekł pewien student historji.

Próbowałem wyjaśnić im moje zapatrywanie.

„Nasza ojczyzna", powiedziałem, „jest nad brzegiem przepaści przez samą obawę — obawę przed bogami aż do obawy przed policją; a jeśli wy w imie-

niu wolności wystawiacie nowe straszydło — czy jak to tam nazwiecie — jeśli wy, licząc na słabość waszej ojczyzny, chcecie ją poddać waszej woli jawną przemocą, to nikt, kto kocha prawdziwie swą ojczyznę, nie może stanąć po waszej stronie".

„Czyż jest jakiś kraj", spytał znów student historji, „który poddaje się z innej przyczyny, niż z obawy przed swoim rządem?"

„Wolność panująca w jakimś kraju", odparłem, „można zmierzyć podług stopnia, w jakim panuje obawa. Tam, gdzie panowanie jej ogranicza się do tych, którzy pragną rabować i plądrować, tam rząd może się szczycić, iż uwolnił ludzi od gwałtowności człowieka. Ale tam, gdzie obawa powinna czuwać nad tem, jak się ludzie ubierają, gdzie prowadzą handel i co jedzą, tam nie szanuje się wolności woli człowieka i niszczy się ludzkość w zarodku".

„Czyż w innych krajach nie wywiera się takiego przymusu na wolę jednostki", spytał znów student historji.

„Któż temu przeczy?" zawołałem. „Ale we wszystkich tych krajach musiał człowiek zniszczyć najpierw swoje człowieczeństwo, by mogło powstać niewolnictwo".

„Czyż nie dowodzi to raczej", wtrącił jakiś starszy student, „że niewolnictwo jest człowiekowi wrodzone i że jest zasadniczą cechą jego natury?"

„Sandip Babu wyłożył tę rzecz bardzo jasno", rzekł trzeci. „Dał nam za przykład sąsiada pańskiego, zemindara Harisza Kundu. W jego dobrach

nie znajdzie Pan ani jednej uncji zagranicznej soli. Skąd to pochodzi? Ponieważ rządzi zawsze żelazną dłonią. Dla tych, którzy z natury są niewolnikami, najgorszą rzeczą jest, gdy brak im surowego władcy".

„Ej, Panie", wtrącił jakiś młodszy student, „czy nie słyszał Pan o upiornym dzierżawcy sąsiedniego zemindara, Tszakravarti, którego ścigano sądownie tak długo, póki nie popadł w skrajną nędzę? Gdy wkońcu nie miał co jeść, chciał sprzedać srebrną biżuterję swej żony, lecz nikt nie odważył się przyjąć jej od niego. Potem dzierżawca Tszakravartiego ofiarował mu za wszystko pięć rupji. Była ona warta ponad trzydzieści, jednak musiał zgodzić się lub umrzeć z głodu. Gdy dzierżawca wziął od niego biżuterję, rzekł mu obojętnie, że owe pięć rupji będą ciążyć na jego dzierżawnym czynszu! Usłyszawszy to, byliśmy tak oburzeni, iż chcieliśmy zerwać zupełnie z Tszakravartim i z jego dzierżawcą, lecz Sandip Babu powiedział nam, że jeśli byśmy chcieli pozbyć się w ten sposób żywych ludzi, musielibyśmy wydobyć umarłych z stosów ofiarnych, aby wywalczyć naszą sprawę! Żywi ludzie, jak ci, dowodził nam, wiedzą co chcą i jak mają to osiągnąć — są urodzonymi władcami. Ci, którzy nie mają żadnych własnych życzeń, muszą poddać się życzeniom takich ludzi, lub też przez nich zmarnieć. Sandip Babu przeciwstawił ich — Kundu i Tszakravartiego — Panu, maharadżo. Nawet przy najlepszych chęciach, mówił, nie uda się Panu nigdy, zatknąć chorągwi ruchu swadeśi na swoim obszarze".

„Chciałbym", rzekłem, „zatknąć coś większego. Nie chodzi mi o martwe pale, ale o żyjące drzewa, a te potrzebują wiele czasu, by róść".

„Obawiam się, Panie", zauważył szyderczo student historji, „że otrzyma Pan więcej pali, niż drzew. Sandip Babu poucza słusznie, że musi się chwycić siłą, jeśli chce się coś mieć. Wszyscy potrzebujemy czasu, aby nauczyć się tego, gdyż przeczy to temu, czegośmy się nauczyli w szkołach. Widziałem na własne oczy, jak jeden z dzierżawców Harisza Kundu zmusił pewnego pachciarza, który nic więcej nie miał do sprzedania, by oddał swoją młodą żonę! Kupców nie brakło i żądanie zemindara zostało zaspokojone. Powiem Panu otwarcie, że widok zrozpaczonego człowieka nie pozwalał mi spać całemi nocami! I cokolwiek mówiło moje uczucie, tyle jednak wiedziałem, że człowiek, który umie zdobyć pieniądze, które chce mieć, gdyby nawet miał sprzedać żonę swego dłużnika — że taki człowiek lepszym jest odemnie. Przyznaję, że nie byłbym zdolny do tego, jestem słaby i oczy moje zalewają się łzami na widok takiej nędzy. Ale jeśli ktoś może zbawić naszą ojczyznę, to tylko Kundu i Tszakravarti i ich ludzie".

Nie mogłem znaleść słów dla wyrażenia mojego wstrętu. „Jeśli to prawda, co mówicie", zawołałem, „to widzę, że zadaniem mego życia musi być ratowanie ojczyzny. Niewolnictwo, które wżarło się nam do szpiku kości, pojawia się przy tej sposobności jako straszliwa tyranja. Jesteście tak dalece przy-

zwyczajeni poddawać się z lęku sile, że wiara w konieczność poddawania się słabych stała się dla was pewnego rodzaju religją. Moja walka musi być skierowana przeciw tej słabości, przeciw tej wstrętnej okropności".

Sprawy te, które dla zwyczajnych ludzi są tak proste, wikłają się nieprawdopodobnie w głowach studentów i jedynym celem ich historycznych sofisterji zdaje się być przekręcanie prawdy!

XI.

Wspomniana ciotka Pantsza daje mi wiele do czynienia. Trudno będzie dowieść jej oszustwa, jakkolwiek bowiem ciężko lub wprost niemożliwem jest znaleść świadków dla rzeczywistego faktu, to z drugiej strony zawsze przecież dadzą się naprowadzić niezliczone dowody na to, co się wcale nie działo. Celem tego zaszachowania jest chwilowe odwleczenie sprzedaży folwarku Pantsza w moje ręce.

Ponieważ nie mogłem znaleść żadnego innego wyjścia, zamierzałem wydzierżawić Pantszowi na mym obszarze kawałek ziemi i pozwolić mu wybudować na nim chałupę. Ale nauczyciel mój nie chciał o tem słyszeć. Sądził, że nie powinien godzić się dobrowolnie na takie złośliwe postępowanie i okazał gotowość ujęcia sprawy w swoje własne ręce.

„Ty, mistrzu? zawołałem zdumiony.

„Tak, ja", powtórzył.

Nie mogłem sobie wogóle wyobrazić, jak może

mój nauczyciel zdziałać coś przeciw tym prawniczym praktykom. Tego wieczora nie przyszedł do mnie, jak o zwyczajnej godzinie. Gdy się dowiadywałem o niego, oświadczył mi jego służący, iż wyjechał gdzieś, wziąwszy z sobą mały kuferek, do którego zapakował kilka rzeczy i nieco pościeli i wróci za kilka dni. Sądziłem, że wybrał się może, by szukać świadków we wsi, w której żył wuj Pantsza. Ale podobne przedsięwzięcie wydawało mi się beznadziejne...

W ciągu dnia zatapiam się w mojej pracy. Ale gdy popołudnie później jesieni zbliża się zwolna i zciemnieją barwy nieba, posępnieją również moje uczucia. Wielu jest na świecie takich, których dusza mieszka w kamiennych domach, — i nie potrzebują troszczyć się o zewnętrzny świat. Ale dusza moja mieszka na polu pod drzewami; wchłania w siebie posłania, przynoszone przez wolne wiatry, a cała skala światła i cieni odbrzmiewa w najtajniejszej mojej głębi.

Jak długo świeci dokoła mnie jasny dzień i znajduję się wśród ludzkiej wrzawy, wydaje się, jakoby życiu mojemu nie brakowało niczego. Lecz gdy barwy na widnokręgu zblakną i niebo zaciągnie zasłonę na swoje okna, wówczas serce moje czuje, że również dla mnie zapada wieczór jak zasłona, by usunąć zewnętrzny świat i oznajmić godzinę, w której ciemność musi się zapełnić jedynem. Ziemia, niebo i woda przywołują go do nas, nie mogę zamknąć uszu na jego wezwanie. Więc gdy ciemność

staje się coraz głębsza, jak ciemne oczy kochanki, wówczas powiada mi cała moja istota, że sama praca nie może być prawdziwym sensem życia, że ona sama nie powinna być treścią i celem ludzkiego bytu, gdyż człowiek nie powinien być tylko niewolnikiem — nawet niewolnikiem prawdy i dobra.

Ach, Nikhilu, gdzie zapodziała się cząstka twego ja, które niegdyś, gdy ustała praca dnia, odrzucało od siebie pod gwiaździstem niebem wszelkie więzy i zanurzało się w nieskończone głębie nocnej ciemności? Jakże straszliwie samotnym jest jednak ów, któremu brak towarzysza w różnorodności życia!

Niedawno, pod wieczór, gdy dzień spotyka się z nocą, nie miałem właśnie nic do czynienia i nie byłem skłonny do pracy, a mój nauczyciel był również nieobecny i nie mógł mi towarzyszyć. Serce moje było, jak pusta, pędząca w dal łódka, szukająca przystani i tak wlokłem się w głąb ogrodów. Lubię bardzo chryzantemy i w jednej stronie parku wzdłuż muru kazałem ustawić w wazonach całe ich rzędy we wszystkich odmianach. Gdy kwitły, zdawało się, jakoby zielona fala rozpryskiwała się pianą wszystkich kolorów tęczy. Dłuższy czas nie chodziłem do tej części parku i myśl, że po dłuższej rozłące znów ujrzę moje chryzantemy, napełniła moją duszę radosnem oczekiwaniem.

Gdy wszedłem, księżyc zaglądał właśnie przez mur, którego dół spoczywał jeszcze w głębokim cieniu. Zdawało się, jak gdyby zakradł się z tyłu na palcach i uśmiechając się zuchwale zaglądał

ciemności w oczy. Gdy zbliżyłem się do tarasy z chryzantemami, ujrzałem przed nią rozciągniętą w trawie postać. Serce moje przestało nagle bić. Również postać zerwała się z przerażeniem za zbliżaniem się moich kroków.

Cóż miałem w owej chwili uczynić? Wahałem się, czy mam cofnąć się jeszcze szybko. Również Bimala rozważała pozornie, w jaki sposób mogłaby wymknąć się. Wydawało mi się niezręcznem, zarówno odejść teraz, jak zostać. Zanim zdołałem zdecydować się, Bima wstała, zarzuciła koniec swej sari na tył głowy i odeszła w kierunku zewnętrznych komnat.

Ta krótka przerwa wystarczyła, by uświadomić mi całą nędzę Bimali. I natychmiast ucichła skarga mego własnego życia. Zawołałem: „Bimalo!"

Zadrżała i stanęła, lecz nie odwróciła się. Podszedłem i stanąłem przed nią. Oblicze jej było w cieniu, światło księżyca padało na moje. Stała z spuszczonemi oczyma i kurczowo zaciśniętemi rękami.

„Bimalo", rzekłem, „dlaczegóż miałbym dążyć do tego, by trzymać cię w tej zamkniętej klatce? Czyż nie wiem, że w ten sposób musisz zginąć z troski i tęsknoty?"

Stała cicho, nie podnosząc oczu i nie mówiąc ani słowa.

„Wiem", mówiłem dalej, „że gdybym chciał więzić cię przemocą, całe życie moje byłoby jeno żelaznym łańcuchem. Jakąż miałbym z tego pociechę?"

Milczała jeszcze ciągle.

„Dlatego powiadam ci szczerze Bimalo", kończyłem, „jesteś wolna. Czemkolwiek nawet dla ciebie byłem lub starałem się być napróżno, — nie chcę być dla ciebie przeszkodą". Powiedziawszy to, poszedłem ku zewnętrznym komnatom.

Nie, nie, nie był to ani wspaniałomyślny impuls, ani nie była to obojętność. Poznałem po prostu, że nigdy sam nie będę wolny, jak długo trzymam drugich w niewoli. Gdybym usiłował zatrzymać Bimalę, jak ozdobny łańcuch dokoła mej szyji, ciążyłby ten łańcuch na mojem sercu, jak ciężkie brzemię. Czyż nie błagałem całą mą duszą, że pragnąłbym przyjąć mój los, zrezygnować z szczęścia lub powitać z radością ból, gdybym tylko nie musiał żyć w jarzmie? Jeśli się przemocą trzyma kłamstwa i nie chce uwierzyć, że jest ono prawdą, wówczas zadławia się samego siebie. Obym się ustrzegł podobnego samozniszczenia!

Kiedy wszedłem do mego pokoju, zastałem w nim czekającego mego nauczyciela. Wzburzone moje nerwy grały jeszcze we mnie. „Wolność, mistrzu", zacząłem bez słowa pozdrowienia lub zapytania, „wolność jest dla człowieka najwyższem dobrem. Nic nie da się z nią porównać — nic!"

Zdumiony tym wybuchem, nauczyciel mój spojrzał na mnie milcząco.

„Z książek nie można niczego zrozumieć", mówiłem dalej. „Czytamy w świętych księgach, że nasze żądze są pętami, które wiążą zarówno nas sa-

mych, jak innych. Ale same owe słowa są tak puste. Dopiero w chwili, gdy wypuścimy ptaka z klatki, pojmujemy, jak dalece ptak pozbawiał nas wolności. To, co więzimy, niechaj będzie co chce, wiąże nas żądzą, której pęta silniejsze są, niż żelazne łańcuchy. Powiadam ci mistrzu, że to jest właśnie, czego ludzie nie chcą nigdy zrozumieć. Usiłują reformować coś, co leży poza nimi. Ale właśnie żądze wymagają reform, zresztą nic, zresztą nic!"

„Sądzimy", rzekł, „że jesteśmy własnymi panami, gdy dostaniemy w swe ręce przedmiot naszego pożądania, ale w rzeczywistości jesteśmy wtedy naszymi własnymi panami, gdy uda się nam uwolnić nasze serce od naszych pożądań".

„Gdy to wszystko ujmiemy w słowa, mistrzu", mówiłem dalej „dźwięczy to, jak jakaś martwa mądrość starców, ale jeśli choćby trochę tylko z tego rzeczywiście zrozumiemy, widzimy, że jest to *amrita*, którą piją bogowie, stając się nieśmiertelnymi. Możemy poznać piękno dopiero wówczas, gdy go wyzwolimy. Budda, a nie Aleksander zdobył świat, — brzmi to fałszywie, gdy wypowiadamy to w suchej prozie — ach, kiedyż będziemy mogli wyśpiewać to na cały świat? Kiedyż wyleją się wszystkie te najgłębsze prawdy wszechświata z kart drukowanych książek i złączą się w jeden święty strumień?"

Nagle wpadło mi na myśl, że przecież mój nauczyciel wyjeżdżał w ostatnich dniach, a ja nie dowiedziałem się o powodzie jego nieobecności. Wstydziłem się trochę mojej bezmyślności i spytałem go: „A gdzie przebywałeś cały czas, mistrzu?"

„U Pantsza", odrzekł.

„Rzeczywiście!" zawołałem. „Czyż przez wszystkie owe dni byłeś tam?"

„Tak. Chciałem dojść do jakiegoś porozumienia z kobietą, która mieni się jego ciotką. Nie mogła zupełnie pojąć, że między dostojnikami są tacy, jak ów, który szukał u nich gościny. Gdy spostrzegła, że w istocie miałem zamiar zostać, poczęła wstydzić się trochę. „Mateczko", rzekłem, „nie pozbędziecie się mnie, nawet gdy będziecie źle obchodzić się ze mną! A jak długo ja zostanę, zostanie również Pantszu. Gdyż, nieprawdaż, musicie przecież zrozumieć, że nie mogę przyglądać się spokojnie, gdy opuszczone jego dzieci wyrzucają na ulicę?"

Kilka dni słuchała mnie, gdy tak mówiłem, nie odpowiadając ani tak, ani nie. Już zdawało mi się, że dziś lub jutro spakuje swoje węzełki. „Chcemy wracać do Brindabanu", rzekła. „Niech mi Pan da pieniądze na podróż". Wiem, że nie pojedzie do Brinbabanu i że koszta jej podróży wyniosą ładną sumkę. Dlatego przychodzę do ciebie".

„Niechaj jej wypłacą sumę, której żąda", rzekłem.

„Stara kobieta nie jest wcale tak zła", rzekł zadumany mój nauczyciel. „Pantszu był niepewny z powodu jej kasty i nie mógł znieść, by dotknęła się kubłów na wodę lub wogóle jakiejkolwiek jego rzeczy. Dlatego sprzeczali się nieustannie. Skoro

zobaczyła, iż nie mam nic przeciw jej dotknięciu, troszczyła się o mnie z wielkiem poświęceniem. Jest znakomitą kucharką!"

„Ale reszta mojego szacunku dla Pantsza znikła. Aż do końca sądził jeszcze, że jestem przynajmniej niewinnym i ograniczonym człowiekiem. Ale tu musiał przekonać się, jak bez skrupułu naraziłem moją kastę, aby pozyskać kobietę dla mojego celu. Gdybym był usiłował prześcignąć ją, wpajając w kogoś świadczenie, byłoby to zupełnie coś innego. Podstęp wojenny musi się zwalczać podstępem wojennym. Ale żeby go ćwiczyć na koszt rygorystycznej wiary, to ponad jego siły!

„W każdym razie, nawet po wyjeździe kobiety, muszę pozostać u Pantsza jeszcze parę dni, gdyż Harisz Kundu wymyśli może jakąś nową djabelską sztuczkę. Rzekł do swoich trabantów, że byłby się zadowolnił przeproszeniem Pantsza z ciotką, lecz ja byłbym nawet dostarczył mu ojca. Teraz niechaj zobaczy, ilu to ojców chciało go ratować!"

„Czy uda się nam uratować go, czy też nie", rzekłem, „jeśli zginiemy przy naszych usiłowaniach wyratowania ojczyzny z tysiąca pętlic, które owi ludzie wiążą dla niej z religji, obyczajów i z egoizmu, wówczas koniec nasz będzie szczęśliwy".

XV.

Któżby myślał. że w tem jednem życiu może się tak wiele wydarzyć? Wydaje mi się, jakobym przeżyła cały szereg egzystencji; czas upłynął tak szybko, iż nie zauważyłam tego, aż niedawno obudziłam się nagle, jakby ze snu.

Wiedziałam, że dojdzie między nami do starcia, gdy się zdecydowałam prosić mego męża, by usunął z naszego targu zagraniczne towary. Wierzyłam jednak mocno, iż nie będę zmuszona przekonywać go i że czar, płynący ze mnie, wywrze już swój wpływ. Czyż nie upadł mi bezsilnie do nóg tak potężny człowiek, jak Sandip, jak groźna morska fala rozpryskująca się na brzegu? Czyż go wzywałam? Nie, przyciągnęła go moja czarodziejska siła. A Amulja, ów biedny, kochany chłopak, który ujrzawszy mnie poraz pierwszy, zapłonął czerwonym żarem, jak rzeka o zachodzie słońca! W istocie, odczułam, jakie są myśli bogini, gdy spogląda na promieniejące oblicze swego kapłana.

W dumnej pewności, którą przepoiły mnie owe dowody mojej mocy, szykowałam się do wystąpienia przeciw mojemu mężowi, jak brzemienna deszczem chmura. Lecz cóż się stało? W ciągu tych dziewięciu

lat nie widziałem nigdy w jego oczach tak zimnego, obcego spojrzenia, — jak pustynne niebo spoglądające na wszystko sucho i obojętnie. Jakąż byłoby to dla mnie ulgą, gdyby był wybuchnął gniewem! Nie widziałam jednak żadnej możliwości zbliżenia się do niego. Czułam się jak we śnie, we śnie, po którym nastąpić może jedynie ciemność nocy.

Przedtem zazdrościłam zawsze mej bratowej jej piękności. Miałam wówczas uczucie, że opatrzność nie dała mi żadnej własnej mocy, że siła moja spoczywa w miłości, którą obdarzył mnie mój mąż. Teraz gdy puhar mocy wychyliłam do dna i nie mogłam już obejść się bez jego oszołomienia, ujrzałam go u moich stóp, rozbitego w kawałki i nic więcej nie wydawało mi się godnem życia.

Jakże gorączkowo mozoliłam się w tym dniu mojemi włosami! O mój wstydzie i moja hańbo! Bratowa moja przechodząc zawołała: „Ej, Tszoto Rani, twoje włosy zdają się ulatywać w powierze. Uważaj, by nie porwały z sobą głowy!“

A potem niedawno, jakże łatwo było mojemu mężowi oświadczyć mi, że mnie uwalnia! Ale czyż wolność — pustą wolność — można tak łatwo wziąść i podarować? Wygląda to tak, jakby rybę puszczono wolno na powietrze, — jakżeż bowiem mogę żyć i oddychać poza atmosferą troskliwej opieki, którą mnie zawsze otaczano.

Wszedłszy dziś do mego pokoju, ujrzałam tylko meble — tylko łóżko, lustro, szafę na odzież, — a nie duszę, która zawsze przenikała wszystko i ogarniała.

Suche koryto rzeki, w którem leżały jeno wszystkie skały i krzemienie. Żadnego uczucia, tylko meble!

Gdy popadłam w stan zupełnego rozstroju i pytałam siebie, czy pozostało mi coś jeszcze prawdziwego w życiu i gdzie ono może być, spotkałam się znów przypadkowo z Sandipem. Wtedy życie zderzyło się z życiem i buchnęły iskry, jak zwykle. Tu była prawda — gwałtowna prawda, która wdarła się z szumem w puste koryto i wylała poza brzegi, — prawda, tysiąc razy bardziej oczywista, niż Bara Rani z swą służącą Thako i z swemi głupiemi piosnkami, niż wszystkie inne, biegające dokoła z gwarem i śmiechem.....

„Pięćdziesiąt tysięcy!“ żądał Sandip.

„Cóż znaczy pięćdziesiąt tysięcy?“ krzyczało oszołomione moje serce. „Dostanie ich Pan“.

W jaki sposób i skąd mam ich dostać, były to uboczne pytania, które nie wchodziły obecnie w grę. Cóż się jednak ze mną stało? Czyż w jednej chwili nie zostałam wyniesiona z mojej nicości na wyżyny, ogarniające wszystko? Tak też przybędzie wszystko na moje skinienie i wezwanie. Dostanę ich, w każdym razie dostanę, — nie ulega to wątpliwości.

W tym nastroju opuściłam niedawno Sandipa. Ale gdy potem rozejrzałam się, gdzież było owo drzewo obfitości? Ach, dlaczegoż świat wyszydza tak i wykpiwa nasze serce?

Jednak muszę ich wydostać; jak, to obojętne, gdyż niema w tem grzechu. Grzech plami jeno słabych, ja, z moją siłą śakti, stoję ponad nim. Tylko

pospolity człowiek może popełnić kradzież, król zdobywa i bierze zdobycz, która mu przypada..... Muszę wykryć, gdzie się znajduje skarbiec, kto przynosi doń pieniądze i kto go strzeże.

Pół nocy przepędziłam na zewnętrznej werandzie i spoglądałam bacznie ku rzędom urzędowych budynków. Ale w jaki sposób wydostanę owe 50.000 rupji z kleszczy tych żelaznych ryglów? Gdybym mogła jakiemś zaklęciem powalić wszystkie warty na ziemię, nie zawahałabym się, — tak dalece byłam bezlitosna!

I podczas gdy w wrzącym mózgu *rani* cała zbójecka banda zawodziła wojenny tan, — wielki dom radży spoczywał w głębokiem milczeniu. Dzwonek strażnika oznajmiał jedną godzinę po drugiej, a niebo patrzyło na mnie spokojnie i ufnie.

Wkońcu kazałam przywołać Amulję.

„Potrzebujemy pieniędzy dla narodowej sprawy", rzekłam do niego. „Czy nie mógłbyś ich wydostać, ze skarbca?"

„Dlaczegoż nie", rzekł, uderzając się w piersi.

Ach, czy nie odpowiedziałam również owo „Dlaczegóż nie?", gdy mnie pytał Sandip? Pewność biednego chłopca dawała mi bardzo mało nadziei.

„Jakże chcesz wziąść się do tego?" spytałam.

Awanturnicze plany, które począł przedemną roztaczać, powtarzają się jeno w jakiejś okropnej powieści.

„Nie, Amuljo" rzekłam surowo, „nie możesz być dziecinnym".

„A więc", rzekł, „przekupię strażników".

„Skąd weźmiesz na to pieniądze?"

„Mogę splądrować bazar", odparł niezmieszany.

„Daj pokój takim rzeczom! Mam moje klejnoty, których mogę do tego użyć!"

„Lecz", rzekł Amulja, „przyszło mi na myśl, że skarbnik nie da się przekupić. Jednak nic to nie szkodzi; jest inny i prostszy sposób".

„Jaki?"

„Pocóż chce go Pani znać? Jest całkiem prosty".

„Jednak chciałabym go znać".

Amulja grzebał w kieszeni swej bluzy, potem wyjął małe wydanie Gity, które położył na stole, — a potem mały pistolet, który pokazał mi, nie mówiąc ani słowa.

Okropne! Bez chwili namysłu chciał zabić naszego dobrego, starego skarbnika! Spojrzawszy w jego otwarte, dobroduszne oblicze, sądziłoby się, że nie potrafiłby nic złego uczynić nawet musze, ale co za słowa płynęły z jego ust! To jasne, że skarbnik nie był dla niego niczem rzeczywistem i żyjącem, coby przemawiało do jego uczucia, lecz próżnią, wypełnioną gotowemi powiedzeniami z Gity, jak: „kto zabija ciało, nie zabija nic!"

„Ależ Amuljo, co ty sobie myślisz?" zawołałam w końcu. „Czyż nie wiesz, że ów stary, dobry człowiek ma żonę i dzieci i że....."

„Gdzież są mężczyźni, którzy nie mają żon i dzieci?" przerwał mi. „Widzi Pani, maharani, to, co nazywamy litością, jest w istocie jedynie litością nad nami. Lękamy się zranić nasze własne subtel-

niejsze wzruszenia i uczucia i dlatego nie uderzamy! To jest szczyt tchórzostwa!"

Zdziwiłam się, usłyszawszy z ust tego chłopca wyrażenia Sandipa. Był jeszcze tak wzruszająco młody i niedojrzały — w wieku, w którym można jeszcze wierzyć w samo dobro, w którym żyje się jeszcze i rośnie. Odezwała się we mnie matka!

Dla mnie nie było już ani dobra ani zła, — tylko śmierć, piękna, nęcąca śmierć. Słysząc jednak tego chłopca, mówiącego tak spokojnie o zamordowaniu niewinnego, starego człowieka, jak o całkiem słusznej sprawie, przeniknął mnie dreszcz. Im wyraźniej widziałam, że w jego sercu nie było grzechu, tem straszliwszym wydawał mi się grzech w jego słowach. Wydawało mi się, jakoby grzech ojców nawiedzał niewinne dziecko.

Widok jego wielkich, wiarą i zapałem błyszczących oczu, przeniknął wskróś moją duszę. W swojem zaślepieniu rzucał się prosto w paszczę smoka, z której nie było odwrotu. Jakżeż mogłam go wyratować? Dlaczegóż kraj mój nie okaże się raz prawdziwą matką, która syna swego przyciska do serca i woła: „O, moje dziecko, moje dziecko, cóż to pomoże, że mnie żałujesz, jeśli ja nie mogę ratować ciebie?"

Wiem, że wszelka moc na świecie wzmoże się, jeśli sprzymierzy się z szatanem. Ale matka jest poto, by przeciwstawić się szatanowi i przeszkadzać jego dziełu nawet wtedy, gdy stoi całkiem sama. Matka drwi sobie z samego powodzenia, choćby najwięk-

szego, — pragnie dawać i otrzymywać życie. I dusza moja wyciąga dziś dłonie w gorącem pożądaniu, by ratować to dziecko.

A oto zachęcałam go jeszcze do rabunku. Cokolwiek nawet teraz powiem, uważa to za kobiecą słabość. Kochają naszą słabość, o ile wciąga ona świat w ich sieci!

„Nie czyń nic, Amuljo, sama już dostarczę pieniędzy", rzekłam wkońcu do niego.

Gdy zamierzał wyjść, przywołałam go z powrotem. „Amuljo", rzekłam, jestem twoją starszą siostrą. Według kalendarza dzień dzisiejszy nie jest dniem braci [1], lecz w istocie wszystkie dnie w roku są dniami braci. Niechaj ci towarzyszy moje błogosławieństwo! Niechaj strzeże cię zawsze Bóg!"

Niespodziane owe słowa, wypowiedziane przezemnie, wprawiły Amulję w osłupienie. Stał przez chwilę

---

[1] W bengalskich domach (może w domach Hindusów w całych Indjach) córka domu bywa otaczaną szczególną miłością, gdyż podług zwyczaju wychodzi za mąż bardzo wcześnie. Unosi z sobą do domu swego męża kochane wspomnienia, gdyż jako obca musi się w nim dopiero utrwalić, zanim zdobędzie należne jej stanowisko. Uczucie, które młoda małżonka żywi do dawnego domu, wyraża się uroczyście w dniu braci, w którym bracia zostają zaproszeni do domu swej zamężnej siostry. Jeśli siostra jest starsza, wówczas przyjmuje należną jej cześć od braci i udziela im błogosławieństwa i odwrotnie. Przy tej sposobności następuje wymiana podarunków, które uważa się jako dary szacunku lub błogosławieństwa.

(Uwaga angielskiego tłumacza).

nieruchomo. Potem oprzytomniał. A wtedy rzucił się do moich nóg, na znak, iż przyjmował mnie za siostrę i jako brat okazywał mi swój głęboki szacunek. Gdy powstał, oczy jego były pełne łez... Ach, mój mały bracie! Zdążam szybkiemi krokami ku śmierci, pozwól mi wziąść na swe barki wszystkie twoje grzechy! Oby niewinność twoja nie splamiła się nigdy przezemnie!

Rzekłam do niego: „Ofiaruj mi ten pistolet jako dar brata!"

„Cóż chcesz z nim uczynić, siostro?"

„Chcę się oswoić ze śmiercią".

„Słusznie, siostro. I nasze kobiety muszą się nauczyć, jak się umiera i jak się zabija". I Amulja dał mi pistolet.

Wydawało mi się, jakby blask jego młodzieńczego oblicza opromieniał moje życie przeczuciem nowej jutrzni. Schowałam pistolet. Oby ten podarunek brata był ostatnią ucieczką w mojej biedzie...

A teraz, gdy podwoje matczynej komnaty w mojem kobiecem sercu stanęły otworem, wierzyłam, że zawsze stać będą otwarte. Ale owa droga do zbawienia zamknęła się, gdy pani zajęła miejsce matki i znów ją zawarła. W dzień potem ujrzałam Sandipa i natychmiast szał tańczył w moim mózgu nago i bez pohamowania.

Co to było? Czy to było moje prawdziwe ja? Nie, nigdy! Nigdy przedtem nie znałam we mnie tej okropnej, bezwstydnej kobiety. Zaklinacz wężów przybył i uczynił tak, jakby wyczarowywał tego

węża z fałdów mej szaty, — lecz jego nie było, gdyż przez cały czas był u niego ukryty. Opanował mnie jakiś demon i to, co dziś czynię, jest jego igraszką i zabawą — nic niema ze mną wspólnego.

Ów demon przybył w owym dniu do mnie pod maską boga z swoją czerwoną pochodnią i rzekł: „Jestem twoim krajem. Jestem twoją pochodnią. Jestem dla ciebie kimś więcej, niż ktokolwiek z twoich. *Wande Mataram!*" I złożywszy ręce, odpowiedziałam: „Jesteś moją religją. Jesteś moim niebem. Wszystko inne, co jest moje, musi być porwane falą mojej do ciebie miłości. *Wande Mataram!*

Pięć tysięcy? Niechaj będzie pięć tysięcy! Potrzebujesz ich jutro? Jutro je otrzymasz! W tej szalonej orgji ofiara 5.000 niechaj będzie jakby pianą na puharze, a potem dalej do dzikiej uczty! Niechaj się zachwieje pod naszemi stopami nieruchomy świat, niechaj z oczu naszych tryśnie ogień, niechaj burza zawyje nam w uszach, a postacie rzeczywistości i fantazji niechaj tańczą przed nami w zawrotnej mgle. A potem stoczmy się pijani w przepaść śmierci, — i w jednej chwili zagaśnie wszelki ogień, popiół rozsypie się i nie pozostanie nic.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY.

OPOWIADANIE BIMALI.

XV.

Przez jakiś czas rozmyślałam napróżno, w jaki sposób dostanę pieniądze, gdy niedawno błysnęła nagle w mojej podnieconej fantazji droga, jak wyraźny obraz.

Każdego roku, około święta bogini Kali, mąż mój ofiarowuje mojej bratowej podarunek wartości 6000 rupji, który składa na jej konto w banku w Kalkucie. W tym roku otrzymała ów dar, jak zwyczajnie, ale pieniędzy nie odesłano jeszcze do banku i długo tak będą leżeć w kasie, w kącie małej ubieralni, obok mojej sypialni.

Każdego roku mąż mój zanosi sam pieniądze do banku. Tym razem nie miał sposobności wyjechania do miasta. Czyż nie powinnam widzieć w tem rękę opatrzności? Pieniądze zostały tu, ponieważ potrzebuje ich ojczyzna. — któżby zdołał zabrać ich mu i zanieść do banku? I jakżeż mogłam wahać się, czy je zabrać? Bogini zniszczenia podaje mi swój krwawy puhar i woła: „Daj mi pić, jestem spragniona". Pragnę dać jej moją własną serdeczną krew z owemi 5000 rupji. Wielka matko! Ów, który traci pieniądze, nie odczuje nawet straty, ale mnie doprowadzisz do zguby!

Jakże często przedtem bratową moją nazywałam w duchu złodziejką, ponieważ wyłudzała pieniądze od mego łatwowiernego męża. Po śmierci swego męża odkładała dla siebie rzeczy, które należały do nas. Zwykłam zwracać memu mężowi uwagę, lecz nie mówił nic. Często byłam zła i wołałam: „Jeśli masz ochotę darować, to daruj, ile chcesz, lecz dlaczegóż pozwalasz się okradać?" Opatrzność musiała się wówczas śmiać z moich skarg, gdyż dzisiaj ja kradnę z kasy mego męża to, co należy do mojej bratowej.

Mój mąż zwykł zostawiać w swojej kieszeni klucze, gdy rozbiera się w swej ubieralni zanim idzie spać i zostawia tam swoje ubranie. Wyszukałam klucz od kasy i otworzyłam ją. Zdawało mi się, jakoby lekki szmer musiał obudzić cały świat! Ręce moje i nogi stały się nagle zimne jak lód i drżałam na całem ciele.

W kasie jest szuflada. Otworzywszy ją, znalazłam pieniądze, lecz nie w banknotach, lecz w złotych rulonach. Nie miałam czasu odliczać, co mi było potrzebne. Było dwadzieścia rulonów. Wzięłam wszystkie i zawiązałam na węzeł na jednym końcu mojej sari.

Jakiż to był wielki ciężar! Zdawało mi się, że brzemię kradzieży ciągnie mnie do ziemi i przytłacza moje serce do prochu. Może banknoty byłyby mi mniej przypominały kradzież, lecz było to samo złoto.

Wymknąwszy się z powrotem jak złodziej, zdawało mi się, że mój pokój nie jest więcej moim

własnym. Wszystkie moje czynne prawa do niego znikły przed moją kradzieżą. Poczęłam szeptać do siebie, jakgdybym wypowiadała zaklęcia: „*Wande Mataram, Wande Mataram*, mój kraju, mój złoty kraju, wszystko to złoto jest dla ciebie, dla nikogo więcej!"

Lecz w nocy duch słabnie. Z przymkniętemi oczyma wróciłam przez sypialnię, w której spał mój mąż i wyszłam na otwartą tarasę; tam rzuciłam się wzdłuż na ziemię, przyciskając do piersi węzełek z złotem w mojej sari. Czułam każdy pojedynczy rulon złota i zdawało mi się, jak gdyby każdy z nich uderzał boleśnie moje serce.

Noc stała w milczeniu z podniesionym palcem wskazującym. Odczuwałam mój dom, jako coś oddzielnego od mojej ojczyzny: obrabowałam mój dom, zatem obrabowałam również moją ojczyznę. Przez ów grzech dom mój przestał być moim i również kraj mój stał mi się przez to obcym. Gdybym umarła, żebrząc za mój kraj, nawet bezskutecznie, byłaby to miła bogom ofiara. Ale kradzież nie jest nigdy służbą bożą, — jakżeż mogę składać to złoto w ofierze? Ach, biada mi! Jestem sama skazana na zagładę, czyż muszę również kalać moją ojczyznę mojem grzesznem dotknięciem?

Droga do zwrócenia pieniędzy jest dla mnie zamknięta. Nie mam siły wracać do pokoju, brać jeszcze raz klucz, otwierać jeszcze raz kasę, — zemdlałabym na progu przed drzwiami mego męża. Jedyna droga, która mi pozostaje, to iść prosto naprzód. Nie mam również siły usiąść spokojnie i liczyć pieniądze.

Niechaj pozostaną w swem ukryciu, nie mogę teraz liczyć.

Zimowe niebo było całkiem czyste. Gwiazdy świeciły jasno. Gdybym musiała, myślałam sobie leżąc tak na dworze, ukraść dla moiej ojczyzny wszystkie owe gwiazdy, jedną po drugiej, jak złote monety — owe gwiazdy, które ciemność kryje tak starannie w swem łonie, — wówczas niebo byłoby na wieki pozbawione swego wzroku, noc na wieki osierocona, a kradzież moja obrabowałaby cały świat. Ale czyż to, co właśnie uczyniłam, nie było również rabunkiem dokonanym na całym świecie, — nietylko rabunkiem złota, lecz także zaufania i prawości?

Spędziłam noc, leżąc na tarasie. Gdy wkońcu nastał dzień i byłam pewna, że mój mąż wstał i wyszedł z pokoju, zarzuciwszy szal na głowę, odważyłam się wrócić do mojej sypialni.

Moja bratowa zajęta była podlewaniem roślin. Widząc mnie przechodzącą obok jej werandy, zawołała: „Czy słyszałaś o nowinie, Tszoto Rani?"

Zatrzymałam się, skamieniała ze strachu. Zdawało mi się, jakoby złote rulony wzdymały się wysoko pod szalem. Lękałam, że mogą prysnąć i rozsypać się po ziemi jak dźwięczący deszcz i zdemaskować mnie przed wszystkiemi służącemi jako złodziejkę, która pozbawiła się wszystkiego, kradnąc swoje własne bogactwo.

„Twoja złodziejska banda", mówiła dalej, „posłała anonimowe pismo, grożąc obrabowaniem skarbu".

Stałam cicho, jak złodziej.

„Poradziłam właśnie bratu Nikhilowi, by postarał się o twoją opiekę", mówiła szyderczo. „Odwołaj swoich pachołków, królowo rabusiów! Pragniemy złożyć ofiarę twojemu *Wande Mataram*, jeśli nas tylko zechcesz wyratować. Co to za świat dzisiaj! Ale uwolnijcie na Boga przynajmniej nasz dom od swoich rabunkowych napadów!"

Nie odpowiedziawszy poszłam do mego pokoju. Wetknęłam moją nogę w mieliznę i nie mogłam jej teraz wyciągnąć. Gdybym usiłowała wyjść, zapadłabym się tylko jeszcze głębiej.

Gdyby tylko nadszedł czas, w którym mogłabym wręczyć Sandipowi pieniądze. Nie mogłam dłużej wytrzymać, ciężar jego rozmiażdżał mnie.

Było jeszcze wcześnie, gdy zawiadomiono mnie, że Sandip mnie oczekuje. Nie myślałam dziś o przystrojeniu się. Tak jak stałam, okryta szalem, pospieszyłam do wewnętrznych komnat.

Przestąpiwszy mieszkanie, ujrzałam Sandipa i Amuljȩ siedzących razem. Zdawało mi się, jakoby cała moja godność, cała moja cześć od stóp do głów z sykiem przeleciała przez moje ciało i znikła pod ziemią. Przed oczyma tego chłopca miałam obnażyć największą hańbę kobiety! Czyż to możliwe, iż obaj spotkali się tu, by mówić o moim czynie? Czyż nie pozostał ani strzęp zasłony, któraby okryła mój wstyd?

My kobiety nie zrozumiemy mężczyzn nigdy. Jeśli chcą utorować sobie drogę do celu, nie znaczy to dla nich nic, gdy rozbiją w kawałki serce świata, by

wybrukować nimi drogę, którą pogna lekko ich zwycięski rydwan. Jeśli są oszołomieni twórczym pędem, burzą z rozkoszą to, co stworzył stwórca. Hańbę, która kraje mi serce, nie uraczą nawet swym wzrokiem. Nie odczuwają życia dokoła siebie; całe ich pożądanie zdąża do ich celu. Czemże jestem dla nich, jak nie polnym kwiatem na drodze wylewającego poza swe brzegi strumienia?

I jakąż korzyść przyniesie Sandipowi moja samozagłada? Tylko 5.000 rupji? Czyż nie byłam warta więcej niż 5.000 rupji? Tak, zapewne! Czyż nie nauczyłam się tego sama od Sandipa i czyż nie mogłam w świetle tego poznania gardzić całym światem? Byłam szafarką światła, życia, siły śakti, nieśmiertelności — i w tej wierze, w tej radości przełamałam wszelkie rapory i wybiegłam. Gdyby jeno ktoś utwierdził mnie w tej wierze, śmierć moja stałaby się dla mnie życiem. Nie straciłabym niczego, jakkolwiek odrzuciłam od siebie wszystko.

Czyż mam wierzyć, że to wszystko było kłamstwem? Czyż pochwalny hymn, śpiewany z zapałem na moją cześć, miał mnie wezwać z mego nieba, nie po to, bym ziemię uczyniła niebem, lecz abym samo niebo ściągnęła w proch?

XVI.

„Pieniądze, królowo?" spytał Sandip, patrząc na mnie z naprężeniem.

Również Amulja patrzał na mnie pełen wyczeki-

wania. Kochany chłopak! Chociaż nawet nie jest mym rodzonym bratem, kocham go jak młodszego brata. Przyglądał się mi poczciwą swoją twarzą, jasnym swym wzrokiem, całą swoją niewinną młodością. A ja, kobieta, — z płci jego matki — jakżeż mogłam podawać mu truciznę, ponieważ tylko jej żądał?

„Pieniądze, królowo." Zuchwałe żądanie Sandipa dźwięczało mi w uszach. W poczuciu mego wstydu i gniewu rzuciłabym mu pieniądze na głowę. Zaledwie mogłam rozplątać węzeł mojej sari, tak drżały moje palce. Wkońcu rulony pieniędzy potoczyły się na stół.

Twarz Sandipa sposępniała... Sądził zapewne, że są to rulony srebra... Jakaż wzgarda była w jego spojrzeniu! Jakiż wstręt do mojego niedołęstwa! Zdawało się, że będzie mnie bić! Sądził zapewne, iż przyszłam, aby się z nim targować, ofiarować mu kilka setek jako odstępne za jego żądanie 5.000 rupji. Przez chwilę sądziłam, iż chwyci rulony pieniędzy, wyrzuci przez okno i powie mi, iż nie jest żebrakiem, lecz królem, który żąda należnego haraczu.

„Czy to wszystko?" spytał Amulja głosem tak nadmiernego współczucia, iż chciałam wybuchnąć głośnym płaczem. Zdławiłam siłą moje serce i skinęłam jeno milcząco głową.

Sandip milczał. Nie ruszał rulonów, ani nie wydał żadnego dźwięku.

Upokorzenie moje zraniło chłopcu serce. Z udawanym zapałem zawołał nagle: „To cała moc. Mamy

więc poddostatkiem. Wyratowała nas Pani". I rozerwał jeden z rulonów.

Zalśniły złote monety. I w tej samej chwili znikła również z oblicza Sandipa ponura maska. Promieniał zachwytem. Nie mogąc ukryć nagłą przemianę swego uczucia, zerwał się i podbiegł do mnie. Czego chciał, nie wiem. Rzuciłam przelotne spojrzenie na Amulję — barwa znikła z jego oblicza, jak od uderzenia biczem. Potem całą siłą odtrąciłam od siebie Sandipa. Zatoczywszy się w tył, uderzył głową o róg marmurowego stolika i upadł na ziemię. Leżał tak nieruchomo przez chwilę. Wyczerpana wysiłkiem, upadłam na moje krzesło.

Oblicze Amulji zajaśniało radośnie. Nie odwrócił się nawet do Sandipa, lecz podszedł prosto do mnie, z szacunkiem dotknął moich stóp i usiadł potem przedemną, na ziemi. Ach, mój mały bracie, moje dziecko! Ten twój objaw czci jest ostatnim dotknięciem nieba, którego zaznaję w tym opustoszałym moim świecie! Nie mogłam dłużej powstrzymać się i łzy moje popłynęły gwałtownie. Zakryłam oczy końcem mojej sari, cisnąc ją obiema rękami do twarzy i łkałam, łkałam. I za każdym razem, gdy nogi moje uczuły delikatne jego dotknięcie, którem starał się pocieszyć mnie, łzy moje tryskały na nowo.

Oprzytomniawszy po chwili, spojrzałam i zobaczyłam Sandipa stojącego znów obok stołu i zawiarującego w swoją chusteczkę złote monety, jak gdyby się nic nie stało. Amulja powstał z swego

miejsca u moich nóg; wilgotne jego oczy błyszczały.

Sandip spojrzał na mnie całkiem spokojnie i zauważył: „Jest sześć tysięcy".

„Pocóż nam tak wiele, Sandipie Babu?" zawołał Amulja. „Potrzeba nam ogółem do naszej roboty tylko trzy tysiące pięćset".

„Potrzeba nam pieniędzy nie tylko do tego jednego celu", odparł Sandip. „Potrzebujemy wszystko, co możemy otrzymać".

„Możliwe", rzekł Amulja". Ale na przyszłość zobowiązuję się dostarczyć Panu wszystko sam, co Pan potrzebuje. Z tych pieniędzy proszę niech Pan odda pozostałe 2,500 z powrotem maharani, Sandipie Babu!"

Sandip spojrzał na mnie pytająco.

„Nie, nie", zawołałam. „Nie dotknę się więcej tych pieniędzy. Róbcie z nimi, co chcecie!"

Sandip spojrzał na Amuljȩ. „Czyż mężczyzna potrafi tak dać, jak kobieta?" rzekł.

„Jesteście boginiami!" potwierdził Amulja z zapałem.

„My mężczyźni możemy dać najwyżej to, co zdobędziemy naszą siłą", ciągnął Sandip. „Ale kobiety dają siebie. Rodzą z swego ciała i swoim własnym ciałem karmią. Takie dary są jedynie prawdziwymi darami". Potem zwrócił się do mnie. „Królowo", rzekł, „jeśliby to, co mi Pani dała, było tylko pieniądzem, nie ruszyłbym tego. Ale Pani dała nam to, co ma większe dla Pani znaczenie, niż samo życie".

W człowieku muszą być dwie różne istoty. Jedna we mnie dostrzega, że Sandip usiłuje mnie łudzić; inna pragnie być chętnie oszukiwaną. Sandip posiada siłę, lecz nie posiada żadnej moralnej siły. Ta sama gwałtowność, która wzbudza życie, miażdży go równocześnie. Strzały jego nie chybiają nigdy swego celu, jak strzały bogów, ale są zatrute, jak strzały złych duchów.

Chusteczka Sandipa nie wystarczała na zawinięcie tych wszystkich złotówek. „Królowo", spytał, „czy nie może mi Pani dać drugiej?"

Gdy mu wręczyłam moją, przycisnął ją z czcią do swego czoła, a potem ukląkł nagle przedemną. „Bogini!" zawołał, „chciałem okazać Pani mój szacunek, zbliżywszy się do niej, lecz Pani odepchnęła mnie od siebie i rzuciła mnie w proch. Odmowę Pani przyjmuję jako djadem, którym przystrajam moje czoło". I wskazał na miejsce, w którem zranił się, upadając na ziemię.

Czyli go źle zrozumiałam? Czyż to możliwe, że wyciągnięte jego dłonie chciały dotknąć moich nóg? Lecz było to pewne, że również Amulja widział namiętność gorejącą z jego oczu i z jego twarzy. Jednak Sandip jest takim mistrzem w owej sztuce trawestowania swej pochwalnej pieśni na muzykę, iż rozsądek mój milczy; tracę chęć oglądania prawdy; wzrok mój jest zamglony, jak wzrok palacza opium. I oto wkońcu oddał mi cios, który mu zadałam, znacznie dotkliwiej, gdyż rana na jego czole zraniła moje serce.

Gdy Sandip powstał, wydawało mi się, jakoby kradzież moja nabrała godności i jakoby świecące na stole złoto odpędzało swym uśmiechem wszelką trwogę przed hańbą i wszelkie wyrzuty sumienia.

Podobnie jak ja został również pozyskany Amulja. Miłość jego do Sandipa, która na chwilę ucierpiała, rozgorzała na nowo. I ołtarz jego miłości napełnił się znowu ofiarnemi darami dla Sandipa i dla mnie. Dziecięcy jego uśmiech świecił z jego oczu, jak jasne światło porannej gwiazdy.

I wówczas rozbłysnął również jaśniej płomień mojego grzechu. Gdy Amulja spojrzał mi w oblicze, podniósł na powitanie złożone ręce i zawołał: „*Wande Mataram!*“ Nie mogę oczekiwać, by mnie zawsze otaczał podobny szacunek, a jednak jest to jedyny środek utrzymania przy życiu mojej godności.

Nie mogę więcej przestąpić mojej sypialni. Wydaje mi się, jakgdyby łóżko groźnie wyciągało ku mnie swą rękę, jakoby kasa patrzyła na mnie, marszcząc groźnie czoło. Chciałabym pozbyć się tego dręczącego mnie wiecznie wyrzutu. Chciałabym biec nieustannie do Sandipa, by słuchać jego pochwał. Jest jedynie tylko ów mały ołtarz, wznoszący się z zalewających wszystko fal, którego chciałabym kurczowo trzymać się dzień i noc; gdyż, dokąd zresztą chcę pójść, wszędzie czeka mnie pustka.

Pochwały, pochwały, potrzeba mi nieustannej pochwały. Nie mogę żyć, dopóki mój puhar choćby przez chwilę jest próżny. Dlatego potrzebuję dziś najbardziej Sandipa, z wszystkiego na całym świecie, jako jedynej wartości mego życia.

XVII.

Nie mogę obecnie przysiąść się do mego męża, gdy przychodzi na obiady. A jednak, gdy pozostawiam go samego, odczuwam tak wielki wstyd, iż nawet tego nie mogę dokonać. Dlatego przysiadam się tak, iż nie możemy sobie patrzeć w twarz. Tak siedziałam niedawno, gdy weszła Bara Rani i przysiadła się do nas.

„Wszystko to dobrze i pięknie, bracie, że śmiejesz się z owych listów z pogróżkami“ rzekła. „Ale mnie niepokoją one bardzo. Czy wysłałeś ofiarowane mi pieniądze do banku w Kalkucie?“

„Nie, nie miałem jeszcze czasu załatwić“, odparł mój mąż.

„Jesteś tak lekkomyślny, kochany bracie, powinieneś być bardziej ostrożnym“.....

„Ależ są one w ubieralni, w żelaznej kasie“, rzekł mój mąż z spokojnym uśmiechem,

„A jeśli się tam dostaną? Nie można nigdy wiedzieć!“

„Jeśli dostaną się aż tam, to mogą całkiem dobrze zabrać również ciebie!“

„Nie lękam się, nikt się nie pokusi o moją biedną osobę. Prawdziwa pokusa tkwi w twoim pokoju! Ale żart na bok, nie powinieneś tak chować w pokoju pieniądze“.

„Za kilka dni wyśle się rządowe dochody do Kalkuty. Wówczas poszlę pieniądze do banku pod tą samą strażą“.

„Dobrze. Lecz nie zapomnij o tem całkiem, jesteś tak roztargniony".

„Nawet jeśli pieniądze zginą, jak długo znajdują się w moim pokoju, strata nie dotknie przecież ciebie, siostro Rani."

„Gniewasz mnie, bracie, mówiąc tak. Jak gdybym się niepokoiła jedynie dlatego, ponieważ pieniądze należą do mnie! Jeśli stracisz swe pieniądze, czy sądziż, że jest mi to obojętne? Chociaż nawet los zabrał mi wszystko, to jednak nie pozbawił mnie poczucia wartości najdroższego brata, jaki kiedykolwiek istniał od czasu Lakszmana[1].

„Cóżto, Tszoto Rani, czy przemieniłaś się w kamień? Nie powiedziałaś jeszcze ani słowa. Wiesz, bracie, nasza Tszota Rani sądzi, że pragnę ci jeno pochlebiać. Jeśliby o to chodziło, zrobiłabym to, lecz wiem, że u mego kochanego brata nie jest to potrzebne".

Tak gwarzyła Bara Rani nie zapominając o tem, by zwracać uwagę swego brata na ten lub ów smakołyk między potrawami, które podawano do stołu. W mojej głowie wirowało. Przesilenie zbliżało się szybko. Pieniądze należało w jakiś sposób położyć na dawne miejsce. I gdy tak męczyłam mój umysł, co się może stać i w jaki sposób, nieustanne paplanie mojej bratowej dokuczało mi coraz nieznośniej.

[1] Brat Ramy, bohatera Ramajany, którego wierność dla swego brata i jego małżonki Sity, stała się przysłowiową.

I co gorsze, że nic nie uszło bystremu wzrokowi mojej bratowej. Nieustannie spoglądała na mnie badawczo z pod oka. Co mogła czytać na mojej twarzy, nie wiem, lecz zdawało mi się, że wszystko jest na niej zbyt wyraźnie wyryte.

Potem zrobiłam coś szalonego. Zmusiłam się do lekkiego, wesołego śmiechu i rzekłam: „Widzę, że całe podejrzenie Bara Rani zwraca się przeciw mnie — jej trwoga przed złodziejami i rabusiami jest tylko udawaniem".

Bara Rani uśmiechnęła się złośliwie. „Masz słuszność, siostro, kradzież kobiety jest najbardziej tajemniczą z wszystkich kradzieży. Ale jak potrafisz ujść mojej czujności? Czyż jestem mężczyzną, iż mogłabyś mnie oszukać?"

„Jeśli tak obawiasz się mnie", odparłam, „to pozwól, że dam ci wszystko, co posiadam, jako zastaw do przechowania. Gdy stracisz coś przezemnie, możesz sobie powetować stratę".

„Słuchaj, co za pomysł", zwróciła się z śmiechem do mojego męża. „Czyż nie wie ona, że są straty, które nie dadzą się powetować, ani na tym, ani na tamtym świecie?"

Mąż mój nie mieszał się do naszej sprzeczki. Skończywszy, wstał i odszedł do zewnętrznych komnat, gdyż obecnie nie odbywa już swego popołudniowego spoczynku w naszym pokoju.

Wszystkie moje cenniejsze klejnoty były w skarbcu, pod opieką skarbnika. Lecz nawet to, co miałam przy sobie, miało wartość trzydziestu do czterdziestu ty-

sięcy rupji. Wzięłam moją szkatułkę z klejnotami i zaniosłam ją Bara Rani. „Zostawiam te klejnoty u ciebie, siostro", rzekłam, podając jej otwartą szkatułkę. „Teraz nie potrzebujesz martwić się".

Bara Rani uczyniła ruch, jakby chciała powiedzieć, że doprowadzam ją do rozpaczy. „Nie wiem, co mam o tobie sądzić, Tszoto Rani", rzekła. „Czyż sądzisz rzeczywiście, iż nie śpię z obawy, że mnie obrabujesz?"

„Cóż w tem złego, jeśli mi nie ufasz? Czyż może ktoś powiedzieć, że zna kogoś na tym świecie?"

„Czyż chcesz mnie zawstydzić, obdarzając mnie swojem zaufaniem? Nie, nie! Mam już dość pilnowania własnych klejnotów, abym mogła pilnować jeszcze twoich. Chodź, bądź rozsądna i zabierz je, tyle służących kręci się dokoła".

Wyszłam z pokoju mojej bratowej prosto do mieszkania i kazałam przywołać Amulję. Z nim przyszedł również Sandip. Spieszyłam się i powiedziałam do Sandipa: „Wybaczy Pan, ale muszę pomówić parę słów z Amulją. Zechce Pan..."

Sandip uśmiechnął się rozgniewany. „A więc jestem niepotrzebny, gdy Pani rozmawia z Amulją? Jeśli postanowiła Pani obrzydzić mi go, muszę się temu bezwzględnie poddać, ponieważ nie potrafię go powstrzymać".

Nie odpowiedziałam nic, lecz czekałam w milczeniu, aż pójdzie.

„Dobrze więc", ciągnął dalej Sandip. „Pani ma z Amulją swoje *tête-à-tête*. Ale musi Pani udzielić

również mnie, inaczej będzie to dla mnie poniżeniem. Potrafię znieść wszystko, tylko nie poniżenie. Muszę mieć zawsze główny udział. Dlatego też jestem nieustannie z opatrznością w niezgodzie. Nie zniosę poniżenia nawet od Pani".

Rzuciwszy na Amulję zabójcze spojrzenie, Sandip opuścił pokój.

„Amuljo, mój kochany, dobry, mały bracie, musisz coś dla mnie uczynić", powiedziałam.

„Cokolwiek mi tylko polecisz, siostro, dam za to moje życie".

Wyjęłam szkatułkę z klejnotami z fałdów mojego szalu i postawiłam ją przed nim. „Sprzedaj lub zastaw to", powiedziałam i dostarcz mi jak najszybciej 6.000 rupji!"

„Nie, nie, siostro Rani", rzekł Amulja, dotknięty do żywego. „Niech Pani zatrzyma te klejnoty! Dostarczę Pani i tak 6.000 rupji".

„Och, nie bądź naiwny", zawołałam z niecierpliwością. „Niema czasu na jakieś fantazje. Weź ową szkatułkę, jedź nocnym pociągiem do Kalkuty i przywieź mi pieniądze stanowczo do pozajutra".

Amulja wyjął z szkatułki djamentowy naszyjnik, podniósł go do światła i wrzucił go z powrotem z ponurą złością.

„Wiem", rzekłam do niego, „że nigdy nie otrzymasz za owe djamenty prawdziwej ceny, dlatego daję ci klejnoty wartości około 30.000 rupji. Nie szkodzi, jeśli sprzedasz wszystko, ale muszę mieć bezwarunkowo 6.000".

„Czy wie Pani, siostro Rani", rzekł Amulja, „iż sprzeczałem się z Sandipem Babu z powodu owych 6.000 rupji, które przyjął od Pani? Nie potrafię Pani wytłumaczyć, jak bardzo zawstydzała mnie owa sprawa. Ale Sandip Babu twierdził, iż nawet uczucie wstydu musimy ofiarować naszej ojczyźnie. Możliwe. Ale co do tego, to inna sprawa. Nie lękam się umrzeć za ojczyznę, zabijać dla ojczyzny, — tyle mam w sobie siły śakti. Nie mogę jednak pokonać wstydu, iż przyjąłem od Pani pieniądze. W tem wyprzedza mnie Sandip. Nie zna skruchy ani wyrzutów sumienia. Powiada, iż musimy wyzwolić się od myśli, iż pieniądze należą do tego, w którego kasie przypadkowo znajdują się, — jeśli nie umiemy tego, gdzież jest czarodziejska siła *Wande Mataram'u*?"

Mówiąc to, Amulja wpadł w coraz większy zapał. Zapala się zawsze, gdy go słucham. „Gita uczy nas", ciągnął dalej, „że nikt nie może zabić duszy. Zabijanie jest pustem słowem. To samo jest z rabowaniem pieniędzy. Do kogo należą pieniądze? Nikt ich nie stworzył. Nikt nie może ich zabrać z sobą, opuszczając to życie, gdyż nie są one częścią jego duszy. Dziś należą do mnie, jutro do mego syna, następnego dnia do jego wierzyciela. Ponieważ więc pieniądze nie należą do nikogo, dlaczegoż gani się naszych patrjotów, że użytkują ich sami, zamiast zostawiać jakiemuś niegodnemu synowi ojczyzny?"

Gdy słyszę słowa Sandipa z ust tego chłopca, drżę na całem ciele. Mogą zaklinacze wężów bawić się z wężami; gdy stanie się im krzywda, muszą być

na to przygotowani. Ale ci chłopcy są tak niewinni. Cały świat wyciąga nad nimi błogosławiące swe dłonie, by ich ochronić. Bawią się z wężem, którego natury nie znają, a gdy widzimy, jak ufnie i z uśmiechem zbliżają swe dłonie do ich jadowitych zębów, poznajemy, jak strasznie niebezpiecznym jest wąż. Sandip ma słuszność, podejrzywając mnie, że nawet gdybym sama przyjęła śmierć z jego ręki, wydarłabym od niego i uratowałabym tego chłopca.

„A więc patrjoci chcą zabrać pieniądze dla własnego użytku?" spytałam z uśmiechem.

„Zapewne!" rzekł dumnie Amulja. „Czyż nie są oni naszymi królami? Ubóstwo byłoby ujmą dla ich potęgi. Czy wie Pani, iż nalegamy usilnie, by Sandip Babu jeździł pierwszą klasą? Nie schodzi on nigdy z drogi królewskiej czci, lecz czyni to nie dla siebie, lecz dla nas wszystkich. Najpotężniejszą bronią tych, którzy władną światem, powiada Sandip Babu, jest urok ich zewnętrznego przepychu. Ślubowanie ubóstwa byłoby dla nich nietylko kastowością, ale samobójstwem".

W tej chwili wszedł bez szmeru Sandip. Spiesznie rzuciłam mój szal na szkatułkę z klejnotami.

„Czy *tête-à-tête* jeszcze nie skończone?" spytał w szyderczym tonie.

„Tak, jesteśmy gotowi", rzekł Amulja, uniewinniając się. „Nic szczególnego".

„Nie, Amuljo", rzekłam, „nie jesteśmy jeszcze gotowi".

„Zatem Sandip musi jeszcze raz odejść?" rzekł Sandip.

„Proszę".

„A co do jego powrotu..."

„Dzisiaj nie. Nie mam czasu".

„Ach, tak!" rzekł Sandip z błyszczącemi oczyma. „Niema czasu do stracenia! Tylko na *tête-à-tête*".

Zazdrość! Gdy płeć silniejsza okazuje słabość, wówczas słabsza płeć nie może się powstrzymać od uderzenia w zwycięskie fanfary. Dlatego powtórzyłam z naciskiem: „Nie mam rzeczywiście czasu".

Sandip wyszedł z ponurem obliczem. Amulja był całkiem zmieszany. „Siostro Rani", rzekł błagalnym głosem, „Sandip Babu jest zły".

„Nie ma ani powodu ani prawa do gniewu", rzekłam gwałtownie. „Pozwól mi ostrzedz cię przed jednem. Nie śmiesz mówić nic Sandipowi Babu o sprzedaży mych klejnotów — pod żadnym warunkiem!"

„Nie, nie uczynię tego".

„A zatem nie czekaj dłużej! Musisz jeszcze dzisiaj wyjechać nocnym pociągiem".

Amulja i ja opuściliśmy razem pokój. Gdyśmy wychodzili na werandę, stał na niej Sandip. Zauważyłam, że śledził Amulję. Aby mu przeszkodzić, musiałam go zaanektować.

„Cóż to chciałeś mi powiedzieć, Sandipie Babu?" spytałam.

„Nie mam nic szczególnego do powiedzenia — chciałem tylko trochę porozmawiać. A ponieważ niema Pani czasu..."

„Chwilkę czasu mam jeszcze dla Pana".

Tymczasem Amulja odszedł. Gdyśmy weszli, spytał Sandip:

„Jaką to szkatułkę wziął Amulja?"

A więc szkatułka nie uszła jego uwadze.

Uparłam się. „Gdybym mogła to Panu powiedzieć, oddałabym ją Amulji w pańskiej obecności".

„Sądzi więc Pani, że Amulja mi nie powie?"

„Nie, nie uczyni tego".

Sandip nie mógł ukryć dłużej swego gniewu. „Sądzi Pani, że mnie Pani zwycięży?" ciągnął dalej. „Nigdy do tego nie dojdzie. Ten Amulja umarłby z radością, gdybym chciał go tylko rozdeptać mojemi nogami. Jak długo żyję, nie zniosę nigdy, aby Pani rzuciła go do swoich nóg".

O, słabi! Sandip zrozumiał wkońcu, że jest wobec mnie słabym. Stąd ów nagły wybuch gniewu. Przejrzał, że nie dokona niczego z swą siłą przeciw mocy, którą posiadam. Jednem spojrzeniem mogę rozbić najsilniejsze jego obwarowania. Teraz z konieczności musi się uciekać do hałasowania. Odpowiedziałam tylko pogardliwym uśmiechem. Nareszcie wydźwignęłam się ponad niego. Nie wolno mi stracić tej wyższości, nie wolno mi zstąpić znów niżej. W całem mojem poniżeniu musi mi pozostać owa drobna resztka godności!

„Wiem", rzekł Sandip po chwili, „że była to szkatułka Pani".

„Może Pan przypuszczać, cokolwiek Pan chce", powiedziałam, „odemnie nie dowie się Pan niczego".

„A zatem Amulji ufa Pani bardziej niż mnie? Czy Pani nie wie, że ów chłopak jest cieniem mego cienia, echem mego echa? Że nie jest niczem, jeśli ja przy nim nie stoję?"

„Tam, gdzie Amulja nie jest echem Pana, jest sobą samym. I temu właśnie Amulji ufam bardziej, niż pańskiemu echu!"

„Nie powinna Pani zapominać, że jest Pani związana przyrzeczeniem, iż ofiaruje Pani wszystkie swe klejnoty dla służby ojczyźnie. Ofiara ta została już w istocie złożona".

„Klejnoty, które dają mi bogowie, niechaj ofiarowane będą bogom. Ale jakżeż mogę złożyć bogom te, które mi skradziono?"

„Nie pomogą Pani nic wszelkie wysiłki wymknięcia się mi w ten sposób. Teraz potrzeba bezwzględnej pracy. Gdy praca ta będzie ukończona może Pani używać dowolnie wszystkich swych kobiecych podstępów, a ja Pani w tem pomogę".

Od owej chwili, gdy skradłam memu mężowi pieniądze i dałam je Sandipowi, ucichła między nami pieśń. Przez to, iż odrzuciłam siebie, zniszczyłam nietylko moją własną wartość, lecz również moc Sandipa ucierpiała na swej szerokiej swobodzie. Nie można ćwiczyć swej sztuki strzelania na jednym przedmiocie, stojącym w najbliższej odległości. I tak stracił Sandip swoją bohaterską powagę. Mowy jego przybrały ton małostkowego szukania sprzeczki.

Sandip zwrócił swe błyszczące oczy prosto na mnie, aż rozgorzały, jak spragnione południowe niebo.

Kilka razy uczynił ruch, jakgdyby chciał zerwać się i rzucić się na mnie. Doznałam zawrotu głowy, pulsa moje biły, w uszach szumiało mi, czułam, że gdybym teraz została, byłabym stracona. Zebrawszy wszystkie moje siły, zerwałam się z krzesła i pobiegłam do drzwi.

Z suchego gardła Sandipa wydarł się zgłuszony krzyk: „Gdzież chcesz uciekać, królowo?" I w tej chwili skoczył, chcąc mnie zatrzymać. Słysząc jednak kroki za drzwiami, cofnął się szybko i upadł na krzesło. Stałam cicho przed pułką z książkami i oglądałam tytuły.

Gdy wszedł mój mąż, zawołał Sandip: „Powiedz mi, Nikhilu, czy nie masz tam wśród książek Browninga? Opowiadałem właśnie naszej królowej pszczół o naszym uniwersyteckim klubie. Czy pamiętasz jeszcze, jak sprzeczaliśmy się o tłumaczenie tych wierszy Browninga? Czy nie przypominasz już sobie tego?

Dlaczegoż na mnie spojrzała
Jeśli już nie mam jej kochać?
Czyż nie ma dość mężczyzn,
— Gdyż tak się w istocie nazywają —
Którzy nie wiedzą już nazajutrz,
Jeśli im dziś objawiła
Całą swoją duszę!
Lecz, że ja jestem inny,
Wiedziała, gdy oczy jej
Ślizgając się po owym tłumie,
Zatrzymały się nagle na mnie![1]

[1]) Pierwsza strofa z poematu „*Christina*" (Dramatic Lyrics)

Przełożyłem to jakoś na język bengalski, ale rezultat nie był trwałym nabytkiem bengalskiej literatury. Sądziłem niegdyś całkiem poważnie, że mogę zostać poetą, ale opatrzność ochroniła mnie łaskawie przed takiem nieszczęściem. Czy przypominasz sobie starego Dakszinę? Gdyby nie został inspektorem salin, byłby poetą. Wiem jeszcze dziś, jak on... Nie, królowo pszczół, niema poco przeszukiwać książek. Nikhil przestał czytać poezje od czasu swego małżeństwa, — może nie odczuwa już potrzeby poezji. Ale sądzę, że „gorączka pisania wierszy", jak powiada sanskryt, znowu mnie napada".

„Przyszedłem, aby cię ostrzedz, Sandipie", rzekł mój mąż.

„Przed jaką to gorączką?"

Mój mąż nie zważał na tę próbę żartowania.

„Od pewnego czasu", ciągnął dalej, „przystąpili do działania mahometańscy kapłani, którzy podburzają tutejszych muzułmanów. Wszyscy są rozjątrzeni na ciebie i każdej chwili mogą cię zaatakować".

„Czy przychodzisz, aby mi doradzać ucieczkę?"

„Przychodzę, aby cię powiadomić, a nie udzielać ci rady".

„Gdyby te posiadłości należały do mnie, wówczas ostrzeżenia tego potrzebowaliby ci kapłani. Jeślibyś ty, miast mnie przerażać, okazał im próbę twej energji, byłoby to bardziej godne mnie i ciebie. Czy wiesz, że słabość twoja zaraża również sąsiednich zemindarów?"

„Nie udzielałem ci mej rady, Sandipie. Pragnąłbym więc, abyś swoją zachował dla siebie. Jest ona przytem zupełnie zbyteczna. I jeszcze coś innego chciałbym ci powiedzieć. Ty i twoi zwolennicy uciskali skrycie i dręczyli moich ludzi. Nie mogę tego dłużej znieść. Dlatego jestem zmuszony prosić cię, abyć opuścił mój obszar".

„Z obawy przed muzułmanami, czy też pragniesz napędzić mi jeszcze innego strachu?"

„Istnieje pewna obawa, której nie znają jedynie tchórzliwi. W imieniu tej obawy powiadam ci, Sandipie, że musisz odejść. Za pięć dni wyjadę do Kalkuty. Chciałbym, abyś mi towarzyszył. Możesz naturalnie mieszkać tam w moim domu, nie sprzeciwiam się temu".

„Dobrze, więc mam jeszcze pięć dni czasu. Tymczasem, królowo pszczół, której ul muszę teraz opuścić, pragnę Pani zanucić moją pożegnalną pieśń. O, ty poeto współczesnej Bengalji! Otwórz mi szeroko swoje wrota i pozwól mi plądrować twoje wiersze! Właściwie ty jesteś złodziejem, gdyż to moja pieśń, którą sobie przywłaszczyłeś, — ale niechaj nosi twoje imię, należy przecież do mnie". I zanucił swym szorstkim, nieco niepewnym, basowym głosem pewną pieśń podług Bhairavi:

Wśród wiosny twego królestwa, ukochana,
Goniły się w nieskończonej igraszce spotkanie i rozłąka,
A kwiaty zakwitały na śladzie dawnych,
które więdły i umierały w cieniu.

Wśród wiosny twego królestwa, ukochana,
Każde z tobą spotkanie wydzwaniało pieśń dziękczynienia.

Ale czyż moje z tobą pożegnanie niema ci ofiarować daru?
Delikatny kwiat nadziei, który pielęgnowałem skrycie
w cieniu twego kwiatowego ogródka:
Niechaj zimny dreszcz czerwcowego deszczu
Ukoi słodko żar twego lipca!

Śmiałość jego nie zna granic, — jest nieosłonięta i naga jak ogień. Nie można jej wstrzymać, podobnie jak nie można powstrzymać uderzenia piorunu. Błyskawica zapala się nagle, szydząc z wszelkiego oporu.

Opuściłam pokój. Gdy szłam przez werandę do wewnętrznych komnat, stanął nagle przedemną Amulja.

„Nie obawiaj się, siostro Rani", rzekł. „Odjeżdżam dziś wieczorem i nie wrócę bez rezultatu".

„Amulja", powiedziałam, patrząc mocno w jego płonące zapałem, młode oblicze, „nie lękam się o siebie, lecz niechaj nigdy nie przyjdzie do tego, bym się nie miała już obawiać o ciebie".

Amulja odwrócił się, by odejść, lecz zanim znikł mi z oczu, przywołałam go z powrotem i spytałam: „Czy masz matkę, Amuljo?"

„Tak".

„A siostrę?"

„Nie, jestem jedynem dzieckiem mej matki. Ojciec mój umarł, gdy byłem jeszcze całkiem mały".

„Wróć zatem do swojej matki, Amuljo!"

„Ale, siostro Rani, teraz mam obydwie, matkę i siostrę".

„Przyjdź zatem dziś wieczorem, zanim odjedziesz, Amuljo, i wieczerzaj ze mną!"

„Na to nie będzie czasu. Pozwól mi Pani wziąść

z sobą na drogę nieco jedzenia, które uświęciłaś swojem dotknięciem!"

„A co lubisz najbardziej, Amuljo?"

„Gdybym był u mojej matki, upiekłaby mi dużo placków. Upiecz dla mnie kilka własnemi rękoma, siostro Rani!"

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY.

OPOWIADANIE NIKHILA.

XII.

Słyszałem od mojego nauczyciela, że Sandip ma działać wspólnie z Hariszem Kundu i że się ma odbyć wielka uroczystość ku czci niszczącej demonów bogini. Harisz Kundu wymusił na swoich dzierżawcach potrzebne do tego środki. Uczeni bramani Kaviratna i Bidjavagisz mieli polecenie by ułożyli artystyczny dwuznaczny hymn.

Mój nauczyciel miał właśnie z tego powodu walkę na słowa z Sandipem. „Również u bogów istnieje rozwój", rzekł Sandip. „Wnuk musi przekształcić podług własnego smaku bogów, których stworzył jego dziad, inaczej zostanie ateistą. Mojem posłannictwem jest przystosowanie starych bóstw do nowego czasu. Urodziłem się na wyzwoliciela bogów, uwalniającego ich od jarzma przeszłości".

Widziałem od czasu naszej młodości, jakim kuglarzem idei jest Sandip. Nie zajmuje się odkrywaniem prawdy, lecz cieszy się, jeśli może zaprawiać na niej swój dowcip. Gdyby urodził się między dzikimi Afryki, spędziłby miłe chwile na wynajdywaniu różnych argumentów, aby dowieść, że kanibalizm jest najlepszym środkiem do zbudowania prawdziwej

wspólności między ludźmi. Ale ci, którzy trudnią się oszustwem, oszukują wkońcu samych siebie i jestem mocno o tem przekonany, że ilekroć Sandip wymyśli nowy fałszywy wniosek, wmawia w siebie, iż znalazł prawdę, jak dalece nawet wnioski jego sprzeczają się z sobą.

W każdym razie nie dam się nakłonić do tego, abym pozwalał na popieranie fabrykacji tych oszałamiających środków w moim kraju. Młodzi ludzie gotowi do usług swojej ojczyźnie, nie powinni przyzwyczajać się do oszołomień. Ktokolwiek dąży do spełnienia dzieła zapomocą oszałamiających środków, grzeszy względem ich duszy.

Byłem zmuszony powiedzieć Sandipowi w oczach Bimali, że musi odejść. Może oboje przypiszą mi fałszywe motywy. Lecz ja muszę się uwolnić, gdybym nawet był źle zrozumiany z trwogi. Niechaj mnie nawet źle zrozumie Bimala...

Coraz więcej mahometańskich kapłanów przechodzi z Dacca. Muzułmani na naszym obszarze nabrali zczasem takiego samego wstrętu do zabijania krów, jak Hindusi. Ale teraz zdarzają się tu i tam wypadki, iż zabijają krowy. Słyszałem najpierw, o tem od kilku moich mahometańskich dzierżawców, którzy wyrażali się o tem ze wstrętem. Przekonałem się, że popadliśmy tutaj w ciężkie położenie. Religijne ich powody były dotąd jeno pozorem, ale pozór ów stanie się prawdziwym fanatyzmem, skoro natrafią na opór. W tem właśnie objawia się przenikliwość tych środków.

Kazałem przywołać kilku z moich głównych dzierżawców, którzy byli Hindusami i starałem się przedstawić im całą sprawę w właściwem świetle. „Możemy sami trzymać się niewzruszenie naszych przekonań", powiedziałem, „lecz nie mamy mocy nad przekonaniami drugich. Jeśli nawet wielu z nas należy do religji Wisznu, mimo to przecież wierzący wśród nas w śakti składają swoje ofiary ze zwierząt. Przeciw temu nie da się nic zrobić. I tak samo musimy również ustąpić Mahometanom. Dlatego proszę was, powstrzymajcie się od wszelkich gwałtów!"

„Maharadżo" odpowiedzieli, „już tak dawno nie słyszano o tak wielkiej zbrodni".

„Pochodzi to stąd", powiedziałem, „ponieważ wstrzymywali się od tego z własnej chęci. Zachowujmy się więc teraz tak, aby sami zaprzestali tego. Jeśli jednak złamiemy spokój, nie skłonimy ich do tego".

„Nie, Maharadżo", nalegali, „owe dobre, stare czasy minęły. Zbrodnia ta nie ustanie, jeśli nie stłumi jej Pan silną dłonią".

„Ucisk", odrzekłem, „nie tylko nie zdoła przeszkodzić zabijaniu krów; może doprowadzić do tego, iż zabijać się będzie także ludzi".

Jeden z nich uczęszczał do angielskiej szkoły. Nauczył się powtarzać ostatnie słowa dnia. „Nie jest to tylko kwestją surowego przestrzegania wiary", zauważył. „Nasz kraj jest zasadniczo rolniczym, a krowy są..."

„Bawoły w tym kraju", przerwałem mu, „dają

również mleko i używane są do pługa. I jak długo wyprawiamy w naszych świątyniach szalone tańce z odrąbanemi głowami bawołów na ramionach, zbryzgani ich krwią, religja będzie z nas drwić, jeśli sprzeczać się będziemy z mahometanami w jej imieniu, a w sprzeczce o prawdę, jedyną prawdą zostanie sama sprzeczka. Jeśli dla ofiarnego noża świętą ma być tylko krowa, a nie bawół, to jest to ślepe przestrzeganie służby, a nie religja".

„Lecz czy nie zauważa Pan, maharadżo, co jest wszystkiego przyczyną?" ciągnął dalej wykształcony po angielsku dzierżawca. „Było to jedynie dlatego możliwem, ponieważ mahometanin czuje się pewny, nawet wtedy, gdy łamie ustawę. Czy nie słyszał Pan o wypadku z Pantszem?"

„Dlaczegóż można", spytałem „używać w ten sposób mahometan przeciwko nam? Czyż nie doprowadziliśmy ich do tego sami naszą niecierpliwością? W ten sposób karze nas teraz opatrzność, gdyż miara naszego grzechu przebrała się i spadnie teraz na nas".

„Dobrze więc, jeśli tak jest, niechaj na nas spadnie. Ale przyjdzie zemsta. Widzimy, że pogrzebane jest to, co tworzyło największą siłę naszej zwierzchności, ich wierność względem własnych ich przepisów. Niegdyś byli prawdziwymi królami, którzy wykonywali prawo; teraz sami są gwałcicielami prawa, a przeto nie lepszymi od rabusiów. Historja może wyrokować inaczej; ale serce nasze zawsze tak będzie ich sądzić..."

Potwarze, na mnie rozszerzane przez gazety, czynią mnie osławionym. Słyszę, że na miejscu spalenia Tszakravarta w dole nad rzeką, spalono mój portret z całą uroczystością i wśród wielkiego zapału i że przygotowane są inne obelgi. Powodem tego było to, iż wezwali mnie, abym wziął udział jako akcjonarjusz w założeniu tkalni wełny. Musiałem im oświadczyć, że nie obawiam się tak bardzo straty moich pieniędzy, jak współwiny w narażeniu na straty tylu biednych akcjonarjuszy.

„Czy mamy przypuszczać, maharadżo", rzekli moi goście, „że dobro kraju jest Panu obojętne?"

„Przemysł może wspomódz dobro kraju", odpowiedziałem, „ale samo życzenie, by dobro kraju było poparte, nie zapewnia jeszcze przemysłowi żadnego powodzenia. Nawet gdyśmy dążyli do tego całkiem trzeźwo, przemysł nasz nie chciał kwitnąć. Czyż mamy jakąś podstawę do przypuszczenia, że stanie się to teraz, jedynie dlatego, żeśmy stali się szaleńcami?"

„Dlaczegóż nie powie Pan całkiem po prostu, że nie chce Pan narażać swoich pieniędzy?"

„Pragnę włożyć moje pieniądze, gdy widzę, że chodzi wam o sam przemysł. Ale gdyście wzniecili ogień, nie oznacza to jeszcze, że posiadacie również potrawę, która ma być na nim ugotowana".

XIII.

Co to jest? Splądrowano nasz podrzędny urząd skarbowy w Tszaknie! Przesyłka pieniężna w kwocie 7.500 rupji miała być wysłana do głównego urzędu. Tamtejszy skarbnik zamieniał w państwowym urzędzie skarbowym gotówkę na drobne banknoty, aby je łatwiej nieść i miał je przygotowane w paczkach. O północy wdarła się do pokoju uzbrojona banda i zraniła strażnika Kasima. Najdziwniejszem w tej sprawie jest to, iż wzięli jedynie 6.000 rupji, a resztę rozsypali po podłodze, jakkolwiek mogli wziąść to również bardzo łatwo. W każdym razie wyprawa bandytów skończyła się, a teraz wyprawę zaczyna policja. O spokoju nie można obecnie myśleć.

Gdy przybyłem do domu, wiadomość już wyprzedziła mnie. „To straszne, bracie", zawołała Bara Rani. „Co uczynimy teraz?"

Potraktowałem sprawę lekko, aby ją uspokoić.

„Pozostaje nam coś", rzekłem z uśmiechem. „Wybrniemy już w jakiś sposób".

„Nie żartuj z tego, kochany bracie. Dlaczego są oni wszyscy tak źli na ciebie? Czyż nie możesz uczynić zadość ich woli? Dlaczego oburzasz każdego na siebie?"

„Nie mogę dopuścić, by kraj zginął dla ich zadowolenia".

„Jakże okropnem było to, co zrobili na placu spalenia! Hańbą jest, że ciebie tak traktują! Tszota Rani, dzięki angielskiemu wykształceniu, jest wyższą nad wszelką trwogę, ale ja nie uspokoiłam się, dopóki nie posłałam po kapłana, aby odwrócił nieszczęście. Uczyń to dla mnie i jedź do Kalkuty,

mój kochany. Drżę na myśl o tem, co ci mogą zrobić, jeśli tu dłużej pozostaniesz".

Szczera troska mojej bratowej wzruszyła mnie głęboko.

„I czy nie ostrzegałam cię, bracie", ciągnęła dalej, „abyś nie chował w swym pokoju tak wiele pieniędzy? Każdego dnia mogą dowiedzieć się o tem. Nie chodzi tu o pieniądze — ale któż wie..."

Aby ją uspokoić przyrzekłem jej, że przeniosę natychmiast pieniądze do urzędu skarbowego, aby przy najbliższej sposobności posłać je do Kalkuty. Poszliśmy razem do mojej sypialni. Drzwi do ubieralni były zamknięte. Gdy zapukałem, zawołała wewnątrz Bimala: „Ubieram się".

„Co to jest, że Tszota Rani ubiera się tak wcześnie?" zawołała moja bratowa. „Jest to z pewnością znowu jedno z jej zebrań *Wande Mataram'u*". „Królowo rabusiów", zawołała żartem do Bimali, „czy liczysz wewnątrz twoją zdobycz?"

„Popatrzę później do pieniędzy", powiedziałem i odszedłem do mojego gabinetu.

Zastałem w nim czekającego na mnie inspektora policji. „Czy wpadł Pan na jakiś ślad bandytów?" spytałem.

„Mam podejrzenie".

„Na kogo?"

„Na Kasima, strażnika".

„Kasim? Czy nie został on raniony?"

„Szkoda mówić o tem. Lekka rana na nodze, którą prawdopodobnie sam sobie zadał".

„Nie mogę jednak przypuścić, aby on to uczynił. Jest tak wiernym służącym".

„Pan może go uważać za wiernego, nie przeszkadza to jednak temu, iż jest on złodziejem. Czyż nie doświadczyłem już w mem życiu tego, iż ludzi, którym ufano przez dwadzieścia lat, nagle..."

„Nawet gdyby tak było, nie mógłbym go posłać do więzienia. Ale dlaczego porzuciłby pozostałą część pieniędzy?"

„Aby odwrócić od siebie podejrzenie. Cokolwiek Pan powie, maharadżo, jest on starym wygą w takich sztuczkach. Jest wprawdzie punktualny w swej służbie, lecz jestem pewien, że maczał palce w wszystkich rabunkach w sąsiedztwie".

I inspektor policji wyliczał mi rozmaite metody, z pomocą których można brać udział w rabunkowym napadzie w odległości dwudziestu czy trzydziestu mil, a mimo to stawić się na czas do służby.

„Czy przyprowadził Pan z sobą Kasima?" spytałem.

„Nie", brzmiała odpowiedź, „znajduje się w areszcie śledczym. Policja ma obecnie obowiązek wdrożenia śledztwa".

„Chciałbym go zobaczyć", rzekłem.

Skoro wszedłem do jego celi, upadł mi z płaczem do nóg.

„Przysięgam Panu na Boga", zawołał, „że nie zrobiłem tego".

„Nie wątpię w ciebie, Kasimie", uspokoiłem go.

Nie lękaj się niczego. Nie stanie ci się nic, jeśli jesteś niewinny".

Kasim nie mógł jednak dać jasnego sprawozdania z wypadku. Widocznie przesadzał. Czterysta do pięćset ludzi, wielkie karabiny, niezliczone miecze odgrywały rolę w jego opowiadaniu. Nie były temu winne ani jego podrażnienie, ani chęć wytłumaczenia się, gdyż tak łatwo dawał się pokonać. Twierdził, że tkwi w tem Harisz Kundu; był nawet pewien, że słyszał głos Ekrama, głównego jego dzierżawcy.

„Posłuchaj Kasimie", musiałem go przestrzedz, „nie wciągaj do interesu podobnemi historjami także innych ludzi! Nie powinieneś oskarżać Harisza Kundu lub też kogoś innego".

XIV.

Idąc do domu, prosiłem mego nauczyciela, by zechciał przyjść do mnie. Pokiwał poważnie głową. „Nie widzę, aby to mogło się dobrze skończyć", rzekł. „Ludzie zabijają własne sumienie i wsadzają na jego miejsce swoją ojczyznę. Wszystkie grzechy kraju wybuchną teraz w całej swej nagiej brzydocie".

„Któżby, myśli Pan, mógł..."

„Nie pytaj mnie! Ale grzech przeważa. Oddal ich wszystkich od siebie, w każdym razie oddal ich stąd!"

„Dałem im jeszcze jeden dzień do namysłu. Pojutrze muszą odejść".

„I jeszcze jedno. Zabierz Bimalę do Kalkuty! Patrzy ona tutaj na świat zbyt jednostronnie, nie może poznać ludzi i rzeczy w ich właściwych stosunkach. Pokaż jej świat — ludzi i ich pracę — daj jej szeroki pogląd!"

„Właśnie zamierzałem to uczynić".

„A więc nie zwlekaj! Powiadam ci, Nikhilu, wszystkie rasy świata muszą współtworzyć wspólnemi siłami w dziejach ludzkości, a jak długo jeszcze sprzedają swe sumienie dla polityki i czynią z swej ojczyzny bożyszcze, nie zrozumieli jeszcze swego celu. Wiem, że Europa nie uznaje tego w zasadzie, lecz na tym punkcie niema prawa być naszym mistrzem. Ludzie, którzy umierają dla prawdy, są nieśmiertelni; i jeśli cały naród umrze dla prawdy, osiągnie w dziejach ludzkości nieśmiertelność. Oby w naszych Indjach, wśród szyderczego śmiechu piekła, urodziło się uczucie tej prawdy! Jakąż straszną zarazę grzechu zawleczono do naszego kraju z obcych krajów..."

Cały dzień upłynął w niepokoju, spowodowanym przez śledztwo. Byłem zupełnie wyczerpany, udając się wieczorem na spoczynek. Nie miałem jeszcze możności posłać pieniądze mojej bratowej do urzędu skarbowego i odłożyłem to do następnego dnia.

O północy zbudziłem się. W pokoju było ciemno. Zdawało mi się, że słyszę gdzieś jęki. Ktoś musiał krzyknąć. Płaczliwe łkanie rozlegało się, jak podmuchy wiatru wśród deszczowej nocy. Zdawało mi się, jakoby krzyk wydobywał się z głębi mego

pokoju. Byłem jednak sam. Łóżko Bimali stało od kilku dni w innym pokoju, obok mojego. Wstałem, a skoro wyszedłem, znalazłem ją na balkonie, rozciągniętą, twarzą do mokrej podłogi.

To, co teraz przeżyłem, nie da się wypowiedzieć słowami. On jeden tylko zna to, który siedzi w sercu świata i czuje w swem sercu całą jego boleść. Niebo jest głuche, gwiazdy milczą, noc spoczywa cicho, a wśród tego całego bezgłośnego milczenia dźwięczy jeden rozpaczliwy krzyk!

Nadajemy temu bólowi nazwy, złe lub dobre, stosownie do klasyfikacji wiedzy, ale czyż owa śmiertelna trwoga, wydzierająca się z rozdartego serca i rozpływająca się w niezmierzonej ciemności, ma wogóle jakąś nazwę? Gdym patrzał tej nocy na ową postać, pod milczącem gwiaździstem niebem, dusza moja zadrżała w świętej grozie i rzekłem do siebie: „Kim jestem ja, który miałem ją sądzić?“ O życie, o śmierci, o Boże wiecznego bytu, kłonię w milczeniu moją głowę przed tajemnicą, która w tobie tkwi.

Chwilę wahałem się, czy mam odejść. Lecz nie mogłem. Ukląkłem obok Bimali i położyłem moją dłoń na jej głowę. Przy pierwszem dotknięciu ciało jej zdawało się martwieć, ale potem martwota ustąpiła i popłynęły łzy. Głaskałem łagodnie palcami jej czoło. Nagle ręce jej jęły szukać moich nóg, przyciągnęły je do siebie i przycisnęły tak gwałtownie do piersi, iż myślałem, iż serce jej pęknie.

OPOWIADANIE BIMALI.

XVIII.

Amulja powinien dziś rano wrócić z Kalkuty! Nakazałam służącym, aby zawiadomili mnie natychmiast, gdy przybędzie, ale nie mogłam nigdzie znaleźć spokoju. Wkońcu wyszłam, aby czekać na niego w pomieszkaniu.

Wysyłając go na sprzedaż klejnotów, musiałam myśleć tylko o sobie. Nie przyszło mi zupełnie na myśl, że taki młody chłopak mógłby popaść w podejrzenie, gdy zechce sprzedawać tak cenne klejnoty. My kobiety jesteśmy tak dalece bezsilne, iż w chwili gdy nam grozi niebezpieczeństwo, musimy spychać ciężar na drugich. A gdy upadamy, ciągniemy z sobą w dół również tych, którzy nas otaczają.

Powiedziałam z dumą, iż chcę ratować Amulję, — jak gdyby tonący mógł ratować drugich! Zamiast ratować go, posłałam go sama na jego los. Mój kochany bracie, stałam się dla ciebie taką siostrą, iż śmierć musiała uśmiechnąć się w onym dniu, w którym dawałam ci moje błogosławieństwo, — ja, która upadam pod brzemieniem mojej własnej winy!

Czuję dziś, że człowieka opada niekiedy zło, jak jakowaś zaraza. Jakiś zarodek wpada gdzieś i jeszcze tej samej nocy zbliża się wielkimi krokami śmierć.

Dlac zego takich chorych nie odsuwa się od reszty ludzi? Doświadczyłam na sobie, jak straszną jest zaraza, — jak płonąca pochodnia, rzucająca na wsze strony języki ognia, aby zapalić świat.

Wybiła dziewiąta. Nie mogłam pozbyć się myśli, że Amulja jest w niebezpieczeństwie, że wpadł w ręce policji. W policyjnym urzędzie panuje zapewne wielkie poruszenie: Do kogo należą klejnoty? Jak je dostał? I wkońcu będę zmuszona publicznie odpowiedzieć na te pytania przed całym światem.

Jakaż ma to być odpowiedź? Nareszcie nadszedł twój dzień, Bara Rani, po tak długiej mojej dla ciebie pogardzie. Twoją będzie zemsta, gdv publiczność zmierzy mnie wzgardliwemi spojrzeniami. O Boże, ratuj mnie tylko tym razem, a całą moją duszę rzucę do stóp mej bratowej!

Nie mogłam tego dłużej znieść. Poszłam prosto do Bara Rani. Była na werandzie i przyprawiała swoje liście betlu. Thako była przy niej.

Na widok Thako cofnęłam się na chwilę, lecz potem przezwyciężyłam się, skłoniłam się głęboko przed moją starszą bratową i z szacunkiem dotknęłam jej nóg.

„Ty moja dobra Tszoto Rani", zawołała, „cóż ci przychodzi na myśl? Skąd nagle ów szacunek?"

„Dzisiaj są moje urodziny, siostro", powiedziałam. „Skrzywdziłam cię nieraz. Udziel mi dziś swego błogosławieństwa, abym nie czyniła tego więcej! Moja wola jest tak słaba". Skłoniłam się jeszcze raz i odeszłam śpiesznie, lecz ona przywołała mnie z powrotem.

„Nie powiedziałaś mi nigdy, że dzisiaj są twoje urodziny, kochana Tszoto! Przyjdź więc dziś popołudniu do mnie na herbatę. Musisz to w każdym razie uczynić!"

O Boże, zrób, by dziś były rzeczywiście moje urodziny! Czyż nie mogę urodzić się poraz wtóry? Oczyść mnie, mój Boże, kieruj mną i poprowadź jeszcze raz!

Wróciłam do mieszkania, gdzie zastałam Sandipa. Zdawało mi się, jak gdyby uczucie wstrętu zatruło mi krew. Oblicze, które widziałam w brzasku, nie miało nic z czarodziejskiego blasku geniusza.

„Proszę opuścić pokój!" wybuchnęłam.

Sandip uśmiechnął się. „Ponieważ niema tu Amulji", zauważył, „powinienem sądzić, iż teraz przyszła kolej na moje *tête-à-tête* z Panią?"

Teraz pomściła się moja wina. Czyż mogłam odebrać mu prawo, które mu sama dałam? „Pragnę pozostać sama", powtórzyłam.

„Królowo", rzekł, „obecność drugiego nie przeszkadza samotności Pani. Niechaj mnie Pani nie bierze za kogobądź. Ja, Sandip, jestem zawsze sam, nawet gdy jestem otoczony tysiącami".

„Proszę, niech Pan przyjdzie kiedyindziej! Dziś rano"...

„Czy Pani czeka na Amuljȩ?"

Odwróciłam się gniewnie i chciałam wyjść z pokoju, gdy Sandip wyciągnął z fałdów swojego płaszcza moją szkatułkę z klejnotami i postawił ją gwałtownie na marmurowym stole. Byłam zmieszana

w najwyższym stopniu. „Czy Amulja nie pojechał?“ zawołałam.

„Wyjechał, dokąd?“

„Do Kalkuty“.

„Nie“, triumfował Sandip.

Och, przecież błogosławieństwo moje poskutkowało. Był uratowany. Niechaj teraz kara boska spotka mnie, złodziejkę, jeśli Amulja jest uratowany!

Zmiana w wyrazie mojej twarzy podrażniła Sandipa. „Tak dalece jest Pani ucieszona, królowo?“ spytał szyderczo. „Czy klejnoty te są tak kosztowne? Jakże mogła Pani zdecydować się, aby ofiarować je bogini? Gdyż rzeczywiscie ofiarowała je Pani. Czy chce je Pani teraz odebrać?“

Duma umiera z trudem i w ostatniej jeszcze chwili wyciąga swoje szpony. Czułam, iż muszę okazać Sandipowi, że strata klejnotów jest mi obojętna. „Jeśli żądza Pana jest tak wielka“, powiedziałam, „może Pan je wziąść“.

„Moja żądza ogarnia dziś bogactwo całej Bengalji“, odrzekł Sandip. „Czyż istnieje większa siła od żądzy? Jest ona rumakiem tej ziemi, podobnie jak słoń Airavat jest rumakiem Indry. A więc owe klejnoty należą do mnie?“

Gdy Sandip wziął kasetkę i ukrył ją znowu pod płaszczem, wpadł Amulja. Dokoła oczu miał czarne obwódki, usta jego były suche, a włosy w nieładzie; zdawało się, jak gdyby kwiecie jego młodości w jednym dniu uwiędło. Widok jego ścisnął mi serce.

„Oddaj mi moją szkatułkę!“, zawołał i rzucił się

prosto na Sandipa, nie patrząc na mnie. „Czy zabrał Pan szkatułkę z klejnotami z mojego kufra?“

„Twoją szkatułka z klejnotami?“, spytał szyderczo Sandip.

„To był mój kufer!“

Sandip zaśmiał się. „Twoje rozróżnienie między mojem a twojem będzie nieco trudne, Amuljo“, zawołał. „Widzę jednak, że mimo to umrzesz jako skromny kapłan“.

Amulja upadł na krzesło i skrył twarz w dłoniach. Podeszłam do niego i położyłam rękę na jego głowie. „Co ci brakuje, Amuljo?“ spytałam.

Zerwał się. „O siostro Rani“, zawołał, „ tak bardzo chciałem sam oddać Pani klejnoty. Wiedział o tem Sandip Babu i uprzedził mnie oto“.

„Cóż mi zależy na klejnotach! rzekłam. „Pozostaw mu je! Nic to nie szkodzi!“

„Pozostawić mu?“ spytał nic nie rozumiejąc.

„Klejnoty są moje“, rzekł Sandip. „Są to insygnia nadane mi przez moją królowę“.

„Nie, nie, nie!“ zawołał namiętnie Amulja. „Nigdy, siostro Rani! Odniosłem je Pani. Nie może ich Pani dać nikomu innemu“.

„Przyjmuję twój dar, mały mój bracie“, rzekłam. „Pozwól jednak, by ten kto pożąda ich, zaspokoił swoją żądzę!“

Amulja błysnął oczyma na Sandipa Babu jak dziki zwierz i zamruczał. „Sandipie Babu, Pan wie, że nie odstrasza mnie nawet sama szubienica. Jeśli Pan uprze się, by zabrać owe klejnoty...

Sandip zaśmiał się wymuszonym śmiechem i rzekł: „Wiedz zatem Amuljo, że nie jestem tym, który się ciebie boi".

„Królowo pszczół", ciągnął dalej, zwrócony do mnie, „nie przyszedłem dziś poto, aby zabrać Pani klejnoty, lecz aby je Pani dać. Postąpiłaby Pani niesprawiedliwie, przyjmując mój dar z rąk Amulji. Aby temu przeszkodzić, musiałem najpierw zapewnić sobie jego posiadanie. Niech Pani przyjmie przeto moje klejnoty jako dar odemnie. Oto są! Niechaj się Pani sprzysięga z owym chłopcem, ile się Pani podoba! Muszę odejść. Przez wszystkie owe ostatnie dnie prowadziliście z sobą niezwykłe rozmowy, o których nie wolno było mi nic wiedzieć. Jeśli teraz nastąpią niezwykłe wydarzenia, nie przypisujcie winy mnie!"

„Amuljo", ciągnął dalej, „twoje kufry i rzeczy kazałem odnieść do twego mieszkania. Nie chcę posiadać w mym pokoju niczego, co należy do ciebie". Po tych ostatnich słowach Sandip wybiegł z pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

XIX.

„Nie miałam spokoju, Amuljo", rzekłam, „odkąd cię wysłałam, abyś sprzedał klejnoty".

„Dlaczego, siostro Rani?"

„Obawiałam się, iż możesz przez to znaleść się w niebezpieczeństwie, że mogą wziąść cię za złodzieja. Pragnęłam nie mieć raczej owych 6.000 rupji.

Teraz musisz dla mnie uczynić jeszcze coś innego, musisz natychmiast pójść do swojej matki".

Amulja wyciagnął małą paczkę i rzek!: „Ależ siostro, mam owe 6.000".

„Skąd je masz?"

„Próbowałem wszystkiego, aby wydostać pieniądze", ciągnął dalej, nie odpowiadając na moje pynie, „lecz nie udało mi się. Musiałem przeto przynieść pieniądze w banknotach".

„Powiedz mi otwarcie, Amuljo, przysięgnij mi, skąd wziąłeś owe pieniądze?"

„Tego Pani nie powiem".

Pociemniało mi w oczach. „Coś ty strasznego uczynił, Amuljo?', zawołałam. „Czy to jest..."

„Wiem, że Pani powie, iż doszedłem do tych pieniędzy nieprawą drogą. Dobrze, przyznaję. Lecz za moją winę zapłaciłem pełną cenę. Dlatego pieniądze te są teraz moje".

Nie chciałam już więcej wiedzieć. Krew zastygła mi w żyłach.

„Zabierz je, Amuljo", błagałam. „Zanieś je tam, skąd je wziąłeś!"

„Będzie to, zaprawdę, trudno!"

„Nie jest trudno, kochany bracie. Chwila, w której mnie poraz pierwszy ujrzałeś, była nieszczęśliwa. Nawet Sandip nie mógł ci tak zaszkodzić, jak ja".

Usłyszawszy imię Sandipa podskoczył jakby go ukłuła osa.

„Sandip!" zawołał. „Przez Panią dopiero poznałem, co to jest za człowiek. Czy wie Pani, siostro,

że nie wydał ani grosza z owych pieniędzy, które wziął od Pani! Wyszedłszy od Pani, zamknął się w swoim pokoju i rozkoszował się widokiem złota, które rozsypał przed sobą na ziemi. „To nie jest złoto", zawołał, „to jest kwiecie boskiego lotosu mocy; są to kryształowe melodje fletni, dźwięczących w raju bogactwa! Nie mogę ich bez bólu serca rozmieniać, gdyż wydają się tęsknić za wypełnieniem swego bytu jako ozdoba szyji piękności. Amuljo, mój chłopcze, nie patrz na nie swemi cielesnemi oczyma, są one uśmiechem Lakszmy, czarującym wieńcem promieni małżonki Indry. Nie, nie, nie mogę ich oddać głupiemu dzierżawcy. Jestem pewien, Amuljo, iż okłamał nas. Policja nie jest wcale na tropie owego człowieka, który zatopił łódź. Dzierżawca chce jeno wydostać przytem nieco dla siebie. Musimy starać się, aby odebrać od niego owe ważne listy".

„Spytałem go, jak mamy z tem począć; nakazał mi użyć gróźb lub przemocy. Byłem gotów, jeśliby chciał oddać pieniądze. O tem możemy pomówić później, brzmiała odpowiedź. Pragnę zaoszczędzić Pani opisu szczegółów, w jaki sposób nastraszyłem wkońcu człowieka, iż wydał mi listy, które spaliłem, jest to długa historja. Tego samego wieczoru przyszedłem do Sandipa i powiedziałem: „Teraz jesteśmy bezpieczni. Niech mi Pan da złoto, które oddam jutro mojej siostrze, maharani!" Lecz on zawołał: „Cóż to za głupota". Niezadługo nie będziesz widział zupełnie całej ojczyzny poza sari twojej uko

chanej siostry. Powiedz *Wande Mataram* i wypędź złego ducha!"

„Zna Pani siłę czaru Sandipa, siostro Rani. Złoto zostało w jego rękach. A ja spędziłem długą, ciemną noc na stopniach morza i szeptałem: *Wande Mataram*.

„Gdy potem oddała mi Pani swe klejnoty na sprzedaż, poszedłem jeszcze raz do Sandipa. Zauważyłem, iż był zły na mnie. Usiłował jednak nie okazać tego. „Jeśli znajdziesz je jeszcze ukryte w jakimś moim kufrze, możesz je wziąść", rzekł i rzucił mi klucze. Nie było ich nigdzie. „Powiedz mi Pan, gdzie one są", rzekłem. „Uczynię to, gdy będziesz wyleczony z swej głupoty, teraz nie", odparł.

„Zobaczywszy, że nie da się wzruszyć, musiałem myśleć o innych środkach. Próbowałem zamienić u niego złoto na 6.000 rupji w banknotach. „Dostaniesz", rzekł i znikł w swej sypialni, podczas gdy ja czekałem na dworze. Tam wyłamał mój kufer i poszedł innemi drzwiami z szkatułką klejnotów Pani prosto do Pani. Nie chciał, abym ją Pani odniósł, a teraz ośmiela się zwać ją swoim darem. Jakże mogę zbadać, ile mi zrabował? Nie wybaczę mu nigdy!

„Jedno jest tylko pewne, siostro, że moc jego nademną jest złamana. I Pani ją właśnie złamała!"

„Kochany bracie", rzekłam, „jeśli to prawda, zatem nie żyłam napróżno. Pozostaje jeszcze więcej do zrobienia, Amuljo. Nie wystarcza złamać jego czar. Należy zatrzeć jego wstrętne ślady. Nie wahaj

się dłużej, idź natychmiast i odnieś pieniądze tam, skąd je wziąłeś! Czyż nie możesz tego uczynić, mój kochany?"

„Z błogosławieństwem Pani wszystko jest możliwe, siostro Rani!"

„Pomyśl, że nie chodzi tu tylko o twoją, ale także o moją pokutę. Jestem kobietą; świat zewnętrzny jest dla mnie zamknięty, inaczej poszłabym sama. To, że brzemię mojego grzechu spychać muszę na ciebie, jest najcięższą moją karą".

„Nie mów tak, siostro! Droga, którą szedłem, nie była drogą Pani. Nęciła mnie ona swemi niebezpieczeństwami i trudnościami. Teraz, gdy woła mnie droga Pani, chociażby była tysiąc razy cięższa i niebezpieczniejsza, błogosławieństwo Pani dopomoże mi do osiągnięcia celu. Czy to Pani rozkazuje, aby pieniądze odnieść na dawne miejsce?

„Nie ja rozkazuję, mój bracie, lecz jest to rozkaz z góry".

„O tem nie wiem nic. Wystarcza mi, jeśli rozkaz pochodzi z ust Pani. I miałem przecież, siostro, zaproszenie od Pani? Zanim pójdę, musi mi Pani dać swój *prasad*[1]. A potem, jeśli to będzie możliwe, wypełnię moje zadanie jeszcze przed wieczorem".

Oczy moje zapełniły się łzami, gdy usiłując uśmiechnąć się, rzekłam: „Niechaj tak będzie".

[1] Potrawa, którą uświęca dotknięcie wielbionego człowieka.

ROZDZIAŁ JEDENASTY.

OPOWIADANIE BIMALI.

XX.

Skoro Amulja wyszedł, opuściła mnie odwaga. Na jakąż niebezpieczną przygodę wysłałam tego jedynego syna swej matki? O Boże, dlaczegóż moja pokuta musi zataczać tak dalekie kręgi! Czyż nie mogłam pokutować sama, bez udziału w mej karze tylu innych? O, nie dopuść, by to niewinne dziecko padło ofiarą twego gniewu!

Zawołałam go z powrotem, — „Amuljo!"

Głos mój brzmiał tak słabo, nie doszedł go już.

Podeszłam do drzwi i zawołałam powtórnie: „Amuljo!"

Odszedł.

„Czy jest tu kto?"

„Tak, maharani?"

„Idź i powiedz Amulji Babu, iż pragnę z nim mówić!"

Nie mogę dokładnie powiedzieć, co się właściwie stało, — może nazwisko Amulji było owemu człowiekowi obce, — gdyż wrócił natychmiast potem z Sandipem.

„W tej samej chwili, gdy mnie Pani odesłała", rzekł wchodząc, „przeczuwałem, że mnie Pani przy-

woła z powrotem. Siła przyciągania tego samego księżyca oddziałuje zarówno na niziny, jak i na morza. Byłem tak dalece pewny, że mnie Pani zawoła, iż rzeczywiście czekałem na korytarzu. Skoro ujrzałem posłańca Pani, wychodzącego z Pani pokoju, rzekłem: „Tak, tak, idę, idę zaraz!", zanim zdołał coś powiedzieć. Gdyby Pani widziała zdumione oblicze tego człowieka! Wpatrzył się we mnie z otwartemi ustami, jak gdyby sądził, iż mogę czarować.

„Wszystkie walki na świecie królowo pszczół", ciągnął dalej Sandip, „są w istocie walkami między hypnotycznemi siłami. Czar przeciw czarowi, — bezdźwięczne bronie, uderzające w niewidzialne tarcze. W Pani znalazłem wkońcu równego mi przeciwnika. Wiem, że kołczak Pani jest pełny, mistrzyni słownej walki! Jest Pani na świecie jedyną, która potrafiła oddalić Sandipa i przywołać, według swej wzniosłej woli. Teraz zwierzyna leży u stóp Pani. Co chcesz Pani z nią uczynić? Czy chcesz zadać jej łaskawy cios, czy też trzymać ją w swej klatce? Muszę cię jednak przestrzedz przedtem, królowo, iż trudno Pani będzie zarówno zabić zwierzynę na miejscu, jak ją uwięzić. W każdym razie nie powinna Pani tracić czasu i użyć broni swego czaru".

Sandip musiał już przewidzieć nadchodzącą klęskę, więc, aby zyskać na czasie, paplał nieustannie, nie czekając odpowiedzi. Sądzę, iż wiedział o tem, że posłałam posłańca po Amulję, którego imię człowiek ów z pewnością wymienił. Mimo to umyślnie użył owej sztuczki. Nie chciał mi pozwolić, abym mu powiedziała, że chciałam mówić nie z nim, ale z Amulją. Lecz podstęp jego był daremny, zdradził bowiem jeno jego słabość. Nie wolno mi odstąpić ani na krok z tego, co zdobyłam.

„Sandipie Babu", rzekłam, „podziwiam Pana, iż możesz tak długo mówić, nie zająknąłszy się. Czy uczy się Pan przedtem na pamięć?"

Krew uderzyła mu do twarzy.

„Słyszałam", ciągnęłam dalej, „że nasi zawodowi mowcy mają książkę z wszelkiemi możliwemi, gotowemi mowami, które zastosowują potem do każdej dogodnej sposobności. Czy posiada pan również taką książkę?"

Sandip wyzgrzytał swą odpowiedź między zębami. „Natura wyposażyła kobiety w mnóstwo wdzięków, a ponadto macie jeszcze do pomocy modniarkę i jubilera; ale niech Pani nie sądzi, że my mężczyźni jesteśmy bez broni..."

„Uczyni Pan lepiej, Sandipie Babu, jeśli Pan przeglądnie jeszcze raz swoją książkę. Gmatwa Pan wszystko. Pochodzi to stąd, jeśli ktoś wyucza się wszystkiego na pamięć".

„Pani!" wybuchnął Sandip, który stracił nad sobą panowanie. „Czy ma Pani prawo mnie lżyć? Pani, którą znam do najdrobniejszej cząstki jej istoty? Co..." Nie mógł dalej mówić.

Sandip, ów przemożny czarodziej, jest zawsze bezsilny, gdy czar jego przestanie działać. Z wyżyn swego dumnego królestwa spadł nagle na szczebel prostego chłopa. O, radości oglądania go tak sła-

bym! Im bardziej był obrażającym w swej szotsrkości, tem silniej wrzała we mnie owa radość! Jego wężowe sploty, któremi mnie uwikłał, odmówiły posłuszeństwa — jestem wolna. Jestem uratowana, uratowana! Obrażaj mnie, lżyj mnie, ukaż się w swej prawdziwej postaci; tylko oszczędź mi twych fałszywych hymnów pochwalnych!

W owej chwili wszedł mój mąż. Sandip nie miał w sobie owej elastyczności, z jaką zwyczajnie opanowywał się w jednej sekundzie. Mój mąż spoglądał nań przez chwilę ze zdumieniem. Gdyby to działo się kilka dni przedtem, byłabym wstydziła się. Ale teraz byłam zadowolona, cokolwiek nawet mój mąż mógł o tem myśleć. Pragnęłam zadać memu osłabionemu przeciwnikowi stanowcze uderzenie.

Skoro mój mąż ujrzał nas trwających uparcie w nieśmiałem milczeniu, wahał się najpierw nieco, potem zaczął. „Sandipie", rzekł, „szukałem ciebie i słyszałem, że jesteś tutaj".

„Zapewne, jestem tutaj", rzekł Sandip z naciskiem. „Królowa pszczół kazała mnie dziś rano zawołać. A ja, jako jej posłuszny robotnik w ulu, porzuciłem wszystko i usłuchałem jej wezwania".

„Jadę jutro do Kalkuty. Będziesz mi towarzyszył".

„A dlaczego, jeśli mogę spytać? Czy należę do twojego orszaku?"

„A więc dobrze, powiedzmy, że ty jedziesz do Kalkuty, a ja ci towarzyszę".

„Niemam tam nic do czynienia".

„Tem większy powód, abyś jechał. Masz tu zawiele do czynienia".

„Nie ruszę się z miejsca".

„W takim razie użyję siły".

„Dobrze, więc pójdę. Ale świat nie składa się tylko z Kalkuty i twoich posiadłości. Są jeszcze na mapie inne miejscowości".

„Podług twego dotychczasowego zachowania się trudno byłoby sądzić, iż jest jeszcze na świecie inne miejsce poza moimi posiadłościami".

Sandip podniósł się. „Zdarza się czasem", rzekł, „że jedyne jakieś miejsce jest dla człowieka całym światem. Dla mnie pokój ów był światem, dlatego byłem tutaj jakby przyrośnięty".

Potem zwrócił się do mnie. „Nikt inny, tylko Pani, królowo pszczół, zrozumie moje słowa — a nawet może i Pani nie zrozumie. Żegnam Panią. Opuszczam Panią z uwielbieniem w sercu. Hasło moje zmieniło się, odkąd Panią ujrzałem. Nie brzmi już *Wande Mataram*, chwała ci, matko, ale: Bądź pozdrowiona, kochanko, bądź pozdrowiona, czarodziejko! Matka udziela nam swojej opieki, kochanka porywa nas w przepaść, — ale przepaść owa jest słodka. Przyzywasz śmierć, ukochana, a ona zbliża się tanecznym krokiem i serce moje krzyczy radośnie przy dźwiękach jej obręczy u nóg. Przeinaczyłaś mi, twojemu służebnikowi, obraz naszej Bengalji, — tego „kraju łagodnego wietrzyka, jasnej wody i słodkich owoców".[1] Nie znasz litości, moja ukochana. Przy-

[1] Cytat z narodowego hymnu *Wande Mataram*.

chodzisz do mnie z twym puharem trucizny, a ja go wypróżnię do dna, aby zginąć z śmiertelnej trwogi lub tryumfować nad śmiercią".

„Tak", ciągnął dalej. „Dzień matki przeminął. O ukochana, moja ukochana, cóż znaczy dla mnie wobec ciebie prawda, prawo i samo nawet niebo! Wszystkie obowiązki stały się cieniem, wszystkie reguły i przepisy rozsadziły swoje okowy. O ukochana, moja ukochana, mógłbym zapalić cały świat aż po szmat owego kraju, na którym stoją drobne twoje stopy, a potem zatańczyć w szalonej rozkoszy nad popiołami... Ach, ci ludzie z swoją łagodnością i dobrocią! Pragnęliby wszystkim czynić dobrze, — jak gdyby to wszystko było rzeczywistością! Nie! nie! Nie ma na tym świecie rzeczywistości nad tą moją miłość. Kłonię się przed tobą. Moje oddanie się tobie uczyniło mnie okrutnym, moje płomienne uwielbienie dla ciebie zapaliło we mnie płomień zniszczenia. Nie jestem sprawiedliwy. Nie mam miary, wierzę tylko w ciebie, która jedna objawiłaś się mi na świecie".

Dziwne! Jeszcze przed chwilą gardziłam tym człowiekiem z głębi mego serca. A to, co uważałam za martwy popiół, wskrzesło znów żyjącym żarem. Płomień w jego wnętrzu był prawdziwy, nie było wątpliwości. Ach, dlaczegoż Bóg stworzył człowieka tak przewrotnym? Czyż chciał jeno okazać swoją boską sztukę? Jeszcze przed kilkoma minutami myślałam, że Sandip, którego niegdyś uważałam za bohatera, jest jedynie nędznym, teatralnym bohaterem. Ale

i w tem nie miałam słuszności. Gdyż nawet pod błyskotkami teatru może się nieraz ukrywać prawdziwy bohater.

W Sandipie jest wiele szorstkości, zmysłowości i kłamstwa, a dusza jego jest niekiedy powleczona ziemską powłoką. Mimo to musimy przyznać, że w najtajniejszej jego głębi ukrywa się wiele, czego nie rozumiemy i nie możemy zrozumieć — podobnie jak wiele rzeczy w nas samych jest zagadką. Dziwną istotą jest przecież człowiek! Jakiemu wielkiemu, tajemniczemu celowi służy, wie o tem tylko potężny Straszliwy [1], podczas gdy my jęczymy pod brzemieniem. Śiwa rozjaśni chaos. Jest on samą radością. Skruszy nasze pęta.

Czuję coraz wyraźniej, że we mnie są dwie istoty. Jedna wymyka się Sandipowi, gdy objawia się mi jak sam chaos, drugą nieodparcie pociąga właśnie owo. Tonący okręt porywa w głębię wszystkich, którzy dokoła niego płyną. Sandip jest taką niszczycielską siłą. Niezmierzona jego siła przyciągania porywa nas wszystkich, zanim ostrzeże nas trwoga i w jednej chwili zostajemy pochwyceni bez oporu, daleko od wszelkiego światła, od wszelkiego dobra, od powietrza i wolności, od wszystkiego, co było nam miłem i drogiem, — w przepaść zniszczenia.

Sandip przybył jako posłannik z dalekiego państwa zła i gdy tak kroczy przez kraj i szepce bezbożne zaklęcia, gromadzą się dokoła niego wszyscy chłopcy i młodzieńcy. Matka siedzi w lotosowem

[1] Rudra „Straszliwy", pierwotne imię Śiwy.

sercu kraju i skarży się głośno, gdyż wyłamali jej śpiżarnię, aby urządzić w niej swą pijaną ucztę. Jej winne zbiory dla napoju nieśmiertelnych wysypują w proch; miażdżą jej starodawne sprzęty. Czuję jej ból, jednak ogarnia mnie również oszołomienie.

Sama prawda zesłała nam tę pokusę, aby wybadać naszą wierność względem jej nakazów. Pijaństwo wdziewa niebiańską szatę i tańczy przed pielgrzymami. „Wy głupcy", woła, „którzy idziecie bezpłodną drogą wyrzeczenia! Jest ona długa, a czas upływa wam powoli, gdy nią kroczycie. Dlatego miotacz piorunu posłał mnie do was. Spojrzcie tu! Ja, piękność, namiętność, przyzywam was do mnie — w moich objęciach znajdziecie spełnienie".

Po przerwie zwrócił się Sandip jeszcze raz do mnie. „Bogini, nadszedł czas, iż muszę cię opuścić. I dobrze się stało. Osoba twoja wywarła swój wpływ. Gdybym jeszcze dłużej zwlekał, wpływ ów przestałby działać. Tracimy wszystko, jeśli w niezaspokojonej swej żądzy pragniemy upodlić to, co jest najwyższem na ziemi. To, co jest wiecznem w chwili, staje się pustem, jeśli rozciągniemy go w czasie. Mieliśmy już zniszczyć naszą nieśmiertelną chwilę, gdy ty podniosłaś twoją piorunową maczugę, która przybyła jej z pomocą. Ty uratowałaś czystość twego nabożeństwa, a przez to zarazem twego kapłana. Dla twego nabożeństwa odchodzę dziś. Tak, bogini, uwalniam cię dzisiaj również. Moja ziemska świątynia nie mogła cię już ogarnąć; groziła lada chwila runięciem. Odchodzę dziś, aby w większej świątyni

czcić twój większy obraz. Wówczas dopiero, gdy będę zdala od ciebie, będziesz naprawdę moją. Tutaj doznawałem jedynie twej życzliwości, tam dostąpię twej łaski".

Moja szkatułka z klejnotami stała jeszcze na stole! Podniosłam ją i rzekłam: „Niech Pan zaniesie owe klejnoty bóstwu, któremu służę; niech Pan ofiaruje mu w moim imieniu!"

Mój mąż milczał. Sandip opuścił pokój.

XXI.

Zaczęłam właśnie piec dla Amulji parę placków, gdy nadeszła Bara Rani. „O nieba", zawołała, „czyż doszło już do tego, iż musisz piec sobie sama placki na urodziny?"

„Czyż nie mogę ich piec dla kogoś innego?" spytałam.

„Ależ w takim dniu nie powinnaś gościć uroczyście innych, ale my ciebie. Chciałam właśnie złagodzić dla ciebie coś smacznego[1], gdy otrzymałam straszną wiadomość, która wyprowadziła mnie zupełnie z równowagi. Gromada złożona z 5—600 bandytów miała włamać się do jednego z naszych urzędów skarbowych i uniosła z sobą 6.000 rupji. Spodziewają się, iż wkrótce splądrują nasz dom".

Zrobiło mi się lżej na sercu. A więc przecież były to nasze własne pieniądze. Najchętniej przy-

[1] Przysmaki, podawane jako świąteczne dary, muszą być sporządzone przez samą panią domu.

wołałabym natychmiast Amuljȩ, aby mu powiedzieć, iż może banknoty wręczyć mojemu mężowi, a mnie niech pozostawi wyjaśnienie.

„Jesteś rzeczywiście dziwną istotą!“ zawołała moja bratowa, zauważywszy zmianę na mojej twarzy. „Czyż nie znasz zupełnie czegoś w rodzaju trwogi?“

„Nie wierzę w to“, rzekłam. „Dlaczegóż mieliby plądrować nasz dom?“

„Nie wierzysz w to, doprawdy! Któżby się spodziewał, że napadną nasz urząd skarbowy?“

Nie odpowiedziałam, lecz nachyliłam się nad mojemi plackami, napełniając je tartemi kokosowemi orzechami.

„Muszę odejść“, rzekła Bara Rani, jeszcze raz popatrzywszy na mnie badawczo i ze zdziwieniem. „Muszę pomówić z bratem Nikhilem i postarać się, by moje pieniądze wysłano do Kalkuty, zanim będzie za późno“.

Zaledwie odeszła, porzuciłam placki i wpadłam do mojej ubieralni, zamykając ją od wewnątrz. Surdut mojego męża z kluczami wisiał jeszcze tutaj — tak dalece był roztargniony. Wyjęłam z pierścienia klucz do żelaznej kasy i ukryłam go przy sobie.

Wtem zapukał ktoś do drzwi. „Ubieram się“, zawołałam. Słyszałam, jak Bara Rani powiedziała: „Jeszcze przed minutą widziałam ją przy wypiekaniu placków, a teraz zajęta jest strojeniem się, dziwi mnie to, co jej wpadło do głowy! Z pewnością odbywają znów jedno z swoich zgromadzeń *Wande*

Mataram“. „Słuchaj, królowo rabusiów“, zawołała do mnie, „czy jesteś zajęta liczeniem twojego łupu?“

Skoro odeszli, otworzyłam żelazną kasę. Nie wiem co mnie do tego skłoniło — może spodziewałam się tajemnie, iż wszystko było snem. Cóż będzie, gdy przy otwieraniu wewnętrznej szuflady ujrzę rulony złota na swojem miejscu?... Ach, wszystko było tak puste, jak zaufanie, które zdradziłam.

Musiałam odegrać komedję przebierania. Uczesałam się więc całkiem zbytecznie jeszcze raz i inaczej ufryzowałam moje włosy. Skoro wyszłam, szydziła moja bratowa: „Ile razy jeszcze przebierzesz się dzisiaj?“

„Dzisiaj są przecież moje urodziny“, powiedziałam. „Ach, dlatego każdy pozór jest dla ciebie odpowiedni“, odparła. „Znałam w mojem życiu wielu próżnych ludzi, ale ty przewyższasz ich wszystkich“.

Chciałam właśnie przywołać służącego, aby sprowadził Amuljȩ, gdy jeden z ludzi przyniósł mi mały bilecik. Był od Amulji.

„Siostro“, pisał. „Zaprosiła mnie Pani na dzisiaj po południu, lecz uważałem za stosowniejsze nie czekać. Pozwól mi Pani wykonać najpierw moje zadanie, a potem przyjść na mój *prasad!* Może być nieco za późno“.

Gdzież mógł on pójść, aby oddać pieniądze? Na jakież nowe niebezpieczeństwo narażał się biedny chłopak? Ach, nędznico, możesz go jedynie wypuszczać, jak strzałę, lecz nie potrafisz go odwołać, gdy chybisz swego celu.

Powinnam była wyznać natychmiast, że ja byłam sprężyną tego rabunkowego napadu. Lecz my kobiety żyjemy z zaufania naszego otoczenia, — jest ono dla nas światem. Skoro raz okaże się, iż potajemnie nadużyłyśmy owego zaufania, stanowisko nasze w owym świecie jest stracone. Musimy stać na gruzach tego, cośmy zburzyły, a ostre jego boki ranią nas za każdem poruszeniem. Grzeszyć jest łatwo, ale naprawić zło jest ciężko, szczególniej kobiecie.

Od pewnego czasu nie mogę zbliżyć się niewymuszenie do mojego męża. Jakżeż mogłam zaskoczyć go nagle tą okropną wiadomością! Przyszedł dzisiaj na obiad bardzo późno, była prawie druga godzina. Był roztargniony i nie tknął prawie jedzenia. Czułam, iż straciłam nawet prawo proszenia go, by zechciał wziąść coś jeszcze i musiałam odwrócić moją twarz, aby ukryć łzy.

Powiedziałabym mu tak chętnie: „Chodź do naszego pokoju i wypocznij chwilkę; jesteś tak znużony". Właśnie sposobiłam się do tego, gdy służący przyniósł spiesznie wiadomość, że inspektor policji przyprowadaił do pałacu Pantsza. Oblicze mojego męża sposępniało jeszcze bardziej i wyszedł, nie ukończywszy obiadu.

Wkrótce potem zjawiła się Bara Rani. „Dlaczego nie zawiadomiłaś mnie, gdy brat Nikhil wszedł?" skarżyła się. „Ponieważ przyszedł tak późno, myślałam, że w międzyczasie wykąpię się. Dlaczego skończył tak prędko jedzenie?"

„Czy chciałaś coś od niego?"

„Co to znaczy, iż chcecie jutro jechać razem do Kalkuty? Ale powiadam wam, że sama tu nie zostanę. Zalęknę się na śmierć przy każdym szmerze, teraz, gdy wszyscy ci bandyci grasują tutaj. Czy to całkiem pewne, że jutro jedziecie?"

„Tak", rzekłam, jakkolwiek dopiero teraz dowiedziałam się o tem, a prócz tego nie byłam pewna, czy do tego czasu nie zajdą okoliczności, które mogą sprawić, iż będzie nam zupełnie obojętne, czy pojedziemy czy też zostaniemy. W jaki sposób ukształtuje się potem nasz dom i nasze życie, nie mogłam sobie w zupełności wyobrazić, wszystko wydawało mi się mgliste i upiorne.

W ciągu kilku godzin mój zakryty dotąd los musiał się odsłonić. Czyż nie było nikogo, ktoby mógł powstrzymać bieg tych godzin, abym mogła zyskać czas na naprawę, o ile to było w mojej mocy? Czas, w którym złe nasienie spoczywa w ziemi, jest długi, — tak długi, iż nie lękamy się, aby mogło zejść. Ale z chwilą, gdy wypuści z ziemi, rośnie tak szybko, iż niema czasu, aby go przykryć, nawet swoim własnem ciałem.

Staram się nie myśleć o tem, lecz czekać w głuchej bezczynności aż nastąpi upadek. Niechaj przyjdzie, w kilku dniach wszystko przeminie — odkrycie, szyderstwo, współczucie, pytania, oświadczenia — wszystko.

Nie mogę jednak zapomnieć oblicza Amulji, tak pięknego i promiennego w swem poświęceniu. Nie

oczekiwał z rozpaczą niszczącego ciosu losu, lecz odważnie rzucił się w samo niebezpieczeństwo. Na niego patrzyłam w mej nędzy z pełnym szacunkiem. Jest on moim wybawicielem. Jakby igrając, wziął na swe ramiona brzemię moich grzechów. Chciał mnie ratować, ściągając na siebie karę, która spaść miała na mnie. Ale jakże mam znieść tę straszliwą łaskę mego boga?

O, moje dziecko, moje dziecko, kłonię się przed tobą. Mój mały bracie, kłonię się przed tobą. Jesteś czysty, jesteś piękny, kłonię się przed tobą. Obyś w przyszłym swym bycie przyszedł w moje ramiona, jako moje własne dziecko, — oto jest moja modlitwa.

XXII.

Pogłoska o rabunkowym napadzie rozeszła się na wszystkie strony. Policja wchodziła i wychodziła nieustannie. Nasi posłańcy byli ogromnie poruszeni.

Khema, moja służąca, przyszła i rzekła: „Ach, maharani, na miłość boską, niech Pani schowa moje złote naszyjniki i naramienniki w swej żelaznej kasie!“ Komuż miałam wytłumaczyć, że rani uprzędła sama ową całą sieć zamieszania i sama się w nią złapała? Musiałam odgrywać rolę łaskawej opiekunki i wziąść klejnoty Khemy i oszczędności Thako w moją opiekę. Nawet mleczarka przyniosła do mego pokoju swój kufer, w którym znajdowała się sari z Benares i inne z jej najcenniejszych rzeczy. „Otrzymałam te rzeczy na wesele Pani“, opowiadała mi.

Skoro jutro otworzą moją żelazną kasę w obecności tych kobiet — Khemy, Thako, mleczarki i wszystkich innych... Nie powinnam o tem myśleć! Postaram się raczej wyobrazić sobie, jak to będzie, gdy za rok przybędzie z powrotem ów trzeci magh [1].

Amulja pisze, że przyjdzie dopiero późno wieczorem. Nie mogę pozostawać tak bezczynnie sam na sam z moimi myślami, upiekę mu jeszcze kilka placków. Upiekłam już całe mnóstwo, ale muszę je piec dalej. Kto je będzie jadł? Rozdam je między posłańców. Muszę to zrobić jeszcze dziś wieczorem. Dzisiaj wieczorem upływa mój termin. Jutro nie jest już w mojej mocy.

Jęłam niezmożenie piec placki, jednego po drugim. Niekiedy zdawało mi się, że słyszę szmer gdzieś w górze, w naszym pokoju. Czyż to może mąż mój nie odnalazł klucza do kasy i Bara Rani zwołała teraz służących, aby go szukać? Nie, nie chciałam dłużej słuchać; najlepiej zamknąć drzwi.

Właśnie zamierzałam uczynić to, gdy wpadła zadyszana Thako: „O maharani, o maharani!“

„Zabieraj się stąd!“ krzyknęłam na nią. „Zostaw mnie w spokoju“.

„Bara Rani kazała Panią przywołać“, rzekła. „Siostrzeniec Pani przywiózł naszej Pani przedziwny instrument. Mówi on jak człowiek. Niech pani pójdzie i posłucha!“

[1] Indyjski miesiąc, od połowy stycznia do połowy lutego.

Nie wiedziałam, czy mam śmiać się, czy też płakać. Teraz właśnie przed wszystkiemi rzeczami na świecie musiał się pojawić na widowni gramofon, aby po każdem nakręceniu powtarzać nucony jakby przez nos śpiew swych arji! Co za straszna rzecz jest przecież maszyna, małpująca człowieka!

Cienie wieczoru jęły zapadać. Wiedziałam, że Amulja zgłosi się natychmiast, skoro wróci, jednak nie mogłam dłużej czekać. Zawołałam służącego i rzekłam: „Idź i powiedz Amulji Babu, aby zechciał natychmiast przyjść do mnie!" Człowiek wrócił po chwili z oznajmieniem, że Amulji niema dotąd w domu, że poszedł już dawno.

„Poszedł!" To słowo dźwięczało w mych uszach jak skarga wśród wzmagającej się ciemności. Amulja poszedł! Czyż poto przyszedł jak promień zachodzącego słońca, aby zniknąć na zawsze? Wszystkie możliwe i niemożliwe niebezpieczeństwa przelatywały przez mój umysł. Ja go wysłałam na śmierć. Jeśli poszedł na nią bez trwogi, świadczyło to o wielkości jego duszy. Ale jakżeż mogę jeszcze żyć tu sama bez niego?

Nie miałam żadnej pamiątki od Amulji, prócz pistoletu, braterskiego jego podarunku. Wydał mi się znakiem, zesłanym mi przez opatrzność. Owa wina, która zatruła w zarodku moje życie, — mój Bóg zesłał mi sposób zmycia jej w postaci dziecka, a potem znikł. O jaka pełnia wybawicielskiej łaski kryła się w tej miłosnej dani!

Otworzyłam moją skrzynię, wyjęłam pistolet

i przyłożyłam go do mego czoła z nabożną trwogą. W tej chwili zadźwięczały dzwony z świątyni naszego domu. Runęłam z czcią na ziemię.

Wieczorem częstowałam moimi plackami cały dom. „Przyrządziłaś nam wspaniałą ucztę w dniu urodzin i to w dodatku sama!" zawołała moja bratowa. „Ale musisz nam również pozwolić coś uczynić". I nastawiła swój gramofon, napełniając dom piskliwym sopranem kalkuckich śpiewaczek. Zdawało się, jakoby się słyszało stajnię pełną rżących łoszaków.

Było stosunkowo późno, gdy skończyła się uczta. Nagle zapragnęłam zakończyć moje urodziny przez dotknięcie z szacunkiem nóg mego męża. Wyszłam na górę do sypialni i zastałam go w głębokim śnie. Przeżył tak żmudny, ciężki dzień. Uchyliłam lekko, całkiem lekko rąbek moskitowej siatki i położyłam moją głowę obok jego nóg. Włosy moje musiały go dotknąć, gdyż poruszył w śnie nogi i odtrącił moją głowę.

Wyszłam i usiadłam na werandzie po zachodniej stronie. Bawełniane drzewo, które straciło wszystkie swoje liście, stało w dali jak szkielet. Za nim zachodził sierp księżyca. Nagle wydało mi się, jakoby nawet gwiazdy na niebie odczuwały przedemną bojaźń, jakoby cały nocny świat spoglądał na mnie nieufnie. Dlaczego? Ponieważ byłam sama.

Niema nic bardziej smutniejszego wśród stworzenia nad samotnego człowieka. Nawet ten, którego najbliżsi umarli wszyscy kolejno, nie jest sam, gdyż

towarzyszą mu z za grobu. Jednak na ciemość tego, którego najbliżsi żyją jeszcze, ale nie mają z nim żadnej łączności, który wypadł z barwnego koła prawdziwego domowego ogniska, spogląda nawet sam gwieździsty wszechświat ze zgrozą.

Gdzie ja jestem, tam mnie niema. Jestem daleko od tych, którzy mnie otaczają. Żyję i poruszam się nad brzegiem niezmiernie dalekiej przepaści, niepewna jak kropla rosy na liściu lotosu.

Dlaczego ludzie nie przeistaczają się całkowicie, jeśli się przeistaczają? Patrząc na moje serce, widzę w niem jeszcze wszystko na tem miejscu, na którem zresztą było, — tylko wszystko wywrócone. To, co było pięknie ułożone, spoczywa w nieładzie. Perły, związane niegdyś w naszyjnik, toczy się w kurzu. I oto pęka mi serce.

Chciałabym umrzeć. A jednak w mojem sercu wszystko będzie żyć dalej, — nawet podczas śmierci nie zdołam dojrzeć końca wszystkiego; śmierć niesie tylko większe jeszcze udręki skruchy. Co należy skończyć, musi być ukończone w tem życiu, — niema innego wyjścia.

O przebacz mi jeszcze ten tylko raz, mój Boże! Wszystko, co złożyłeś w moje dłonie jako bogactwo mego życia, uczyniłam moim ciężarem. Nie mogę go dłużej dźwigać, ani go z siebie zrzucić. O Panie, zanuć jeszcze raz owe słodkie tony na twojej fletni, które grałeś mi niegdyś, tak dawno, gdy świeciłeś na różowym horyzoncie mojego porannego nieba, — i rozplącz prosto i łatwo wszystkie moje

powikłania! Tylko muzyka twojej fletni zdoła uleczyć to, co złamane, i oczyścić to, co splamione. Nie znam innego ratunku.

Rzuciłam się wzdłuż na ziemię i łkałam głośno. Błagałam o zmiłowanie, o odrobinę zmiłowania skądyś, o schronienie, o jakiś znak przebaczenia, nadzieję, któraby przyniosła koniec. „Panie!“ ślubowałam, „pragnę leżeć tu i czekać i czekać i nie tknąć ani potrawy ani napoju, aż dotknie mnie twoja błogosławiąca ręka“.

Usłyszałam szmer kroków. Któż powiada, że bogowie nie okazują się śmiertelnikom? Nie śmiałam podnieść mojej twarzy, z obawy, że widok jego może rozprószyć czar. Przyjdź, ach przyjdź i dotknij stopami mej głowy! Przyjdź, Panie, i postaw swoją stopę na moje bijące serce i daj mi w tej chwili umrzeć!

Przyszedł i usiadł przy mojej głowie. Kto? Mój mąż! W pierwszej chwili, gdy odczułam jego obecność, zdawało mi się, że stracę zmysły. A potem całe moje cierpienie nagromadzone w mojej duszy, wybuchnęło niepowstrzymanym strumieniem łez. Przycisnęłam jego nogi do mojej piersi, jak gdybym pragnęła zatrzymać tam na zawsze ich ślady.

Pogłaskał pieszczotliwie moją głowę. I tak otrzymałam jego błogosławieństwo. Teraz będę mogła przyjąć jutro karę publicznego upokorzenia i złożyć ją z lekkim sercem jako ofiarną pokutę u stóp mego Boga.

Ale duszę moją dręczy myśl, że świąteczne fle-

tnie, które przed dziewięcioma laty dźwięczały podczas mego wesela i pozdrawiały mnie w tym domu, nie zabrzmią już nigdy w tem życiu. Jakiejż twardej trzeba kary, któraby wyniosła mnie jeszcze raz na to samo miejsce oblubienicy, jako przystrojoną dla swego małżonka narzeczoną? Ileż lat, ileż wieków, ileż światów musi przeminąć, zanim znajdę drogę do miejsca, na którem stałam przed dziewięciu laty?

Bóg może stworzyć nowe rzeczy, ale czyż posiada moc stworzenia na nowo tego, co się samo zniszczyło?

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

OPOWIADANIE NIKHILA.

XV.

Dzisiaj jedziemy do Kalkuty.

Skoro gromadzimy coraz liczniej nasze radości i cierpienia, ciążą nam one bardzo. Powinniśmy odrzucić je od siebie, ponieważ nie mamy tutaj naszych siedzib, lecz jesteśmy pielgrzymami na drodze życia. Jeśli budujemy tutaj nasz dom, więzimy w nim naszą duszę, dopóki nie zadusi się w więziennem powietrzu.

Mój związek z tobą, ukochana, istniał jedynie dla pielgrzymki, która jest już za nami; był on dobry, jak długo szliśmy tą samą drogą, lecz skrępuje nas tylko, jeśli zechcemy utrzymać go nadal. Teraz zrzucamy owe więzy. Jęliśmy dążyć do różnych celów; musi to nam wystarczyć, jeśli rzucimy sobie wzajem spojrzenie lub przelotnie uściśniemy sobie dłoń. A potem? Potem przybędziemy na obszerniejszy gościniec świata, w nieskończony strumień wszechżycia.

Jakże nieskończenie wiele pozostaje mi jeszcze po naszem rozstaniu, ukochana! Nadsłuchując, słyszę grające fletnie, bulgot ich melodji tryskających z przepaści, która nas rozdziela. Nieśmiertelny napój

bogini nie wysycha nigdy. Rozbija ona czasem puhar, z którego piliśmy i uśmiecha się, widząc nas niepocieszonymi z powodu tak niepozornej straty. Nie chcę milczeć i podnosić rozbite kawałki. Pragnę kroczyć naprzód, chociażby nawet z łaknącem sercem.

Przyszła Bara Rani i spytała mnie: „Co to znaczy, bracie, że pakuje się książki i wysyła się je w skrzyniach?"

„Znaczy to, że nie mogłem jeszcze przezwyciężyć mojej miłości do ciebie", odparłem.

„Chciałam tylko, abyś swoją miłość zachował także dla innych jeszcze rzeczy! Czyż zamierzasz nie wrócić całkiem do domu?"

„Przyjadę od czasu do czasu, ale nie zamknę się tutaj ponownie nigdy!"

„O, doprawdy! A więc pójdź do mego pokoju i zobacz z jak wielu rzeczami jestem związana moją miłością!" Powiedziawszy to, wzięła mnie za rękę i wyprowadziła.

W pokoju mojej bratowej zastałem niezliczone kufry i węzełki, zupełnie spakowane. Otworzyła jeden kufer i rzekła: „Patrz, bracie, tu znajdują się wszystkie moje rzeczy do przyprawiania *pan'u*,[1] W tej flaszce mam puder *katszu* zaprawiony pyłkiem kwiatu pochutnika. W małych cynowanych puszkach są same różnorodne korzenie. Nie zapomniałam nawet moich kart do gry i mojej deszczułki. Gdy oboje

[1] Zwoje z liści pieprzu, napełnione kawałkami orzechów betlowych, katszu i korzeni, używane do żucia.

będziecie zbyt zajęci, wynajdę już inne przyjemności dla zabawy. Czy przypominasz sobie jeszcze ów grzebień? Jest to jeden z grzebieni swadeśi, które mi przywiozłeś..."

„Ale co to wszystko znaczy, siostro Rani! Dlaczego spakowałaś wszystkie te rzeczy?"

„Czyż sądzisz, iż nie jadę z wami?"

„Ale co za myśl!"

„Nie lękaj się! Nie będę zalecać się do ciebie, ani też spierać się z Tszotą Rani. Pewnego dnia trzeba przecież umrzeć i dobrze się czyni, odwiedzając brzeg Gangesu, zanim jest za późno. Myśl, że się człowiek zamieni na popiół tutaj na waszem nędznem miejscu spalenia, pod skarłowaciałem drzewem figowem, jest ohydna, — dlatego nie mogłam zdecydować się, by umrzeć i dręczyłam cię tak długo".

Tu dopiero przemówiło do mnie moje serce prawdziwym swym głosem. Bara Rani przybyła do naszego domu jako narzeczona, gdy miałem zaledwie sześć lat. Bawiliśmy się razem w czasie sennych południ w kącie tarasy dachu. Zrzucałem jej z drzewa zielone owoce mango, z którego robiła przepyszne, nie dające się strawić *chutne s*, krając je w cienkie płatki i zaprawiając musztardą, solą i rozmaitemi trawami. Zadaniem mojem było dostarczanie jej z spiżarni wszystkich tych zakazanych rzeczy, których potrzebowała na wesele swojej lalki, gdyż kodeks karny mojej babki dopuszczał wyjątki tylko dla mnie i wybierała mnie zawsze jako posłańca do

swego brata, jeśli chciała wyłudzić od niego coś szczególnego, gdyż nie mógł on oprzeć się moim gwałtownym prośbom. Pamiętam jeszcze, jak cierpiałem wówczas wskutek surowych przepisów lekarza, które przy napadach gorączki zezwalały jedynie na używanie ciepłej wody i kardomonowej limoniady; jak to moja bratowa nie mogła patrzeć na mój niedostatek i przynosiła mi potajemnie przysmaki. Jakiegoż łajania dostała raz, gdy przychwycono ją na tem!

A gdyśmy potem wyrośli, łączące nas razem cierpienia i radości, były poważniejsze. Jak to czasami sprzeczaliśmy się! Niekiedy, gdy dzieliły nas samolubne interesa, rosła nieufność i zazdrość i nadszczerbiała naszą przyjaźń; a gdy przyszła do nas Tszota Rani, wyglądało tak, jak gdyby szczerba ta nie miała się nigdy zasklepić. Lecz okazywało się zawsze, że gojące siły na spodzie były silniejsze, niż rany na powierzchni.

W ten sposób od dzieciństwa do dziś wyrosła między nami głęboka przyjaźń, której gęsto zaliścione gałęzie rozciągają się nad każdym pokojem, nad każdą werandą, nad każdą tarasą tego wielkiego domu. Widząc, jak Bara Rani przygotowuje się do opuszczenia naszego domu z całym swym mieniem, czułem, jak boleśnie rozluźniały się aż do najdalszych krańców wszystkie więzy, które nas dotąd łączyły.

Znałem powód, dla którego zdecydowała się pójść na nieznany los i zerwać wszystkie więzy łączące ją codziennemi przyzwyczajeniami z domem, którego

nie opusciła na dzień, odkąd przybyła doń poraz pierwszy, mając lat dziewięć. A jednak nie chciała wyjawić owego prawdziwego powodu, lecz ukrywała go pod innemi, błahemi pozorami.

Byłem jedynym, który z wszystkich krewnych pozostał jej na świecie, a biedna nieszczęśliwa, owdowiała i bezdzietna kobieta żywiła to pokrewieństwo z całą czułością, jaką zgromadziła w swem sercu. Jak głęboko odczuła naszą zamierzoną rozłąkę, poznałem dopiero wtedy, gdy stałem między rozrzuconemi dokoła jej kuframi i tobołami.

Poznałem odrazu, że owe małe starcia z powodu pieniędzy, które miała często z Bimalą, nie pochodziły z nizkiego egoizmu, lecz, ponieważ czuła, że ta obca kobieta, przybyła Bóg wie skąd, usuwała ją od praw do jedynego krewnego, który jej pozostał i rozluźniała węzły między nim a nią! Czuła się na każdym kroku dotkniętą, a jednak nie mogła poskarżyć się.

A Bimala? I ona również czuła, że prawa Bara Rani do mnie nie opierają się jedynie na naszem pokrewieństwie, lecz mają głębszy powód, była więc zazdrosna o ten stosunek między nami, sięgający czasów dzieciństwa.

Teraz serce moje uderzało gwałtowniej do drzwi mojej piersi. Zsunąłem się na jeden z kufrów i rzekłem: „Ach, siostro Rani, jakżeż byłbym szczęśliwy, gdyby wróciły się te dawne czasy, gdyśmy poraz pierwszy ujrzeli się w tym domu!“

„Nie, kochany bracie“, odparła z westchnieniem,

„nie chciałabym przeżyć jeszcze raz mego życia, — jako kobieta! Niechaj to, co mam dźwigać, skończy się z tą jedną egzystencją. Nie zdołałabym znieść tego poraz wtóry".

Rzekłem do niej: „Wolność, do której dochodzimy przez cierpienie, jest większa niż samo cierpienie".

„Tak może być u was, mężczyzn. Wolność jest dla was. Ale my kobiety chciałybyśmy wiązać drugich, lub jeszcze bardziej być przez nich wiązane. Nie, nie, bracie, nie zdołasz uwolnić się z naszych sieci. Jeśli przeto musisz rozwinąć swoje skrzydła i odlecieć, musisz mnie wziąść z sobą; nie pozostaniemy. Dlatego zebrałam wszystkie te ciężkie pakunki. Nie należy was mężczyzn puszczać z zbyt lekkim ładunkiem".

„Czuję wagę twoich słów", rzekłem z uśmiechem, „i jeśli my mężczyźni nie skarżymy się na ciężary, jakie na nas nakładacie, to dlatego, ponieważ wy kobiety wynagradzacie nas tak hojnie za to, co nam dajecie do dźwigania".

„Dźwigacie to", rzekła, „ponieważ ciężar składa się z tak wielu drobnych rzeczy. Ilekroć chcecie jedną z nich odrzucić, przemawia za nią to, iż jest tak lekka. I tak oto temi lekkiemi rzeczami zginamy was ku ziemi... Kiedy odjeżdżamy?"

„Pociąg odjeżdża dzisiaj wieczorem o wpół do dwunastej, mamy dosyć czasu".

„Bądź zatem raz w swoim życiu grzeczny i posłuchaj, co mówię! Wyśpij się porządnie dzisiaj popołudniu! Wiesz, że w pociągu nie możesz nigdy

spać. Zmizerniałeś tak bardzo, iż każdej chwili możesz upaść. Chodź, weź najpierw kąpiel!"

Skoro weszliśmy do mego pokoju, przyszła służąca Khema. Skubała z zakłopotaniem swój szal i rzekła słabym, usprawiedliwiającym się głosem, że przyszedł inspektor policji z jakimś więźniem i chce mówić z maharadżą.

„Czy maharadża jest złodziejem czy też rozbójnikiem", wybuchnęła Bara Rani, „że policja ciągle za nim kroczy? Idź i powiedz inspektorowi, że maharadża jest w kąpieli!"

„Pozwól, że zobaczę tylko, o co chodzi", prosiłem. „Może być coś pilnego".

„Nie, nie", upierała się moja bratowa. „Nasza Tszota Rani napiekła wczoraj niezliczone mnóstwo placków. Poślę kilka inspektorowi, aby czekał spokojnie, aż będziesz gotów". I wepchnęła mnie do mego pokoju, zamknąwszy za mną drzwi.

Nie miałem siły opierać się takiej tyranji — jest ona tak rzadka na świecie. Niechaj inspektor spędza czas na spożywaniu placków. Cóż to szkodzi, jeśli obowiązek raz spocznie?

Policja była w tych ostatnich dniach niezwykle zajęta aresztowaniem raz tego, to znów tamtego. Każdego dnia przyprowadzano do mego gabinetu jakiegoś niewinnego ku wesołości urzędników. Przeczuwałem, że znów przyprowadzili podobną nieszczęśliwą ofiarę. Ale dlaczego inspektor miał się sam raczyć plackami? To nie było w porządku. Skoczyłem gwałtownie do drzwi.

„Jeśli chcesz oszaleć, nalej sobie prędko nieco wody na głowę, — to cię ostudzi", rzekła z korytarza moja bratowa.

„Poślij placki dla dwóch", zawołałem. „Ten, którego przyprowadzono jako złodzieja, zasługuje na nie może więcej. Każ mu dać porządną porcję!"

Pospieszyłem się z moją kąpielą. Skoro wyszedłem, siedziała na ziemi przed drzwiami Bimala[1]. Czyż to możliwe, że to była moja dawna, dumna, rozpieszczona Bimala?

Jakąż łaskę chciała wyprosić, siedząc tak przed moimi drzwiami? Gdy stanąłem zdumiony, zerwała się i rzekła powoli z spuszczonemi oczyma: „Pragnę z tobą mówić".

„A więc wejdź", rzekłem.

„Ale ty masz właśnie coś ważnego do czynienia?"

„Tak, ale to nie szkodzi. Chciałbym usłyszeć..."

„Nie, załatw najpierw tamto! Pomówimy potem w południe, po jedzeniu".

Poszedłem do mego pokoju, gdzie inspektor policji wypróżnił zupełnie swój talerz. Ale towarzysz jego zajęty był jeszcze jedzeniem.

„Ach!" zawołałem zaskoczony. „Ty Amuljo?"

„Tak, ja", rzekł Amulja, mając usta pełne placka. „Była to prawdziwa uczta. A jeśli zgadza się Pan, wezmę z sobą resztę". I zawiązał pozostałe placki w swoją chusteczkę.

[1] Siedzenie na gołej ziemi jest oznaką żałoby, a w dalszem znaczeniu, również skruchy.

„Co to znaczy?" spytałem, patrząc zdumionym wzrokiem na inspektora.

Ów zaśmiał się. „Jesteśmy co do złodzieja jeszcze równie mądrzy", rzekł, „a tymczasem tajemnica kradzieży zaciemnia się coraz bardziej". I wyciągnął zamotany węzełek, który po rozwinięciu okazał się zwitkiem banknotów. „Oto maharadżo", rzekł inspektor, „pańskie sześć tysięcy rupji".

„Gdzie je znaleziono?"

„W rękach Amulji Babu. Przyszedł wczoraj wieczorem do swego dzierżawcy w Tszaknie i powiedział mu, że pieniądze znalazły się. Dzierżawca był jeszcze bardziej przerażony odzyskaniem pieniędzy, niż on rabunkiem. Lękał się, że mogą go podejrzewać, iż najpierw schował pieniądze, a potem z obawy, iż wyjdzie na jaw, wymyślał historję z Amulją. Prosił Amuljȩ, aby trochę zaczekał, gdyż chce mu przynieść odświeżający napój i poszedł prosto do urzędu policyjnego. Wyruszyłem natychmiast, wziąłem z sobą Amuljȩ i przez cały ranek starałem się z niego coś wydobyć. Nie chce powiedzieć, skąd wziął pieniądze. Ostrzegałem go, że tak długo zostanie w areszcie, póki nie powie. W tym wypadku, rzekł, będzie zmuszony kłamać. Dobrze, powiedziałem, niechaj to tylko zrobi. Potem powiedział, że znalazł pieniądze pod krzakiem. Zwróciłem mu uwagę, że kłamstwo nie jest tak łatwe. Pod jakim przeto krzakiem je znalazł? W którem miejscu? Co tam robił? — Na to wszystko będzie musiał odpowiedzieć. „Niech Pan się nie troszczy",

rzekł, „mam dość czasu, aby to wszystko przemyśleć".

„Ależ inspektorze", rzekłem, „dlaczego posądza Pan tak poważanego młodego człowieka, jak Amulja Babu?"

„Nie pragnąłem obciążać go", rzekł inspektor. „Pochodzi on nietylko z dobrej rodziny, lecz jest w dodatku synem mego szkolnego przyjaciela, Nibarana Babu. Powiem Panu dokładnie, maharadżo, jak się sprawa ma. Amulja zna złodzieja, ale chce go obronić, ściągając podejrzenie na siebie. Jest on zdolny do takich brawurowych kawałków. „Powiem Panu coś, młody człowieku", zwrócił się do Amulji, „miałem także niegdyś osiemnaście lat i byłem studentem kolegjum w Kiponie. O mało nie dostałem się do więzienia, ponieważ chciałem wziąść w obronę pewnego dorożkarza przed policjantem. Wyszedłem z tego z biedą".

„Maharadżo", mówił dalej zwrócony do mnie, „prawdziwy złodziej prawdopodobnie teraz ujdzie, sądzę jednak, że wiem, kto się poza tem kryje".

„Któż taki?" spytałem.

„Ów dzierżawca w porozumieniu z strażnikiem Kasimem".

Skoro wkońcu inspektor wyszedł, wyłuszczywszy mi obszernie swoją hypotezę, rzekłem do Amulji: „Jeśli mi powiesz, kto wziął pieniądze, przyrzekam ci, iż nikomu nie stanie się krzywda".

„Ja to zrobiłem", rzekł.

„Ale jakżeż to możliwe? Jakże to było z ową gromadą uzbrojonych ludzi?..."

„To byłem ja, zupełnie sam!"

To, co mi teraz opowiedział Amulja, było rzeczywiście niezwykłą historją. Dzierżawca skończył właśnie wieczerzę i zamierzał wypłukać sobie na werandzie usta. Było dość ciemno. Amulja miał w każdej kieszeni rewolwer, jeden z nich naładowany był ślepemi nabojami, drugi kulami. Na twarzy miał maskę. Zaświecił nagle dzierżawcy w oczy ślepą latarką i dał ślepy strzał. Ów zemdlał. Nadbiegło kilku wolnych od służby strażników, ale skoro Amulja dał do nich również ślepy strzał, nie tracąc czasu, ukryli się bezpiecznie. Potem wpadł Kasim, który pełnił służbę, z grubą pałką. Tym razem Amulja strzelił ostrym nabojem, celując w nogi Kasima, a skoro ów poczuł, iż jest trafiony, zemdlał i upadł na ziemię. Amulja zmusił wówczas drżącego dzierżawcę, który tymczasem oprzytomniał, aby mu otworzył kasę i wręczył 6.000 rupji. Potem zabrał jednego z służbowych koni, pognał parę mil, puścił następnie konia wolno i wrócił tu spokojnie piechotą.

„Cóż cię skłoniło do tego wybryku, Amuljo?" spytałem.

„Miałem bardzo ważny powód, maharadżo", odrzekł.

„Ale dlaczego właściwie próbowałeś zwrócić pieniądze?"

„Niech Pan zawoła tę, na której rozkaz to uczyniłem! W jej obecności wyznam wszystko".

„A któż to jest „ta“?

„Moja siostra, Tszota Rani!“

Kazałem przywołać Bimalę. Przyszła wahając się, boso, osłoniwszy głowę białym szalem. Nie widziałem jeszcze nigdy taką mojej Bimy. Zdawało się, jakoby okryła się światłem brzasku.

Amulja padł przed nią i z szacunkiem dotknął jej nóg. Skoro potem powstał, rzekł: „Rozkaz spełniony, siostro. Pieniądze są oddane“.

„Uratowałeś mnie, mój mały bracie“, rzekła Bima.

„Miałem zawsze przed oczyma obraz Pani i nie wypowiedziałem ani jednego kłamstwa“, mówił dalej Amulja. „Moje hasło, *Wande Mataram*, odrzuciłem od siebie na zawsze do Pani stóp. Otrzymałem już moją zapłatę, Pani, *prasad*, skoro tylko przyszedłem do pałacu“.

Bima patrzyła nań przy ostatnich jego słowach bez zrozumienia. Amulja wyciągnął swoją chusteczkę, rozwiązał ją i pokazał jej placki. „Nie zjadłem wszystkich“, rzekł. „Zatrzymałem te jeszcze, aby mi je Pani sama podała“.

Widząc, że jestem tu zbyteczny, wyszedłem z pokoju. Mogłem mówić, ile chciałem — szeptałem do siebie — jako zapłatę za mój trud spalono mój portret. Nie udało mi się zawrócić ani jednej duszy z drogi zatraty. Kto posiada dar, zdoła to uczynić samem skinieniem. Moje słowa nie mają tego nieodpartego wpływu. Nie jestem płomieniem, ale czarnym, wypalonym węglem. Nie zdołam zapalić lampy.

Życie moje wskazuje, — że wszystkie moje lampy są niezapalone.

XVI.

Wróciłem powoli do wewnętrznych komnat. Nieświadomie skierowałem moje kroki do pokoju Bara Rani. Pragnąłem czuć nieodparcie, że to życie moje byłoby zdolne napiąć na innej harfie życia strunę, którąby mi odpowiadała pełnym, ciepłym dźwiękiem. Nie można znaleść spełnienia swego bytu w sobie samym, trzeba go szukać na zewnątrz.

Skoro zbliżyłem się do pokoju mojej bratowej, wyszła i rzekła: „Lękałam się, iż znowu zabawisz tak długo. Lecz kazałam przygotować twój obiad, skoro tylko usłyszałam, że idziesz. W tej chwili go podadzą“.

„Tymczasem pragnę wyjąć twoje pieniądze z mojej kasy, aby je mieć w pogotowiu“.

Gdyśmy szli do mojego pokoju, spytała mnie, czy inspektor policji przyniósł jakąś wiadomość o rabunkowym napadzie. Nie miałem żadnej chęci opowiadać jej dorywczo o tem, w jaki sposób przyniesiono z powrotem pieniądze i odpowiedziałem wymijająco: „Tak, robią dużo hałasu o tę historję“.

Kiedy przyszedłem do mojej ubieralni i wyjąłem moje kółko z kluczami, klucza od kasy brakowało na kółku. Jakże mogłem być tak głupio roztargnionym! Dopiero wczoraj otwierałem wszystkie możliwe kufry i szuflady i nie zauważyłem zupełnie, iż brakuje tego klucza.

„Co się właściwie stało z tym kluczem?“ spytała moja bratowa.

Nie mogłem jej tego powiedzieć i jąłem dalej przeszukiwać jedną kieszeń za drugą. Wciąż szukałem na tych samych miejscach. Zrozumieliśmy dobrze oboje, że klucz nie mógł być zarzucony. Ktoś musiał go zdjąć z kółka. Kto to mógł być? Któż to jeszcze mógł dostać się do tego pokoju?

„Nie troszcz się dłużej o to“, rzekła do mnie. „Zjedz najpierw obiad! Musiała go wziąść z sobą sama Tszota Rani, widząc, jak zawsze jesteś roztargniony“.

Byłem jednak w duszy bardzo niespokojny. Bima nie brała nigdy żadnego mojego klucza, nie powiedziawszy mi o tem. Przy obiedzie nie była; zajęta była przyjmowaniem Amulji w swym pokoju. Moja bratowa chciała ją przywołać, lecz prosiłem ją, by zaniechała.

Skończyłem właśnie jedzenie, gdy weszła Bima. Nie mówiłbym chętnie o sprawie klucza, jak długo była przy tem Bara Rani, ale ta, ujrzawszy Bimę, spytała: „Czy nie wiesz, moja kochana, gdzie jest klucz od kasy?“

„Mam go“, brzmiała odpowiedź.

„Nie mówiłam?“ zawołała moja bratowa z tryumfem. „Nasza Tszota Rani udaje, jakoby owe rabunki nie czyniły na niej wrażenia, ale potajemnie używa wszelkich środków bezpieczeństwa“.

Wyraz twarzy Bimy nie zdradzał mi nic dobrego. „Zostawcie teraz klucz“, rzekłem. „Zabiorę pieniądze dzisiaj wieczorem“.

„A więc znowu odwlekasz“, rzekła Bara Rani. „Dlaczego nie chcesz wyjąć zaraz, gdy o tem pamiętasz i odesłać do urzędu skarbowego?“

„Wyjęłam je już“, rzekła Bima.

Zdumiałem się.

„Gdzie one są?“ spytała moja bratowa.

„Wydałam je“.

„Słyszał to kto! Na co wydałaś tyle pieniędzy?“

Bima nie odpowiedziała. Nie pytałem więcej. Bara Rani zdawała domyślać się czegoś, jednakowoż rozważyła inaczej. „A więc wszystko jest w porządku“, rzekła patrząc na mnie. „Zupełnie tak samo robiłam z drobnemi pieniądzmi mego męża. Wiedziałam, że niema sensu zostawiać mu ich — jednakowo zabrałoby mu je jego dziewięćdziesięciu dziewięciu darmozjadów. Ty masz ich również tyle, bracie. Ileż sposobów macie wy mężczyźni, aby wydać pieniądze! Możemy uratować wam je tylko w ten sposób, iż je ukradniemy. Ale chodź teraz! Dalej, do łóżka!“

Bara Rani zaprowadziła mnie do mego pokoju, lecz nie wiedziałem nawet, dokąd idę. Usiadła na mojem łóżku, na którem się wyciągnąłem i uśmiechała się do Bimy. „Daj mi jedno z twoich *pans*, kochana Tszoto“, rzekła. „Co, nie masz żadnego? Ładna z ciebie gospodyni! Każ zatem przynieść kilka z mego pokoju!“

„Ale jadłaś przecież na objad?“ spytałem zakłopotany.

„O, już dawno“, odparła.

Siedziała obok mego łóżka i rozmawiała o wszystkich możliwych rzeczach. Przyszła służąca i powiedziała Bimie, że objad jej jest podany i będzie zimny, lecz udawała, że nie słyszy. „Co, nie jadłaś jeszcze? Co ty wyprawiasz za historje! Jest już strasznie późno!“ I Bara Rani zabrała Bimę z sobą.

Domyślałem się, że między temi 6.000 rupji, a kradzieżą tamtych pieniędzy, była jakaś łączność. Lecz nie jestem ciekaw, jakiego rodzaju. Nie zapytam o to nigdy.

Opatrzność sama kształtuje z grubsza nasze życie, pragnie, abyśmy sami przyłożyli do tego ręki; nadali mu ostatecznej formy podług naszej myśli. Starałem się zawsze iść przy kształtowaniu mego życia za linjami nakreślonemi przez Stwórcę i nadać mu głębszego znaczenia. Na tych usiłowaniach spędziłem całe życie. Jak poważnie starałem się utrzymać na uwięzi moje żądze i zdusić w sobie każdą samowolę, wie tylko On, który przebywa w naszem sercu.

Lecz trudność leży w tem, że życie nasze nie należy tylko do nas. Nie możemy go ukształtować bez pomocy naszego otoczenia. Dlatego marzeniem moim było zawsze, pozyskać Bimę, aby mi w tej pracy pomogła. Kochałem ją z całej duszy, dlatego wierzyłem mocno, iż musi mi się udać.

Potem odkryłem, że nie należę do ludzi, którzy mogą tak całkiem prosto i naturalnie wciągnąć do tej pracy nad sobą swoje otoczenie. Zachowałem iskrę życia, lecz nie mogę jej przekazać dalej. Za-

brali ją ci, którym dałem moje wszystko, nie biorąc mnie z sobą.

Jestem rzeczywiście ciężko doświadczany. Zawsze, ilekroć najbardziej potrzebuję pomocniczego towarzysza, jestem skazany na siebie samego. Mimo to ślubuję ponownie przetrwać ten czas próby.

Pójdę przeto sam moją ciernistą drogą, aż skończy się podróż tego życia...

Przyszło mi na myśl, że byłem zawsze trochę skłonny do tyranji. W mojem pragnieniu ujęcia mych stosunków do Bimali w kontretną, ściśle zarysowaną i doskonałą formę, był pewien despotyzm. Lecz życie człowieka nie jest poto, aby wciskać go w trwałą formę. I gdy usiłujemy nadać dobru formę, w ten sposób jak gdyby było tylko materją, wówczas mści się strasznie, tracąc życie.

Dopiero teraz poznałem, że musiała to być owa nieświadoma tyranja, która nieustannie oddalała nas od siebie. Skoro życie Bimali nie mogło wznieść się do swojej prawdziwej wyżyny, ponieważ dusiłem go z góry, musiało szukać ujścia w ten sposób, iż podgrzebywało od spodu swoje brzegi. Musiała ukraść owe 6.000 rupji, ponieważ nie mogła być wobec mnie szczerą, czując, iż dla pewnych rzeczy nie mam i nie chcę mieć żadnego zrozumienia.

Tacy ludzie jak ja, opanowani pewną ideą, zgadzają się z tymi, którzy potwierdzają ich przekonania; ale inni mogą z nami żyć, jedynie oszukując nas. Nasz uporczywy egoizm właśnie sprowadza najszczerszych i najuczciwszych na złą drogę. Usiłując

ukształtować naszą towarzyszkę podług naszej myśli, gubimy kobietę.

Czyż nie mógłbym zacząć jeszcze raz od początku?

Tak, wówczas poszedłbym prostą drogą. Nie starałbym się wtedy wiązać towarzyszki mego życia z mojemi ideami, lecz grać na wesołej fletni mojej miłości i pytać: Czy kochasz mnie? A więc rośnij, wierna sobie samej, w świetle twojej miłości! Pozwól tryumfować planowi Boga, który żyje w tobie, a mnie cofnąć sromotnie moje plany!

Ale czyż wielka lekarka natura potrafi sama uleczyć owe rany, które zadało nam całe owo nieporozumienie ostatnich dni? Ochronna powłoka, pod którą działać mogą jedynie ciche siły przyrody, jest rozdarta. Rany muszą być zawiązane, — czyż nie możemy wiązać naszą ranę miłością, aż przyjdzie dzień, w którym zniknie jej blizna? Czyż już nie jest za późno? Straciliśmy tak wiele czasu na nieporozumienie; użyliśmy dotąd całego czasu, aby zrozumieć, — jakże wiele czasu potrzebować będziemy, aby znów to naprawić? I jeśli rana naprawdę zagoi się, — czyż można naprawić spustoszenie, które wyrządziła?

Usłyszałem koło drzwi lekki szmer. Skoro odwróciłem się, ujrzałem przez otwarte drzwi umykającą Bimalę. Musiała czekać na progu, wahając się czy ma wejść. a wkońcu zdecydowała się zawrócić. Zerwałem się, skoczyłem do drzwi i zawołałem: „Bimo!“

Stała cicho, lecz nie odwróciła się. Przystąpiłem do niej, wziąłem ją za rękę i zaprowadziłem z powrotem do naszego pokoju. Rzuciła się twarzą do poduszek i łkała nieustannie. Nie powiedziałem nic, lecz usiadłem cicho obok niej i trzymałem jej dłoń.

Skoro ustał namiętny wybuch jej bólu, podniosła się. Chciałem przycisnąć ją do mojej piersi, lecz odsunęła moje ramiona i uklękła przedemną, z czcią dotykając kilka razy swojem czołem moich nóg. Cofnąłem spiesznie moje nogi. lecz ona objęła je swojemi ramionami i rzekła łkającym głosem: „Nie, nie, nie, nie wolno ci cofać swoich nóg! Pozwól mi oddać moją cześć!“

Przeto pozwoliłem jej.

XXIII.

Przebudź się, moja duszo! Teraz nadszedł czas, aby wyprawić cię tam, gdzie potok miłości uchodzi do wielkiego morza uwielbienia. W tym czystym błękicie tonie i znika całe brzemię jego namułu.

Teraz nie lękam się więcej, — ani siebie samej, ani też nikogo innego. Przeszłam przez ogień. To, co było zapalne, spłonęło na popiół, a co pozostało, jest nieśmiertelne. Złożyłam moją duszę u stóp tego, który wszystkie moje grzechy zatopił w otchłani własnego cierpienia.

Dzisiaj wieczorem jedziemy do Kalkuty. Wewnętrzne moje udręki nie pozwoliły mi do teraz zająć się mojemi rzeczami. Teraz uporządkuję je i zapakuję.

Po chwili zauważyłam, że przyszedł również mój mąż i pomagał mi w pakowaniu.

„Ależ tak nie można", rzekłam. „Obiecałeś mi, że będziesz spać?"

„Obiecałem wprawdzie", odparł, „ale sen nie obiecał przyjść i nie można go nigdzie znaleść".

„Nie, nie", powtórzyłam, „tak nie można. Połóż się przynajmniej na chwilę!"

„Ale jakżeż możesz załatwić się z tem wszystkiem sama?"

„Naturalnie, że mogę!"

„Możesz się chwalić, że załatwisz się bezemnie. Ale prawdę mówiąc, nie mogę obejść się bez ciebie. Nawet sen nie chciał przyjść do mnie". I wziął się znów do pracy.

Ale przerwa zjawiła się w postaci służącego, który oznajmił, że Sandip Babu jest tutaj i prosi o przyjęcie. Nie śmiałam spytać, z kim życzy sobie mówić. Zdawało się, jakoby światło nieba ustąpiło nagle, jak płatki mimozy.

„Pójdź, Bimo!" rzekł mój mąż. „Posłuchajmy co Sandip Babu chce nam powiedzieć! Ponieważ wrócił, pożegnawszy się już z nami, musi mieć coś szczególnego do powiedzenia!"

Poszłam, ponieważ jeszcze ciężej byłoby pozostać. Sandip wpatrywał się w wiszący na ścianie obraz. Skoro weszliśmy, rzekł: „Pytacie się zapewne, dlaczego chłopak jeszcze raz przyszedł. Wiecie jednak, że duch nie jest wygnany, dopóki wszystkie uroczyste obrzędy nie są wypełnione". Przy tych słowach wyciągnął z swej kieszeni coś, co było zawiązane w jego chusteczkę, położył na stół i rozwiązał supeł. Były to owe złote monety.

„Nie chciej mnie źle zrozumieć, Nikhilu", rzekł. „Nie przedstawiaj sobie, iż pod wpływem twego postępowania stałem się nagle uczciwym; nie jestem człowiekiem, który wraca pokornie, wlokąc się na

kolanach, aby odnieść nieprawą drogą zdobyte pieniądze. Ale..."

Urwał. Po chwili zwrócił się do Nikhila, lecz słowa jego były zwrócone do mnie:

„Tak, królowo pszczół, teraz wkońcu duch skruchy znalazł drogę do mego spokojnego dotąd sumienia. Ponieważ każdej nocy, skoro minął sen, musiałem z nim walczyć, nie mogę go uważać jedynie za twór wyobraźni. Niema przed nim ucieczki, nawet dla mnie, dopóki wina nie zostanie wymazana. W ręce owego ducha składam przeto to, co odnoszę. Bogini! Tobie jedynej na świecie nie mogę niczego zabrać. Nie wypuszczasz mnie, dopóki nie zostanę zupełnie ogołocony. Weź to również z powrotem!"

I wyjął z pod swego płaszcza szkatułkę z klejnotami i położył ją, a potem opuścił nas spiesznym krokiem.

„Słuchaj, Sandipie", zawołał za nim mój mąż.

„Nie mam czasu, Nikhilu", rzekł Sandip, stanąwszy obok drzwi. „Mówią mi, że muzułmani uważają mnie za drogocenny klejnot i kroczą za mną, aby mnie porwać i pogrzebać na swym cmentarzu. Czuję jednak, że muszę jeszcze żyć dalej. Mam właśnie 25 minut czasu do pociągu na północ. Dlatego muszę teraz skończyć; zakończymy naszą rozmowę przy najbliższej stosownej okoliczności. Jeśli chcesz posłuchać mej rady, nie zwlekaj dłużej i uchodź stąd! Żegnam Panią, królowo pszczół, królowo krwawiących serc, królowo zniszczenia!"

Wypadł z pokoju. Stałam nieporuszona; nigdy dotąd nie rozumiałam lepiej, jak bezwartościowymi, jak nędznymi były te klejnoty i to złoto. Jeszcze przed chwilą namyślałam się, co mam wziąść z sobą i co zapakować. Teraz czułam, że niepotrzebnem jest wogóle brać z sobą cośkolwiek. Należało wyruszyć i odjechać jak najprędzej.

Mój mąż przystąpił do mnie i ujął mnie za rękę. „Późno już", rzekł, „i nie mamy już czasu na ukończenie naszych przygotowań do podróży".

W tej chwili wszedł nagle Czandranath Babu. Widząc nas razem, cofnął się najpierw, lecz potem rzekł: „Wybaczy mi mateczka, nie przeszkadzam! Nikhilu, muzułmani podnieśli bunt. Plądrują dom skarbowy Harisza Kundu. Nie jest to jeszcze rzecz najgorsza. Ale okropne jest, jak gwałcą kobiety domu".

„Idę", rzekł mój mąż.

„Co ty możesz poradzić?" rzekłam i błagalnie powstrzymywałam go za rękę. „Ach, Panie", zwróciłam się do jego nauczyciela, „niech mu Pan powie, aby tam nie szedł?"

„Niema nic pilnego, mateczko", odparł.

„Nie lękaj się, Bimo", zawołał mój mąż, odchodząc.

Skoro podeszłam do okna, ujrzałam jak odjechał galopem na koniu, bez jakiejkolwiek broni.

W tej chwili wpadła Bara Rani. „Coś uczyniła, kochana Tszoto?" zawołała. „Jakże mogłaś go puścić?"

„Zawołaj natychmiast dewana“ [1], rzekła do jednego z służących.

Rani nie pokazywały się zazwyczaj dewanowi, ale w owej chwili wszystkie zewnętrzne formy były Bara Rani obojętne.

„Poślij natychmiast za maharadżą konnego posłańca i każ go odwołać“, rzekła, gdy zjawił się dewan.

„Zaklinaliśmy go wszyscy, aby tam nie jechał“, rzekł dewan, „lecz nie chciał zawrócić“.

„Powiedz mu, że Bara Rani jest chora i że leży na śmiertelnem łożu!“ zawołała z rozpaczą moja bratowa.

Skoro dewan wyszedł, zwróciła się z wściekłością do mnie. „O ty wiedźmo, ty potworze, czyż nie mogłaś raczej sama umrzeć, niż wysyłać go na śmierć!...“

Zapadał zwolna zmierzch. Słońce zachodziło za pierzastem listowiem kwitnącego drzewa sadszny. Widzę jeszcze dziś przed sobą każdy najdrobniejszy odcień tego zachodzącego słońca. Dwie olbrzymie chmury z obu stron zachodzącej tarczy słonecznej nadawały mu wyglądu potwornego ptaka, szeroko rozpinającego swoje ogniste skrzydła. Zdawało mi się, jak gdyby tajemniczy ów dzień sposobił się do swego lotu przez ocean nocy.

Było coraz ciemniej i ciemniej. Z oddali dochodził szczęk broni i ginął znów w ciemności, jak płomienie palącej się wsi, błyskające i znikające na dalekim horyzoncie.

[1] Tubylczy urzędnik w wielkim bengalskim domu, który pośredniczy w stosunkach z tubylcami.

Z naszej świątyni zadźwięczały wieczorne dzwony. Wiedziałam, że Bara Rani siedziała teraz z ułożonemi do modlitwy rękami. Nie mogłam jednak odejść od okna ani na krok.

Ulice, wieś leżąca w głębi i dalekie jeszcze rzędy drzew roztapiały się coraz bardziej w ciemności. Jezioro w naszym parku spoglądało ku niebu ponurym połyskiem, jak oko ślepca. Z lewej strony wieża zdawała się wyciągać swoją szyję, aby wyśledzić coś, co się działo w dali.

Szmery nocy przybierają inne formy w najrozmaitszy sposób. Gałąź trzeszcze, a nam wydaje się, że to ścigany człowiek goni, ratując swe życie. Drzwi zatrzaskują się i zdaje się, jak gdyby serce świata biło w niesamowitym strachu.

W cieniu dalekich drzew zabłysły nagle światła i znikły. Od czasu do czasu zadzwoniły podkowy, byli to jednak jeźdzcy, wyjeżdżający z bramy pałacu.

Przez cały czas zdawało mi się, że gdybym tylko mogła umrzeć, wszystko byłoby znów dobrze. Jak długo żyłam, grzechy moje wzmagały się coraz bardziej i siały na wszystkie strony zniszczenie. Przypomniałam sobie pistolet leżący w mojej skrzyni. Ale moje stopy nie chciały odejść od okna i przynieść go. Czyż nie czekałam na moje przeznaczenie?

Nocna straż oznajmiła uroczyście dziesiątą godzinę. Wkrótce potem wyłonił się z oddali cały szereg świateł i ogromna rzesza ludzi wiła się po ciemnych drogach, jak olbrzymi wąż, w kierunku bram pałacu.

Dewan skoczył do bramy. W tej samej chwili

wpadł galopem do wnętrza jakiś jeździec. „Jak idzie, Dszato?“ spytał dewan.

„Niedobrze“, brzmiała odpowiedź.

Słyszałam owe słowa całkiem wyraźnie z mego okna. Ale potem szeptano coś, czego nie mogłam zrozumieć.

Potem przybyła lektyka, za którą postępowały nosze. Obok lektyki szedł lekarz.

„Co sądzi Pan, panie doktorze?“ spytał dewan.

„Nie mogę jeszcze nic powiedzieć“, odrzekł lekarz. „Rana na głowie jest poważna“.

„A Amulja Babu?“

„Z nim wszystko skończone. Kula trafiła go w serce“.

KONIEC.

UNIWERSYTET JAGIELLOŃSKI BIBLIOTEKA Filia w B-stoku

93542